

Rozdział 24: „Szukam Twego oblicza, Panie”

1. Trzy ostatnie szaleństwa. 2. Trzeci dzwonek. 3. Podróże do Ameryki Południowej (1974). 4. Andy: „Nie dorastam do poziomu tych gór”. 5. Kapłańskie złote gody (1975). 6. Śmierć (26 czerwca 1975).

28-08-2018

“Szukam Twego oblicza, Panie”

1. Trzy ostatnie szaleństwa

30 listopada 1972 roku Ojciec znajdował się ponownie w Rzymie. Intensywny rytm pracy i nieustanne podróże wzdłuż i wszerz Hiszpanii i Portugalii wystawiły na ciężką próbę jego odporność fizyczną. Było jasne, że energia, jaką promieniował, bierze się z jego zapachu apostołskiego. Istniała nadzieja, że te dwa miesiące ciągłych podróży po Półwyspie Iberyjskim przyniosą za jakiś czas jeszcze większe owoce apostołskie, ponieważ duża część spotkań apostołskich została dzięki przezorności don Álvaro sfilmowana. Dzięki projekcjom tych filmów głos i postać Ojca będą obecne także w przyszłości. Ale oprócz tych radości Ojciec przywiózł ze sobą do Rzymu nowy powód do bólu. Podczas jednego ze spotkań, jakie odbył na sali sportowej klubu Brafa w Barcelonie, ogłosił obecnym, że nie może dalej przedłużać spotkania: ***Czeka na mnie osoba chora — mówił im — i nie mam prawa***

kazać czekać temu choremu, który jest samym Chrystusem...

Potrzebuje ojca i matki, a ja jestem dla niego ojcem i matką[1].

W jednym z ośrodków Opus Dei w Barcelonie jeden z trzech pierwszych kapłanów z Opus Dei, don José María Hernández Garnica, był umierający. O nim mówił Ojciec w kilka godzin po odwiedzinach:

Dziś byłem u jednego z waszych braci... Muszę z wielkim trudem powstrzymywać łzy, ponieważ kocham was z całego serca, jak ojciec i matka. Kilka miesięcy się z nim nie widziałem. Już wydał mi się umarły... Pracował dużo i z wielką miłością. Być może Pan zdecydował już teraz obdarzyć go chwałą Niebios...[2].

Na początku 1972 roku lekarze zdiagnozowali u don Josego Marii nieuleczalną chorobę. Gdy tylko Ojciec się o tym dowiedział, napisał

do konsyliariusza w Hiszpanii, by starali się traktować chorego ze zwykłą miłością nadprzyrodzoną i ludzką, zgodnie z duchem Opus Dei. Don José María (zdrobniale “Chiqui”) przebywał się w Pampelunie, nie miał nadziei na wyleczenie, chyba, że Pan Bóg postanowiłby inaczej.

Wiem, że Twój dzień jest bardzo wypełniony — pisał doń Ojciec — i bardzo mnie to cieszy. W ten sposób łatwiej Ci będzie zjednoczyć się z intencjami mojej mszy i moich modlitw, a Najświętsza Maryja Matka Nasza uzyska dla nas u swego Syna koniec tych strasznych i niewiarygodnych czasów próby, którą przechodzą dusze i Kościół.

Jestem pewien, że Jezus, Nasza Miłość, Cię wysłucha zwłaszcza teraz, gdy trwa ta choroba, którą na Ciebie zesłał. Wykorzystaj ten przywilej[3].

Kilka tygodni wcześniej, dziękując Najświętszej Paniencie za pokój i zawierzenie chorego, założyciel Dzieła mobilizował go, by nadal trwał w tej owocnej zażyłości z cierpieniem:

Postępuj tak dalej, mój synu, ponieważ Twe cierpienia są wołaniem do Naszego Pana Jezusa Chrystusa w intencji tego Kościoła świętego, który jest Jego, a który diabeł Mu chce wydrzeć^[4].

Dokładnie w tydzień po przyjeździe do Rzymu, w czwartek 7 grudnia 1972 roku, Ojciec otrzymał wiadomość o śmierci don Josego Maríi. Tego samego dnia zwołał Radę Generalną. W dzienniku *Villa Tevere* pod tą datą jest napisane:

«Wśród łez powiedział nam, że zadzwoniono właśnie z Madrytu, żeby zawiadomić go o śmierci ks. Josego Maríi Hernández de Garniki. Miała ona miejsce tej nocy w

Barcelonie. Sam poprosił o ostatnie namaszczenie.

Ojciec natychmiast odprawił mszę za duszę D. Josego Marií. Na początku powiedział, że jeśli chcemy, możemy w niej uczestniczyć. Potem Javi nam powiedział, że Ojciec jest zbyt wzruszony i żebyśmy uczestniczyli we mszy odprawianej przez D. Álvaro»[5].

W tym samym czasie Ojciec napisał do don Pedra Casciaro oraz do don José Luisa Múzquiza dwa listy z identycznym tekstem:

Przed kilkoma minutami nadeszła bardzo bolesna wiadomość o śmierci Chiquiego (q.e.p.d.)*. Gruntownie oczyszczonego zechciał go zabrać od nas Pan. Nie będę krył przed Tobą, że cierpiałem – że cierpię bardzo – że płakałem[6].

W przypadku śmierci Chiquiego, podobnie jak w przypadku śmierci każdego ze swych dzieci, Ojciec osobiście przyjmował cały ból z powodu tego smutnego zdarzenia. Nigdy nie przyzwyczał się do faktu, że każdego dnia było więcej tego rodzaju smutnych wiadomości. Dlatego był wdzięczny za miłość przenikającą do głębi jego ojcowskiego serca, jaką okazali Chiquiemu ci, którzy znajdowali się przy nim[7]. Ta strata była “bardzo ciężkim ciosem”, ale nieporównywalnie większy ból Ojciec odczuwał z powodu sytuacji, jakiej doświadczał wówczas Kościół. Cierpienie to spowodowane było ludzką brutalnością. Ale Bóg obdarzył go pewną szczególną łaską, aby nie załamał się pod ciężarem bólu. Tak więc, w liście z 12 grudnia 1972 roku, obdarzony nadprzyrodzoną intuicją, wyraził taką myśl:

Nie mogę przed Wami kryć, że jeśli Pan i Jego najukochańsza Matka nie pomogliby nam swą specjalną opieką, czas, jaki przeżywa teraz Kościół, byłby dla nas zbyt wielkim cierpieniem.

[...] Bądźcie mi wierni. Wypełniajcie normy. Nie zaniedbujcie modlitwy. Pracujcie z radością. Wynagradzajcie z Miłością.

Potem zobaczymy, jak cała ta smutna i straszna sytuacja, w jakiej znajduje się ludzkość, się odmieni. I nadejdzie dzień, który już teraz możemy przeczuwać, gdy będziemy nieustannie składać dzięki Niebiosom: ut in gratiarum semper actione maneamus![8].*

Już przywoływał ten akt strzelisty – trwać zawsze na dziękczynieniu — w okresie Bożego Narodzenia, jako hasło zbliżającego się nowego roku.

Minęło zaledwie kilka dni, a troski prośby zaczęły znowu spędzać mu sen z powiek. ***Tej nocy prawie nie spałem***— mówił do swoich synów. — ***Pewnie także z powodu tej troski o dusze. Czuję się jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce***[9]. Ta troska pojawia się ponownie w jego życzeniach Bożonarodzeniowych z 1972 roku, z powodu ***strasznych problemów, przez jakie przechodzi Kościół Święty***[10]. Ale tak jak promień słońca rozprasza mgłę, tak jego dusza była ożywiona jakąś świetlistą nadzieją. Tylko w ten sposób, dzięki łasce Pana, można wytłumaczyć spokój postępowania Ojca. Możliwe także, że pragnienie, by zakończyć tyle zaległych spraw, służyło mu za bodziec do zmagania z tym klimatem przeciwności. Coraz częściej można było usłyszeć, jak w wieczornych rozmowach ze swymi synami mówi: ***Mogę odejść każdego dnia***[11]. Nie była to smutna refleksja, raczej radosna, ponieważ

pozwalala mu lepiej wykorzystac czas, bez popadania w melancholie. Wówczas, kiedy mial za soba juz dlugie zycie, wyznawal kardynalowi Casariego*, ze jest jednak spokojny i pelen optymizmu, plynacego z jego natury i ze szczegolnej laski zeslanej z Nieba:

Proszę nie myśleć, że jestem pesymistą: Bóg, Nasz Pan, uczynił mnie optymistą, optymizm to przecież duch Dzieła, a Ewangelia Święta także napęłnia mnie optymizmem. Proszę jednak, nawet oddechem, abyśmy jak najszybciej znowu zobaczyli prawdziwe oblicze Oblubienicy Chrystusa, i żeby Miłosierdzie Naszego Ojca Niebieskiego położyło kres tym czasom, sprawiając by znowu wody powróciły do swego koryta, aby nie zatracalo się tyle dusz [...].

Muszę wyznać, że chociaż bardzo cierpię bardzo źle, jestem bardzo szczęśliwy, jestem zawsze zadowolony. Smutek —amaritudo mea amarissima! — w ogóle nie odbiera mi radości, ani pokoju: tylko na chwilę znika mi z twarzy uśmiech, który mam dzięki nieocenionemu darowi Chrystusa, który On zechciał mi dać niemal na stałe[12].*

Pod tak wielkim ciężarem, Ojciec brnął przez mgłę wspierany przez swoich synów. *Jestem w ciemnościach*— mówił przy jakiejś okazji członkom Rady Generalnej. — *Jasno widzę tylko, że trzeba zadośćczynić i że potrzebni mi jesteście wy[13].* Pan obdarzał go jasnością widzenia, aby mógł pojąć ogrom zła, jakie dzieje się co dzień na ziemi, nie dając jednak nadziei na szybkie rozproszenie ciemności tej długiej nocy. Jednak dla Ojca wielkim pocieszeniem było to, że mógł wołać

do Nieba jednym głosem wraz ze swymi dziećmi. Potrzeba wsparcia była środkiem, aby całe Dzieło dojrzewało w duchu modlitwy, aby potem mogło lepiej spełniać rolę drożdży pośród świata.

* * *

Na krótko przed Wielkanocą 1973 roku do Rzymu zjechały dwa tysiące młodych ludzi z Opus Dei.

Dziewczęta i chłopcy przybyli z pięciu kontynentów, poradziwszy sobie z kosztami podróży. Warto było widzieć papieża i odbyć spotkanie z Ojcem, który powitał ich, wyrażając pochwałę dla ich wytrwałości.

Napełniała go radość, gdy patrzył, jak przyjeżdżali z własnej woli i z wielką chęcią do Rzymu:

Jeśli tu jesteście, to dlatego, że jesteście moimi wspaniałymi buntownikami. Niestety na świecie teraz panuje dążenie do święństwa. Cały czas mówi się o sprawach

seksualnych, o przemocy, o bogaceniu się za wszelką cenę, o tym, by się nie troszczyć o innych. A nie mówi się o Bogu.

Ale wy, którzy zdaliście sobie sprawę, że ten świat stara się was zaprowadzić do życia zwierzęcego, odpowiedzieliście: nie!, nie chcę być bestią[14].

W czerwcu mijała dwudziesta piąta rocznica założenia Kolegium Rzymskiego, utworzonego w 1948 roku. W ciągu tego ćwierćwiecza przez Kolegium przewinęli się alumni pochodzący z czterdziestu krajów. Obroniono w nim ponad pięćset prac doktorskich z teologii, prawa kanonicznego, filozofii i dydaktyki. Na jednej ze ścian *Villa Tevere* znajdowało się pełno “victorów” akademickich* - imion i dat obrony doktoratów wypisanych ochrą. Swojego “victora” umieszczał tam pierwszy doktor z każdego

kraju. A pierwszy należał do don Álvaro i nosił datę 10 czerwca 1949 r. [15].

Zaraz na początku lata Ojciec udał się do Civenny, gdzie był już przed rokiem, z zamiarem spędzenia tam lipca i sierpnia na pracy i odpoczynku. Półtora miesiąca po przyjeździe, 20 sierpnia 1973 roku, mówił o tym swoim córkom z Asesorii Centralnej: ***przez ten czas byłem bardzo zajęty tym, co zwykle: nieustanną modlitwa za Kościół i dusze***[16]. Szerzej na ten temat napisał tego samego dnia w liście do synów z Rady Generalnej:

My tutaj bardzo dużo modlimy się i pracujemy. Nic nie szkodzi, jeśli Wam powiem, że nie udało mi się odpocząć. Boli mnie Kościół i bolą mnie dusze! Dzień i noc żyję ciągle prosząc Boga, i chciałbym prosić jeszcze bardziej i jeszcze lepiej. Dlatego Was proszę, byście łączyli

się z intencjami mojej mszy, zajmując się tymi moimi troskami, aby utrzymać nieprzerwaną obecność Bożą, zawsze za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny — refugium nostrum et virtus!— oraz św. Józefa[17].*

Wrzesień spędził w ośrodku rekolekcyjnym w Castelldaura, w pobliżu Barcelony, z powodu operacji, jaką przeszedł don Álvaro. Także i Ojciec poddał się badaniom lekarskim, które przeprowadziło kilku lekarzy z kliniki Uniwersytetu Nawarry. Najbardziej znaczącym wynikiem był podwyższony poziom mocznika we krwi. W tych dniach także, gdy Ojciec przebywał w Barcelonie, zrobiono mu protezę dentystyczną. 29 września był znowu w Rzymie[18].

Dokładne zbadanie danych opisujących i wyznaczających jego osobistą działalność zdradza

zdumiewające korelacje. Rzuca się w oczy, na przykład, zależność między jego poważnymi troskami moralnymi a jego fizjologiczną niewydolnością. Człowiek taki jak on, przyzwyczajony, by się nie skarżyć, pisał 17 listopada:

Módlcie się za mnie. Ponieważ nie można zamykać oczu, kiedy napotkacie – a niestety będzie się to zdarzać zbyt często —smutne skutki zamętu, jaki króluje wewnątrz Kościoła. Proście aby on się wkrótce skończył. I zjednoczcie się z intencją mojej mszy, ponieważ znosiłem bardzo cierpię. Bardzo cierpię, choć żyję pełen pokoju i radości, które otrzymuję z nieba[19].

Bardzo znaczące jest to, że badania dokonane 30 listopada 1973 roku są poprzedzone krótką obserwacją lekarską pacjenta. Oto ona: «trwałe przemęczenie i ociężałość wieczorna

wraz z nocną bezsennością »[20]. To nocne czuwanie było bardzo związane z tym, co Ojciec nazywał swą **zwyczajną troską**, modlitwą **bez ustanku, dniem i nocą** za Kościół i za dusze.

* * *

Na początku lat 50-tych Ojciec polecił konsyliariuszowi Hiszpanii, aby pojechał wraz z innymi członkami Dzieła modlić się przed Najświętszą Maryją Panną z Torreciudad, gdzie rodzice ofiarowali go w 1904, na znak wdzięczności za wybawienie go z ciężkiej choroby. Dawna kaplica na wzgórzu nad doliną Cinki* była na wpół zrujnowana. Obrazoburcza wściekłość milicjantów z wojny domowej zniszczyła ołtarz i spaliła sprzęty liturgiczne. (Szczęśliwie tutejszy mieszkaniec zdołał ocalić wizerunek Najświętszej Maryji Panny, ukrywając go wśród skał). Ojciec nie upadł na duchu po “wizji lokalnej”

zrujnowanej kaplicy. Jego mocne postanowienie, by wznosić sanktuaria maryjne wywodziło się z dawnych czasów, ponieważ już w styczniu 1955 roku wyjawiał swym dzieciom pragnienie wzniesienia sanktuarium Matki Bożej w Stanach Zjednoczonych, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Matki Pięknej Miłości[21]. Myślał o tym, by poddać opiece Maryi świętość w rodzinach. Minęło w ten sposób kilka lat, nie na próżno. Wraz z upływem czasu pomysł rozkwitł, a Ojciec zapragnął zobaczyć zrealizowany przynajmniej jeden z tych projektów. Gdy biskupem Barbastro był Jaime Flores, Ojciec zaproponował, że będzie dbać o umocnienie kultu Matki Bożej z Torreciudad, jeśli Opus Dei zajmie się sanktuarium. Kierowała nim przede wszystkim miłość do Najświętszej Maryi, pragnienie, by uczynić z sanktuarium centrum promieniujące pobożnością maryjną, a także

wdzięczność osobistej i całego Dzieła za łaski otrzymane za pośrednictwem Najświętszej Pani. Pani.

Przekazanie w użytkowanie wieczyste tego miejsca, wraz z należącymi doń nieruchomościami i okolicznymi terenami zostało dokonane na piśmie 24 września 1962 roku[22].

Natychmiast rozpoczęto restaurowanie figury Najświętszej Maryi Panny. W tym samym czasie Ojciec, wiedziony gorącym zapalem, poprosił Stolicę Świętą o kanoniczną koronację wizerunku, marząc o licznych dobrach duchowych, które uzyskają dzięki temu członkowie Dzieła[23]. Ponieważ jednak projekt architektoniczny, jakiego życzył sobie Ojciec, oznaczał ogromne zwiększenie kubatury budynku, trzeba było postawić nowe

sanktuarium, które wzniesiono na zniwelowanym zboczu góry.

W czerwcu 1967 roku Ojciec rozmawiał w Rzymie z Heliodoro Dolsem, architektem odpowiedzialnym za prace, przekazał mu konkretne uwagi, mając na względzie ostatecznie decyzje soboru na temat kultu. Potem napisał list do konsyliariusza oraz swych synów w Hiszpanii, w którym wyjaśniał przyczyny, które popchnęły go do wzniesienia sanktuarium Matki Bożej w Torreciudad, i tłumaczył, jakie były jego oczekiwania:

Spodziewam się prawdziwego deszczu duchowych łask, jaki Pan zsyła tym, którzy uciekają się do Jego Najświętszej Matki w tym malutkim wizerunku, cieszącym się od wieków tak wielką czcią. Dlatego zależy mi, żeby było tam mnóstwo konfesjonałów, aby

*ludzie oczyszczali się w tym w świętym sakramencie pokuty i — już z odnowionymi duszami — utwierdzali lub odnawiali swe życie chrześcijańskie, aby uczyli się uświęcać i kochać swą pracę, niosąc do swych domów pokój i radość Chrystusową: Pokój wam zostawiam, pokój mój wam daję *.*
W ten sposób przyjmą z wdzięcznością dzieci, które ześlą im niebiosa, korzystając godziwie z miłości małżeńskiej, która pozwala im uczestniczyć w stwórczej mocy Boga. I Bóg nie przegra w tych domach, zaszczyci je, wybierając dusze, które z własnej i nieprzymuszonej woli poświęcą się służbie Bożym sprawom.

A inne cuda? Jak wielkie i jak wiele by ich nie było, jeśli tylko Pan zechce w ten sposób obdarzyć swoją Matkę Najświętszą, to nie wydadzą mi się one większe niż te,

o których wspomniałem, których będzie wiele, będą częste i pozostaną niezauważone, wymykając się statystykom[24].

Gdy Ojciec odwiedzał liczne maryjne sanktuaria w Europie — Lourdes, Fátimę, Einsiedeln, — miał w zwyczaju pić wodę z tamtejszych źródeł, jak każdy nabożny pielgrzym Najświętszej Maryi Panny, nie prosił jednak o cuda, ani ich nie oczekiwał.

W Torreciudad — pisał dalej — ***gdziekolwiek umieścimy wodę, aby wierni mogli ugasić pragnienie, umieścimy plakat, na którym będzie wyraźnie napisane: naturalna woda pitna.***

Woda od mojej, Naszej, Matki, która czeka na nas w tych skałach, będzie jak woda z ożywczego źródła, które będzie biło bez przerwy aż po życie wieczne[25].

Miało to być miejsce modlitwy i pokuty, gdzie dusze miały mieć ułatwione spotkanie z Bogiem. Ojciec mówił, że Najświętszej Pani z Torreciudad **nie prosimy o zewnętrzne cuda**, kierujemy się do Niej, aby czyniła **wiele wewnętrznych cudów**- przemian duchowych, nawróceń, lepszych kontaktów z Panem[26].

Będąc przejazdem w Madrycie Ojciec miał okazję obejrzeć odrestaurowany wizerunek. Był to 6 kwietnia 1970 roku. Z pracowni konserwatorskiej na Diego de León przywieziono grupę rzeźb, które zostały już odczyszczane: Dzieciątko i Najświętsza Pani z Torreciudad, aby Ojciec mógł je zobaczyć. Można było je teraz zadatować na koniec XI wieku.

Gdy tylko Ojciec zobaczył rzeźbę Maryi, uderzyło go Jej piękno. **Jest wspaniała!** –wykrzyknął z

entuzjazmem. Potem stał zapatrzony w wizerunek i przez dziesięć czy dwanaście minut prowadził miłosny dialog z Matką Bożą[27].

Z Madrytu Ojciec udał się w pielgrzymkę do Torreciudad, gdzie mógł obejrzeć teren wyznaczony na prace pod sanktuarium. Pochylony nad głębokim dołem pod fundamenty kościoła, pobłogosławił z wielką wiarą tę przyszłą kryptę, w której miało stanąć 40 konfesjonałów. Ojciec marzył, aby zbudować w tym miejscu – na tej górze i w sanktuarium - cały zespół budynków, które będą zapraszać do modlitwy i pokuty, gdzie wszystko podporządkowane będzie katechezie. W tym celu pragnął, aby ołtarz główny zaopatrzony został w wielkie retabulum, ozdobione rzeźbami przedstawiającymi sceny z życia Najświętszej Maryi Panny. Miała to być **katecheza w kamieniu**, która ożywi u pielgrzymów miłość do

Boga[28] i która będzie rozumiała dla wszystkich, zarówno dla intelektualistów, jak i dla prostych ludzi ze wsi. Nakazał także, aby wewnątrz świątyni umieszczono wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego, lecz jeszcze przed śmiercią, z otwartymi oczyma, który jak gdyby mówił do wiernych: “Patrz, wszystko to znoszę dla ciebie”[29]. Pragnieniem Ojca było także, by w atmosferze pokoju i skupienia w sanktuarium szczególną uwagę zwrócono na Najświętszy Sakrament, który powinien zajmować najbardziej eksponowane miejsce w świątyni. Wykonano bogato zdobione tabernakulum, które, umieszczone w okulusie* u szczytu nastawy ołtarzowej, przewodniczyło wszelkim działaniom apostolskim, które ***pośród tych aragońskich skał będą się odbywać ku czci Jego Matki, dla dobra wszystkich dusz i w służbie Kościoła Świętego***[30].

Ojciec ponownie przyjechał do Torreciudad dopiero w maju 1975 roku, na miesiąc przed śmiercią. Był jednak z daleka tak namacalnie obecny swą wiarą, modlitwą, pracą i duchem, a ci, którzy pracowali przy sanktuarium, otrzymali z jego strony tak silne wsparcie, że Torreciudad stało się jest «pomnikiem wiary Ojca we wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny»[31]. Zdobyć się na tak kosztowne przedsięwzięcie było szaleństwem, ale szaleństwem koniecznym. Nie dysponowali bowiem wystarczającymi środkami. Rozważając trudności stojące przed tym projektem, z myślą zatopioną w Maryi, Ojciec mówił: ***Torreciudad: rozpoczynamy to i – z materialnego punktu widzenia – możemy tylko liczyć na drewnianą figurkę, ale Ty, Matko, już sama wiesz, jak bardzo Cię kochamy, i nas poprowadzisz!***[32].

Odczuwał pilną potrzebę jak najszybszego otwarcia sanktuarium dla wiernych. Naciskał ze szczególnym uporem, by nie było nawet najmniejszych opóźnień w pracach, aby toczyły się one zgodnie z wyznaczonym planem, punktualnie, bez opóźnień. Jednak nadszedł czas wielkich ograniczeń finansowych. Nie było innego wyjścia, jak odłożenie na później znacznej części prac. Gdy synowie z Hiszpanii przysłali Ojcu dokładną informację na temat krytycznej sytuacji, podtrzymywał ich na duchu, ożywiając ich nadzieję i zwracając się do nich z dużą dozą zdrowego rozsądku: ***Nie zapominajcie, że to martwi nie kończą swoich spraw***^[33].

Zwyczaj Ojca, by planować prace apostołskie wykraczające poza możliwości materialne, wiązał się z bolesnym ciężarem codziennego życia z darowizn. Wpłaty jałmużny

tysięcy osób, uczynione kosztem domowych poświęceń, nadzwyczajnych podejmowanych prac, poświęcania oszczędności... Wszystkie te szczodre jałmużny napływające z całej Hiszpanii i z innych krajów nie były nigdy w stanie pokryć długów[34]. Aby zmniejszyć wydatki, starali się zaoszczędzić na materiałach. Gdy miał zostać napełniony wodą zalew El Grado, liczne okoliczne wioski miały zostać zalane. Zanim to nastąpiło, Ojciec zasugerował możliwość wykorzystania niektórych elementów budowlanych: zakupu kamienia, dachów, drzwi i ram okiennych. Uzyskiwano także materiał z rozbiórek[35]. Mimo to nie brakowało pomówień i oszczerstw na temat luksusu tej budowy oraz bezpośrednich ataków na założyciela Opus Dei, oskarżeń o manię wielkości, dlatego, że był hojny w swym nabożeństwie do Najświętszej Pani z Torreciudad[36].

Zrobiono wszystko co możliwe, a nawet to, co niemożliwe, aby zakończyć prace i otworzyć nowe sanktuarium w 1975 roku. Udało się to w tak krótkim terminie dzięki uporowi Ojca i jego zaufaniu do Boga i Najświętszej Paniienki[37].

* * *

Epoka założycielska Dzieła to historia wzrostu i płodności apostolskiej, widocznej na pierwszy rzut oka. Ale przy szybkim wzroście środki materialne związane z prowadzeniem apostołstwa okazywały się coraz bardziej niewystarczające. Centralna siedziba Opus Dei w Rzymie, którą zbudowano za cenę tak wielkich wyrzeczeń, okazała się zbyt mała jeszcze przedrokiem 1970. W efekcie Kolegium Rzymskie Świętego Krzyża, które działało już od dwudziestu lat, od 1948 roku, ciągle było umieszczone tymczasowo w *Villa*

Tevere. Wzrastała, dzięki Bogu, liczba mieszkających tam alumnów, a w związku z tym zmniejszała się z roku na rok ilość dostępnej przestrzeni. Ojciec marzył, by jego synowie mieszkali przestronniej i mieli możliwość uprawiania sportu. Nadeszła w końcu pora, by skończyć z tą wstydliwą sytuacją prowizorki, ponieważ centralne organy zarządzające, których zadania także się poszerzyły, potrzebowały dla swoich potrzeb przestrzeni zajmowanej przez Kolegium Rzymskie[38].

Gdy pojawił się ten problem, Ojciec miał już 65 lat. Miał za sobą całe życie wypełnione ciężką pracą, mógłby więc swobodnie zacząć zażywać stosownego wypoczynku, rozpamiętując swoje liczne osiągnięcia. Ale nie taka była mentalność Ojca. Nigdy nie był z siebie zadowolony. Wręcz przeciwnie. Jedynym jego hasłem

przewodnim była potrzeba służenia innym. Świadom, jak wiele jeszcze zostało do zrobienia, wymagał od siebie coraz więcej i więcej.

Wymagał od siebie w imieniu Boga i w imieniu swoich synów.

Dla mnie już nastaje wieczór, moi synowie— myślał. — ***Trzeba się spieszyć!***[39]. Wtedy właśnie

zdecydował, że Kolegium Rzymskie nie może być dłużej umieszczone w centralnej siedzibie Opus Dei.

Powinno przenieść się gdzie indziej i to jak najszybciej. Zaczęto więc szukać innego miejsca w mieście. W Rzymie nie brakowało starych pałaców i na wpół zrujnowanych starych domostw. Ale

wyremontowanie ich wnętrza i przystosowanie do potrzeb Kolegium Rzymskiego okazywało się bardziej kosztowne, niż rozbiórka i rozpoczęcie od nowa, na co nie pozwalały przepisy miejskie. Po zasięgnięciu opinii, mając na

względnie zasadniczy fakt —
szczerłość środków, Ojciec
zdecydował się na najkorzystniejsze
rozwiązanie, wybudowanie
budynków od nowa. Decyzja zapadła
w listopadzie 1967 roku[40].

Zanim rozpoczęto prace, nastąpił
długotrwały okres przygotowawczy.
Wykonanie projektów
architektonicznych zajęło dwa lata.
Długo trwały zabiegi mające na celu
uzyskanie zgody władz miejskich
oraz zezwoleń na budowę i
koniecznych licencji technicznych.
Tereny pod budowę znajdowały się u
szczytu zbocza nad doliną Tybru. U
jego stóp biegła *vía Flaminia*. W tym
miejscu obozowali legionieści
Konstantyna przed zwycięstwem nad
oddziałami Megencjusza. Następnie
zwycięzca wydał edykt mediolański
na korzyść chrześcijan*. Ojciec lubił
przypominać te fakty historyczne,
podołała mu się także nazwa
nadana posiadłości: “Cavabianca”*,

nawiązująca do pobliskiego kamieniołomu. (Odnosząc się do symbolicznego znaczenia nazwy tego Międzynarodowego Ośrodka formacyjnego, Ojciec myślał o tym, by wydobywać stąd kamienie żywe, białe i dobrze wygładzone)[41].

Poprowadzenie tego projektu było zadaniem na wielką skalę. Najpierw trzeba było rozwiązać problem finansowania, choć Ojciec doskonale wiedział o braku pieniędzy i był do niego przyzwyczajony. Miał całkowite zaufanie do Opatrzności i widział w Cavabiance ostatni ze swych wielkich projektów budowlanych[42]. (Rzeczywiście bez ustanku promował kolejne dzieła, które składały się na długą listę. Prace przy *Villa Tevere* zostały zakończone 9 stycznia 1960 roku, po dwunastu latach wysiłków. W kwietniu 1960 roku rozpoczęto prace przy Kolegium Rzymskim Najświętszej Maryi Panny w

Castelgandolfo. Następnie, na potrzeby wypoczynku letniego przygotowano Tor d'Aveia, które zostało oddane do użytku w 1967 roku[43]. A na początku 1970 roku, gdy wylane zostały fundamenty nowego sanktuarium w Torreciudad, Ojciec był już zajęty nowym projektem Cavabianki). W jego pamięci fakty były bardzo żywe i obecne. Nigdy nie zabrakło mu pomocy Pana. Ta pewność wsparcia Opatrzności obracała w niwecz wszelkie przeszkody, które z ludzkiego punktu widzenia czekały, zanim w ogóle zaczęła się budowa. Jak zawsze musiał dostosować się do tempa, jakie narzucał Bóg. Ani wolniej, ani szybciej. O jednym był przekonany: trzeba było formować mężczyzn i kobiety, aby rozjeżdżali się po różnych krajach i kontynentach, i aby sami formowali wiele osób, jakie Pan posyłał do Opus Dei. Jednak wcześniej trzeba było przewidzieć, gdzie oni będą

mieszkać. Tam, gdzie jest dużo ptaszków, mawiał, trzeba dużo klatek. Tak mówił do osób zgromadzonych w Barcelonie, podczas podróży po Hiszpanii w 1972 roku:

W Rzymie, bardzo blizutko Villa Tevere — którą także trzeba poprawić, ponieważ budowaliśmy ją w wielkim pośpiechu — kupiliśmy kilka hektarów i budujemy tam dom dla ponad trzystu ptaszków. Przyjeżdżają do mnie biskupi z całego świata i mi mówią: Ależ ksiądz jest szalony. A ja im odpowiadam: Jestem jak najbardziej przy zdrowych zmysłach. Kiedy są ptaszki, a nie ma klatki, to czego potrzeba, to właśnie klatka. Muszę tam formować — trzymając ich tam przez rok, dwa, trzy, jak najdłużej — moich synów intelektualistów ze wszystkich krajów^[44].

Dostojnicy kościelni, którzy słyszeli o tym projekcie i jego wykonaniu, starali się go Ojcu wyperswadować. Dzieło tych rozmiarów było szalonym przedsięwzięciem, zwłaszcza w dobie kryzysu wśród chrześcijan wszystkich krajów. Jak miał zamiar utrzymać i wypełnić te budowle? Z całą pewnością było to szaleństwo. Popełniał poważny błąd[45].

Ojciec temu nie przeczył. Pierwszy się z tym zgadzał. Projekt był prawdziwym szaleństwem, ale szaleństwem wzorowym i koniecznym. Dlatego też nie miał zamiaru się wycofać.

6 grudnia 1971 roku, kiedy prace trwały już od roku, Ojciec poprosił architektów, by zawierzyli rozwiązanie problemów ekonomicznych św. Mikołajowi z Bari, którego święto przypadało na ten dzień. Co więcej, oświadczył im,

że w ciągu trzech lat od tego dnia powinny zostać zakończone prace[46]. Ale rozpoczęcie prac oznaczało konieczność przewyciężania przeszkód. Niektóre trudności można było przewidzieć, ale wiele innych pojawiło się zniemacka. Przeszkody o charakterze technicznym i biurokratycznym, strajki, niespodziewane zwyczajki kosztów materiałowych... Wszystko to działo się w okresie braku stabilizacji społecznej, napięć pracowniczych, porwań ludzi i terroryzmu na wielką skalę... Nie mogli sobie wybrać gorszego czasu na prowadzenie tych prac[47]. W obliczu tych wszystkich problemów niejeden z przyjaciół radził Ojcu, czy nie lepiej by było porzucić projekt Cavabianki i budować z dala od Rzymu, albo w ogóle w innym państwie. Ale zasadniczym powodem postępowania Ojca i argumentem, by kontynuować prace, była kwestia o charakterze nadprzyrodzonym:

usytuowanie w Rzymie. Jego “rzymskość” była gwarancją jedności i skuteczności apostołskiej[48].

W dniach poprzedzających rozpoczęcie prac Ojciec nalegał, aby alumni Kolegium Rzymskiego śledzili z uwagą prace w Cavabianca. W tym celu przypominał im, że nowe budynki powstają za cudze pieniądze, owoc pracy wielu ich braci, a także z pomocą przyjaciół i współpracowników, którzy z dobrej woli wspierali je, sami często nawet nie będąc chrześcijanami[49]. Ale diabłu, jak mawiał Ojciec, projekt niezbyt się podobał i czynił wszystko, by uniemożliwić jego realizację[50]. I aby budowa Cavabianki, podobnie jak *Villi Tevere*, miała większy posmak poświęcenia i miłości do Boga, na ubóstwo nakładały się również liczne pomówienia.

TorreCiudad i Cavabianca były dwoma szaleństwami popełnionymi

z miłości w tym samym czasie.
Siostrzanymi projektami pod
względem materialnym i duchowym.
Wyrazem miłości Ojca do dusz i jego
nabożeństwa do Najświętszej Maryi
Panny. Dwoma dziełami
zbudowanymi na fundamencie
wielkoduszności i ubóstwa.
Przepełnionymi nadzieją.
Wykonanymi z dbałością o
najdrobniejsze szczegóły[51].
Prowadzonymi z wytrwałością i
poświęceniem.

Pewnego dnia Ojciec mówił swoim
dzieciom o Cavabiance, swym
przedostatnim szaleństwem, jak
zwykł ją nazywać. Jeden z nich spytał
go: — Jakie będzie to ostatnie? —
Ostatnie, odpowiedział Ojciec, to
umrzeć we właściwym czasie[52].
W ten sposób okazał całkowite
oddanie się w ręce Boga i swą
pokorę; nie chciał być ciężarem dla
swych dzieci, gdy się zestarzeje i
opuszczą go siły.

2. Trzeci dzwonek

Prace w Cavabianca posuwały się naprzód, pośród hałasu koparek, ciężarówek i betoniarek. Ojciec, chociaż pozostawiał swobodę architektom, śledził pilnie prace na planach. Spędzał całe godziny w pracowni architektów, czyniąc sugestie i prosząc o wyjaśnienia. Nie podobały mu się architektoniczne giganty. Stosownie do jego wskazówek, Cavabianca miała być zespołem budynków, w którym panowała rodzinna i przyjemna atmosfera małego miasteczka. Znajdowały się tam zakątki z malutkimi ogródkami i fontannami, a także przestronne miejsca z widokiem na place, ulice i otwartą zielenią. ***Bardzo lubię — mówił do swoich dzieci — oglądać sadzenie drzew, nawet jeśli z ich owoców i cienia nie będę korzystał. Wielką radość sprawia mi sadzić drzewko***

dla innych, dla moich synów, by cieszyli się jego cieniem[53].

Możliwe, że poprzez tego typu rozważania wskazywał na perspektywę zbliżającej się śmierci. Myśl, że nie zdoła nacieszyć się Cavabianką, świeciła w jego duszy, jakby okryta mgłą. Powtarzał wtedy, że dla niego już nastaje wieczór. Nieraz wyrywało mu się z piersi westchnienie, połączone z refleksją: ***Mam siedemdziesiąt jeden lat — mawiał — i każdego dnia mogę odejść***[54]. W ostatnim czasie ta perspektywa zapadła bardzo głęboko w jego umyśle i – przy wielkim cierpieniu tych, którzy go słuchali – Ojciec powtarzał, że jego życie dotarło do takiego momentu, że śmierć była zrozumiała i możliwa do przewidzenia. ***Proszę Boga, aby mnie zabrał w intencji Kościoła, tu tylko zawadzam, a z nieba będę mógł lepiej pomagać***[55]. Często prosił też Boga o łaskę ***śmierci***,

która nie sprawi kłopotu

innym[56], ponieważ nie chciał
czynić komukolwiek kłopotów, ani
być ciężarem dla swoich synów.

Na pierwszy rzut oka nic nie
wskazywało na to, by w tle tych
wszystkich refleksji prześladowało
go przecucie, że zbliżał się kres jego
dni. Ale jednak pamięć nie mogła
wymazać faktów. Wystarczyło
policzyć wszystkie lata i trudy, oraz
prześledzić jego chroniczne
dolegliwości. Jednak zdecydowane
panowanie zdyscyplinowanej woli
oraz energia moralna, jakiej zawsze
dawał dowody, przeczyły temu, że
podąża ścieżką prowadzącą do
ostatecznego wypalenia. Chociaż nie
można było zaprzeczyć, że w
konsekwencji ciągłego i heroicznego
wysiłku był wystawiony na okropne
wyczerpanie fizyczne,
przewyciężane – z Bożą pomocą –
przez duchową siłę.

Dlatego, gdy się słyszało, jak mówi:
***Nie wiem, ile czasu Bóg
przeznaczył na moje życie***^[57],
zdanie to nie miało żadnego
specjalnego znaczenia. Można był o
jednak usłyszeć jego stwierdzenie, że
spędził życie ***grając na
kontrabasie***^[58]. Ponieważ w tym
przypadku czynił rachunek
sumienia, i chodziło o wyznanie na
temat całego życia, które uznawał za
puste, i które chciałby poprawić
poprzez głęboki akt żalu z miłości.
Widział siebie jako kogoś biednego,
pozbawionego zalet, kruchego i
wielokrotnie naprawianego, jak
stłuczony gliniany garnek. Przy tej
okazji zwykł opowiadać publicznie,
że podczas jego podróży apostolskiej
po Portugalii w 1972 roku, jego
synowie podarowali mu fajansową
wazę, bezwartościową, poza tym, że
miała dookoła wypisane słowa:
“Kocham cię , kocham cię, kocham
cię...” Podstawa była rozbita i spięta
klamrami. W tej skromnej wazie

Ojciec widział swój portret. Był to obraz jego życia: rozbitego i pospinanego klamrami; za każdym razem nowymi klamrami, wraz z upływem kolejnych lat[59].

Ojciec czuł, że jego czas ucieka. Dlatego też, gdy zaangażował się w jakieś przedsięwzięcie służebne, czynił to całkowicie, nie zważając na zmęczenie i ciężar wieku. Był wtedy inny. Wydawał się odmieniony. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskiwał młodość, a duch pociągał za sobą do góry także siły cielesne. Pewnie w jego uszach jeszcze brzmiały słowa tego zdania pochodzącego wprost od Boga: *„Miłość wyraża się w czynach, a nie w gadaniu”*. Miłość do Kościoła, do Dzieła i do wszystkich dusz popychała go, by starać się zadośćuczynić aż do ostatniej chwili, za to, co uważał za czas stracony ze swego życia: całą egzystencję

połączoną z “graniem na kontrabasie”.

* * *

Najpoważniejszym problemem, z którym musiał się zmierzyć założyciel Opus Dei w ostatnich latach swego życia, była sytuacja w Kościele. Stanowiła ona dla niego nieprzerwane źródło cierpienia. Temu “czasowi próby” dla wszystkich chrześcijan poświęcił trzy ostatnie listy do swoich dzieci - dwa z wiosny 1973 roku i trzeci z lutego 1974 roku.

Wypełniając słodki obowiązek pasterski, z Ojcowską troską, ponownie przypominał im w pierwszym z tych listów (z 28 marca 1973 roku), o niebezpieczeństwach, na jakie byli narażeni w **czasie ciężkiej próby**, przez jaki przechodził Kościół:

Od lat już zwracam wam uwagę na objawy i przyczyny tej zaraźliwej gorączki, która trawi Kościół, a która stanowi niebezpieczeństwo dla zbawienia tak wielu dusz.

Pragnę z całym naciskiem wam powtórzyć, żebyście byli wciąż czujni i wytrwali w modlitwie: vigilate, et orate, ut non intretis in tentationem (Mt. 26, 41)*: Być w pogotowiu i modlić się, tak powinniśmy się zachowywać podczas tej nocy pełnej majaków sennych i zdrady, jeśli chcemy być blisko Jezusa Chrystusa i pozostawać w zgodzie z naszym powołaniem. To nie jest czas na ospałość, to nie jest czas na sjęstę, trzeba być wciąż przytomnym, być wciąż czujnym na modlitwie i w sobie.

***Być w pogotowiu i modlić się!
Niech nikt nie myśli, że jest
odporny na zakażenie[60].***

W tym celu dawał im stosowne rady: wytrwać w mocnej wierze, dbać o akty kultu, uczynić z całego swego życia akt czci dla Trójcy Przenajświętszej, przeżywać dobrze Mszę Świętą, która jest ***centrum i korzeniem naszego życia wewnętrznego***; podtrzymywać ***mocnego ducha ekspiacji***, prosząc o wybaczenie ***za tyle przestępstw, jakie są popełniane przeciwko Bogu, przeciwko Jego Sakramentom, przeciwko Jego nauce, przeciwko Jego moralności[61]***. Zawsze jest pora na miłość do Pana — powiada swoim synom — ale powinniśmy się jeszcze bardziej zbliżyć do Niego w tych czasach obojętności i złego postępowania. ***To zobowiązuje nas do szukania każdego dnia większej bliskości z Bogiem[62]***.

List, od początku do końca, jest nieustannym naleganiem na stosowanie środków nadprzyrodzonych i sięganie po broń, jaką zawsze dysponuje chrześcijanin, aby wytrwać w miłości Chrystusa. Jest to także wezwanie do działań apostoelskich, w których każdy powinien być ***jak zapalona latarnia, świecąca Bożym światłem pośród tych ciemności, jakie nas otaczają***[63].

Wreszcie, na koniec listu, Ojciec kładzie akcent na spokojną radość, ponieważ Pan pragnie, aby Jego dzieci były lojalne i przepełnione niezachwianym optymizmem. Namawia ich więc do rozważania faktu, że w historii Kościoła w czasach głębokiego kryzysu wystarczała garstka ludzi oddanych, aby przeciwstawić się skutecznie sługom zła:

Ale tych niewielu przepęłniło ponownie światłem Kościół i świat. Dzieci moje, pamiętajcie o obowiązku, by być lojalnymi względem tego, co otrzymaliśmy od Boga, aby przekazać to wiernie. Nie możemy i nie chcemy złożyć broni.

Nie podawajcie si e biernie wpływowi otoczenia. Nieście ze sobą środowisko Chrystusa we wszystkie miejsca. Dbajcie o to, by zostawiać Boży ślad, z miłością, z troską, z jasnością doktryny, we wszystkich stworzeniach, które spotykacie na swej drodze. Nie pozwólcie, by to naśladowanie nowości wykorzeniło z waszej duszy pobożność. Boża prawda jest wiecznie młoda i nowa, Chrystus w żadnym wypadku nie jest przestarzały: Iesus Christus heri et hodie, ipse et in saecula (Heb 13, 8)*[64].

Nie minęły trzy miesiące, gdy widząc, jaki obrót przybierają sprawy, ponownie chwycił za pióro. W drugim liście, datowanym 17 czerwca 1973 roku, zwracał uwagę swych dzieci na niezliczone błędy, jakie się przedostawały do doktryny i zwyczajów. W rezultacie Kościół znajdował się pośród straszliwej zawieruchy. A **w tym długim okresie burzy i klęsk, powinniśmy być dla wielu arką ocalenia**[65] — tłumaczył Ojciec, mobilizując apostołsko swych synów. Wielu chrześcijan straciło wizję nadprzyrodzoną, nie żyło już z oczyma zwróconymi ku wieczności, w stronę której przecież wszyscy zdążamy. Zaślepieni **odblaskiem doczesności**, zajmowali postawę krytyczną wobec tradycji i buntowniczą wobec dogmatów. Byli zwolennikami błędnego tzw. **dojrzałego chrześcijaństwa**[66]. Tych Ojciec zachęcał, by sięgnęli po Ewangelię i wsłuchali się w głos

Pana: «Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego » (Mt 18, 3).

Coraz większa była liczba tych, którzy głosili życie wyzute z nadprzyrodzonej wiary, starając się zewsząd wyrugować Boga:

Zwłaszcza w marksizmie, który jest sumą wszystkich innych błędów, dostrzec możemy totalny bunt: wieczność jest zastępowana historią, to, co nadprzyrodzone, tym, co naturalne, to, co duchowe, tym, co materialne, łaska Boża ludzkim wysiłkiem [...].

Niektórym wydaje się, że zamiast tego, by Kościół — ten Kościół, co zawsze, ten, który Jezus Chrystus ustanowił i który Chrystus wspierał bezustannie przez te dwadzieścia wieków — był zbawieniem dla świata, to świat

powinien być zbawieniem dla Kościoła[\[67\]](#).

W Boże Narodzenie 1973 roku, gdy składał życzenia swoim córkom i synom, wciąż odnosił się do tego zasadniczego tematu, poruszonego w obu obszernych listach z poprzednich miesięcy. ***Mam obowiązek powiedzieć wam te smutne prawdy, aby was przestrzec, otworzyć wam oczy na rzeczywistość, czasami tak bardzo bolesną***[\[68\]](#) - powtarzał. Potem zapowiadał trzeci list: ***Napiszę do was wkrótce: jeszcze raz uderzę w potężny dzwon, aby nikogo nie zmorzył zły sen.*** Jednak nie chodziło mu o to, by ich martwić, ponieważ ***Boże Narodzenie nie jest czasem goryczy, ani pesymizmu. Powinniśmy się napęłnić spokojem, nadprzyrodzoną nadzieją, wiarą: Pan przyjdzie, to jest pewne***[\[69\]](#).

Po upływie kilku tygodni Ojciec wysłał do całej rodziny Dzieła list „wzywający”, już wcześniej zapowiadany na Boże Narodzenie 1973 roku. To nowe przesłanie nazwał pieszczotliwie “trzecim dzwonkiem”, ponieważ do niedawna było w zwyczaju — a w niektórych miejscach nadal ten zwyczaj się zachował, — by wzywać wiernych na mszę trzema uderzeniami w dzwon, pomiędzy którymi następowały dłuższe przerwy. Ostatni rozbrzmiewał tuż przed rozpoczęciem obrzędów liturgicznych. List ten rozpoczyna się w następujący sposób:

Najukochańsi, niech Jezus mi zachowa moje córki i moich synów. Jeszcze raz wychodzę wam na spotkanie, uderzając jeszcze raz w dzwon. Czuję zobowiązanie, by was zawiadomić i czynię to tak, jak tradycyjnie zwołuje się wiernych, aby zbliżyli się do

***Ofiary Jezusa Chrystusa:
powtarzając wezwania. Zwykle
zapowiedzią Mszy Świętej są trzy
uderzenia dzwonu. Ludzie, słysząc
dobrze znany dźwięk,
przyspieszali kroku, biegli wręcz
do domu Pańskiego. Ten list jest
trzecim zaproszeniem w ciągu
niecałego roku, aby przynaglić
wasze dusze do wypełniania
zobowiązań wynikających z
naszego powołania podczas
ciężkiej próby, przez którą
przechodzi Kościół.***

***Chciałbym, aby to bicie w dzwony
wniosło do waszych serc na
zawsze taką samą radość i
czujność ducha, jaką pozostawiły
w mej duszy – minęło od tej pory
prawie pięćdziesiąt lat – tamte
dzwony z Matki Bożej od
Aniołów[70].***

Miał obowiązek ukazania im
brutalnej prawdy, bez owijania w

bawełnę. Ojciec zajął się otwarciem im oczu, aby ujrzeli w całej powadze bolesne zdarzenia, które dotykały Kościoła. Wypadało, żeby dowiedzieli się tego z wiarygodnego źródła i by nie poczuli się przygniecenii tak złymi wieściami. Aby więc jego dzieci nabrały odpowiedniej perspektywy nadprzyrodzonej, a także ludzkiej, w obliczu tego momentu historycznego, ukazywał im sytuację w świetle wiary, nadziei i moralności[71]. A żywy styl jego słów miał pomagać rozbudzonemu sumieniu jego dzieci, aby zintensyfikowały swe życie wewnętrzne i nie popadły w zniechęcenie:

Mam nadzieję, że za pomocą tych słów popchnę was do tego, byście szukali z większym wysiłkiem obecności, rozmowy, przebywania i bliskości z Bogiem, Panem naszym, w Trójcy Jedynym, poprzez rodzinne nabożeństwo do ziemskiej trójcy. Aby stała ufność

w Jezusa, Maryję i Józefa była dla nas i dla tych, co nas otaczają ciągłą katechezą, otwartą księgą, która pomoże nam uczestniczyć w tajemnicy, miłosiernie zbawczych tajemnicach Boga, który stał się Człowiekiem[72].

Za każdym razem, gdy Ojciec przyglądał się bliżej jakiemuś szczególnemu aspektowi współczesnego życia, jego oczom jawiła się najpierw skorupa nędz i nieładu. Jednak pod tą skorupą znajdowało się żywe i zdrowe ciało. Ojciec nie jest w żadnym wypadku prorokiem klęsk i goryczy. Raczej stara się przynieść duszom pokój i równowagę. Nie wzywa swych dzieci, aby wywołać w nich **prosty odruch emocjonalny**, powierzchowny, ale stara się, aby w ich sercach zawsze gościło **szczerze odczucie bólu**. A wraz z bólem także radość, oba czynniki, o których nigdy nie powinien zapominać

chrześcijanin. Oto toast, jaki wzniósł Ojciec w obecności swoich dzieci, na początek roku 1974 roku: ***Dla wszystkich radości, a dla mnie — razem z radością — skruchy***[\[73\]](#).

W liście można dostrzec między wierszami przebłycki pośpiechu. Jeszcze raz intensywnie przebija świadomość upływającego czasu, a w tle można dostrzec stan ducha Ojca:

Trzeba trwać w gotowości, dzieci moje, trzeba trwać w gotowości, ponieważ zdamy sprawę z czasu bezużytecznie zmarnowanego. Dla nas czas jest Bożą chwałą, czas — w każdej chwili — jest niepowtarzalną okazją, by siać dobrą doktrynę. Nie ma żadnych przyczyn, które usprawiedliwiałyby zaniedbywanie apostołstwa[\[74\]](#).

Postawa nie ***ustępowania choćby o milimetr***, jaką przyjął założyciel Opus Dei — mocny w wierze, wierny

swoim postanowieniom, rozsądny w podejmowaniu decyzji, wytrwały i odpowiedzialny — utrzymywała jedność Dzieła, zapobiegając jego podziałowi. W liście tłumaczył powody swego postępowania:

Córki i synowie moi, pragnę jasno potwierdzić, że odczuwam odpowiedzialność przed Bogiem, który powierzył mi tyle dusz. Po długiej modlitwie i mobilizowaniu innych do modlitwy przez długi czas przekazałem Wam postanowienia, które w sumieniu uważam za rozsądne, abyście wy – pośród tego kościelnego chaosu – mogli liczyć na pewne wskazówki, które pozwolą Wam się zorientować w sytuacji[\[75\]](#).

A następnie:

W Opus Dei nie możemy dawać schronienia nikomu, kto ma żalosną zdolność do naruszania ścisłej — powtarzam to

świadomie: ściśle! — jedności wiary i dobrego ducha, z którym pomimo naszych osobistych nędz staramy się znajdować bardzo blisko Pana[76].

* * *

W swoim **trzecim dzwonku** Ojciec przypomina wszystkie radości, jakie sprawili mu jego córki i synowie dzięki ich wierności i ich prawdziwie chrześcijańskiemu życiu. Wszyscy okazali się oddani w służbie Bogu w Dziele, jeżdżąc z jednego miejsca w drugie albo też trwając bez zmęczenia w tym samym miejscu. Dzięki tej hojności, jak pisze don Josemaría, Pan **włał swoją uświęcającą skuteczność: nawrócenia, powołania, wierność Kościołowi we wszystkich zakątkach świata**[77].

Ale zarówno historia, jak i “prehistoria” ekspansji Dzieła na różne kraje europejskie była pisana

osobiście przez Ojca, przez jego nieustanne podróże, otwieranie kolejnych ośrodków i **wypełnienie szos zdrowaškami i piosenkami**. Wielokrotnie musiał podejmować podróże poza Włochy, odwiedzając kolejne miasta i sanktuaria maryjne. Nie czynił tak z osobistego kaprysu. Kiedy w ostatnich latach jego życia lekarze zalecali mu wyjazd z Rzymu, aby zmienić klimat i przerwać na chwilę pracę, odpowiadał im: **Muszę być w Rzymie, to jest mój krzyż i nie mogę go przestać obejmować**^[78].

Osobiście nie znał bezpośrednio działalności swych synów w Amerykach, poza Meksykiem, gdzie udał się na pielgrzymkę w 1970 roku. Pragnął zobaczyć ich “w ich własnym sosie”, jednak nie było stosownej po temu okazji. Pisali do niego, telefonowali, nalegali, by ich odwiedził. Starali się wszelkimi sposobami przekonać Ojca, aby

zobaczył kraje, gdzie jego córki i synowie prowadzili prace apostolskie, środowisko, w jakim się poruszali oraz inicjatywy, które wprowadzili w życie. Odpowiedź Ojca była zawsze, niezmiennie ta sama: że jest biedny, że nie podróżuje turystycznie, że nie jeździ tam, gdzie chce, ale tam, dokąd go pošlą. W 1969 roku, gdy nawet mu przez myśl nie przeszedł pomysł odbywania podróży katechetycznych po Ameryce, podczas spotkania rodzinnego zapytano go o taką możliwość:

Nie mogę robić planów na własną rękę –odpowiedział. – Nie wiem, ja nie decyduję. Tutaj decyzje podejmuje się kolegialnie. Nie mogę być dyktatorem w Opus Dei. Ja mam tylko jeden głos. Muszę dostosować się do woli większości. Bardzo chciałbym pojechać nie tylko do Ameryki, ale także w inne miejsca w Afryce i w Azji...

Pewnego dnia, jeśli będzie trzeba, powiedzą mi: Ojciec trzeba jechać. I pojedę^[79].

Gdyby zależało to wyłącznie od jego woli, Ojciec już kilka razy obleciałby świat, aby być ze swymi dziećmi na wszystkich pięciu kontynentach. Ale prośba, aby odwiedził kraje amerykańskie, miała się spełnić znacznie szybciej niż mógł się spodziewać, chociaż stało się to niespodziewanie, w momencie gdy nie miał wielkiej ochoty na podróż. Rzeczywiście, w marcu 1974 roku jego synowie zaczęli go delikatnie namawiać, by powtórzył swój objazd apostolski z 1972 roku, tym razem po Ameryce. Początkowo Ojcu spodobał się ten pomysł, ponieważ odpowiadał jego zapałowi apostolskiemu oraz stwarzał możliwość umocnienia w wierze tysięcy osób. Sprzeciwiał się temu natomiast jego wewnętrzny opór przed znajdowaniem się w centrum ogólnej uwagi, wystawianiu

się na aplauzy, hołdy i publiczne okazywanie przywiązania, jak gdyby był osobą świętą. To go zawstydzalo i upokarzało[80].

Kiedy 25 marca Ojciec pisał do kardynała Mario Casariego z Gwatemali, miał w planach (choć jeszcze nie podjęto ostatecznej decyzji) podróż po Ameryce: ***Niech Ksiądz Kardynał modli się nieprzerwanie***— pisał, — ***aby wszystko udało się rozwiązać i byśmy mogli pojechać – razem z d. Álvaro i d. Javierem – do tych ukochanych krajów***[81]. A w miesiąc później ponownie zapewniał kardynała: ***Za kilka miesięcy mam nadzieję zrealizować moje marzenie i odbyć podróż po tych krajach***[82]. Nie chodziło więc o ostateczną decyzję, ale o możliwość, na którą spoglądał z życzliwością.

W maju założyciel Opus Dei brał udział w ceremonii nadania dwu

tytułów doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Nawarry. Uroczystość akademicka miała miejsce 9 maja 1974 roku, a Ojciec, jako Wielki Kanclerz, miał nadać tytuł biskupowi Essen, Franzowi Hengsbachowi oraz profesorowi Jérôme'owi Lejeune'owi. Założyciel Opus Dei wygłosił swą mowę, koncentrując się na zagadnieniu nienaruszalnej świętości ludzkiego życia: ***Życie ludzkie, które jest święte, ponieważ pochodzi od Boga—*** mówił do uczestników uroczystości ***—nie może być traktowane jak zwyczajna rzecz, jak liczba w statystyce***[\[83\]](#).

W drodze powrotnej, przejeżdżając przez Madryt, udzielił Pierwszej Komunii Świętej jednemu ze swoich bratanków, jak to było wcześniej ustalone[\[84\]](#). Ale przed powrotem do Rzymu jego synowie zaproponowali mu zmianę planów. Najbliższe tygodnie stwarzały okazję, być może

niepowtarzalną, aby odbyć planowaną podróż po Ameryce. Ukazali mu, jak wiele dobrodziejstw duchowych mogła przynieść jego wizyta. Przede wszystkim podniesienie na duchu i ubogacenie życia wewnętrznego tyłu jego dzieci. Mógłby poza tym udzielić wielu cennych rad dyrektorom i dyrektorkom różnych regionów oraz zasiać hojnie doktrynę wśród ludzi. Jak można się było spodziewać, zapał apostołski Ojca został pobudzony, natychmiast więc rozpoczęto przygotowania do tej podróży, licząc się z długim pobytem w krajach Ameryki Południowej[85].

Pozostawała do rozstrzygnięcia jedna poważna kwestia: czy Ojciec był w wystarczająco dobrej formie fizycznej, by podjąć się tej podróży. Roztropnie zasięgnięto zdania lekarzy na temat właściwości tego rodzaju podróży oraz związanych z tym obowiązków. Kilka dni wcześniej

zrobiono mu badania w Pampelunie. Nie przeszkodziło to, by ekipa lekarzy z Uniwersytetu Nawarry zrobiła je ponownie w Madrycie, tym razem bardziej dokładnie.

Pomijając zdiagnozowaną wcześniej niewydolność nerek, która z latami się pogłębiała, silne stany zmęczenia, jakie się utrzymywały, wiele skutków przebytych wcześniej chorób oraz kilka drobnych dolegliwości chronicznych, ogólny stan zdrowia Ojca określono jako “zadowolający”[86]. Być może w uszach osób trzecich słowo to w tej sytuacji nabierało lekkiego odcienia ironii. Nie było tak jednak w wypadku Ojca, który w pełni się zgadzał z tak optymistycznym spojrzeniem na swój stan zdrowia, ponieważ otwierało mu ono obszerne pole do pracy bez żadnych przeszkód. A jeśli chodzi o lekarzy, była to ocena, która pozwalała im wziąć pod uwagę także

pozamedyczne kryteria. Dlatego też w historii choroby znajdują się argumenty odpierające możliwe obiekcje: «po stosownym namyśle zadecydowaliśmy odpowiedzieć pozytywnie na pytanie o możliwość odbycia przezeń podróży do Ameryki, pomimo opisanego wrażenia»[87]. W dalszej części lekarze, którzy go badali, tłumaczą, że «opinia medyczna na temat podróży jest pozytywna i została wydana z uwzględnieniem osobowości prałata Escrivy de Balaguera».

Zdaniem lekarzy, którzy go znali, był posłusznym pacjentem, pozbawionym jakichkolwiek kompleksów. Uśmiechał się i współpracował. Nigdy z jego ust nie można było usłyszeć słowa skargi. Podczas badań lekarskich, gdy go pytano o stan zdrowia, odpowiadał niezmiennie: **Czuję się dobrze.** Wskazując na don Álvaro i

na don Javiera (swoich *Custodes*),
dodawał: ***ale oni mogą wam
powiedzieć, co o tym myślą***[88]. To
wszystko nie oznacza, by był łatwym
pacjentem. W rzeczywistości,
usprawiedliwiając lekarzy, należy go
określić jako pacjenta bardzo
specyficznego. Na przykład
wyczerpująca praca podczas podróży
katechetycznej po Hiszpanii w 1972
roku sprawiała, że czuł się
wyśmienicie, choć na skutek tego
jego stan fizyczny pogorszył się
bardzo szybko. Lekarze nie potrafili
przekonująco tego wytłumaczyć. Ani
tego, dlaczego alarmujące wyniki
badań klinicznych nie współgrały z
żywością Ojca.

W chwili podejmowania decyzji o
jego podróży do Ameryki, lekarze
byli doskonale świadomi, pomimo
wszystkich zagrożeń, całego dobra,
jakie płynęło z jego odwiedzin oraz
niewyczerpanej energii duchowej
założyciela Opus Dei. Ze stosowną

ostrożnością zalecali reżim ograniczonej aktywności, z częstymi odpoczynkami oraz towarzystwo lekarza w trakcie całej podróży[89]. To ostatnie wymagało nie stanowił większego problemu. Doktor Alejandro Cantero znajdował się u jego boku od chwili wyjazdu z Madrytu. Jeśli chodzi o ograniczenie aktywności i przepisany odpoczynek... o tym nie mogło być mowy.

Przy tym wszystkim entuzjazm Ojca wobec projektowanego wyjazdu apostolskiego do Ameryki Południowej gwałtownie zmalął. Jak niemal zawsze w takich przypadkach, w końcu wyjeżdżał wbrew sobie, bez specjalnych chęci. Do tego stopnia, że kiedy w przeddzień wyjazdu mówiono z nim na temat katechezy w Ameryce, bez owijania w bawełnę, w kilku słowach dał wyraz swemu stanowi ducha: ***Nie mam w ogóle ochoty, ale nigdy nie***

robiłem tego, na co mam ochotę[90]. Tak było. W obu sprawach miał rację. Wyglądało na to, że Pan czuwał nad tym, by pozbawić go wszelkiej naturalnej zachęty. Jego wybawieniem była modlitwa, wspierany modlitwami swych córek i synów przekraczał Atlantyki:

Niech Jezus zachowa mi moje córki w Rzymie—pisał do członkiń Asesorii Centralnej.

Ukochane, za kilka dni zaczniemy naszą podróż do Ameryki Południowej i trzeba, abyście nas wsparły waszą modlitwą i pracą. Sprawia mi wielką radość myśl, że będziecie nam w ten sposób towarzyszyć.

Wszystkie wasze siostry tutaj czują się bardzo dobrze.

Serdeczne błogosławieństwo od waszego Ojca,

Mariano[91].

3. Podróż do Ameryki Południowej (1974)

Ojciec wsiadł do samolotu rankiem we środę, 22 maja 1974 roku, a wylądował w Ríó de Janeiro wieczorem. Gdy wyłączono silniki, na pokład samolotu weszło kilku członków Dzieła. **Pax*, rodaku! Postawiłeś na swoim!** –takie były pierwsze słowa Ojca na powitanie Javiera de Ayali, tutejszego konsyliariusza, który pochodził z Aragonii.

Gdy zakończone zostały formalności po przylocie, przesiedli się do innego samolotu. Już się ściemniało. Po godzinnym locie dotarli do São Paulo. Na tamtejszym lotnisku już czekała na niego spora grupa jego dzieci. Była dziewiąta wieczorem, gdy Ojciec wszedł do kaplicy w Sumaré, siedzibie brazylijskiej Komisji Regionalnej, aby przywitać

się z Panem i złożyć przy tabernakulum czerwoną kamelię, którą otrzymał od jednej ze swych córek na lotnisku.

Następnego dnia przypadało święto Wniebowstąpienia Pana Jezusa. Rano Ojciec odbył dwa pierwsze spotkania z regionalną Asesorią oraz z Administracją. Od razu na wstępie zaproponował swoim córkom, by owoc, jaki wyniosą z tego maja był następujący: ***Do Jezusa, przez Maryję, wraz z Józefem***[92].

Do południa Ojciec spotkał się z trzema różnymi grupami. Tym osobom, które starały się go chronić przed nadmiernym zmęczeniem po tak długiej podróży odbytej poprzedniego dnia, pół żartem, pół serio odpowiedział, że nie przybył do Brazylii, by odpoczywać, tylko by pracować. ***Jeśli nie dacie mi pracować - wyjeżdżam***[93]-mówił im. Natychmiast zorganizowano

więc następne spotkanie, o szóstej wieczorem, z numerariuszami z Ośrodka Studiów, którzy mieszkali w domu niedaleko Komisji. Rozpoczął, mówiąc im, że jego obecność w tym miejscu jest opatrnościowa, choć także konsyliariusz postawił na swoim po kilku latach próśb, by Ojciec przyjechał do Brazylii:

Sprowadził mnie! Sprowadził mnie tutaj! I jestem mu wdzięczny... Ale to nie byłeś ty — zwracał się do niego. — To Bóg się tobą posłużył. To Bóg mnie sprowadził, abym się z wami zobaczył, ponieważ to jest niezmierna radość, móc widzieć wasze spojrzenia, wasze twarze, zapał, żeby się zachowywać dobrze, by walczyć[94].

Ojciec, który przed podróżą czuł się zrezygnowany, w ciągu zaledwie kilku godzin przeobraził się zupełnie. Po pierwsze, zaczął rozważać tę

fascynującą przygodę w jakiej wziął udział. (Gdy tylko wysiadł z samolotu i stanął na ziemi brazylijskiej, powiedział półgłosem do siebie: **Potrzeba mi całej ludzkiej wiary, aby uwierzyć, że jestem w Brazylii**[95]). Następnie, już w trakcie pierwszych spotkań ze swymi córkami następnego ranka po swoim przyjeździe Ojciec był odmieniony. Był zupełnie wypoczęty, a jego serce przepełniała miłość i troska o swe córki.

Wieczorem, na spotkaniu swymi synami z Ośrodka Studiów był jakby całkiem odmłodniały, poruszał się sprawnie, gotowy do dzielenia się z nimi swymi pierwszymi wrażeniami z Brazylii:

Kiedy widzę wszystko to, co mnie otacza, kiedy widzę was, czuję wielkie zadowolenie i bardzo dziękuję Bogu. Tak bardzo odpoczywam między wami!...

Jestem zaledwie od kilku godzin w Brazylii i już jestem zakochany w tym kraju[96].

Ojciec mówił im o powołaniu chrześcijańskim, o walce ascetycznej, o szczerości. A oni go pytali, jakby znali się całe życie. Chcieli się dowiedzieć nawet, co będzie miał na kolację: warzywa bez oliwy i bez soli, tortillę z jednego jajka, a następnie pół owocu na deser.

Pobłogosławił im. Zachęcił, aby ich liczba się wielokrotnie zwiększyła. Wyznał im, że jego ciało domaga się walki. Czuł się tak dobrze, że w piątek, 24 maja, spotkaniu ze swymi córkami w Casa Nova, siedzibie Asesorii Regionalnej, zaczął od opowiadania o Brazylii, która jest ***cudownym, ogromnym kontynentem***. Rzeczywiście, osoby tam obecne pochodziły z wielu krajów i wielu ras. Widział japońskie twarze sześciu córek będących

*nikkei**, a także twarze o rysach afrykańskich, nordyckich, orientalnych i latynoskich. Większość tych kobiet widziała Ojca po raz pierwszy. Były zasłuchane, wprost chłonęły każde jego słowo:

Pan jest zadowolony z moich brazylijskich córek. Ale oczekuje więcej. Zakochał się w was i nie zadowala się tym, że mu dajecie cząstkę. Chce całego waszego jestestwa! W ten sposób On rozpali ogień miłości, i to nie tylko w Brazylii, ale też daleko poza nią: dzięki Brazylii... W Brazylii i dzięki Brazylii. Czy to jasne? [...]. Z tego kontynentu musicie udać się iść na inne. Cała Azja! Cała Afryka! Przecież tu przybyło wbrew swej woli tylu Afrykanów. Ja proszę Pana, żeby przyprowadził nam wiele Afrykanek[97].

Przyjechał do Brazylii nie po to, by nauczać, ale żeby się uczyć, powtarzał im. Trwał przez te pierwsze dni ***z oczyma i sercem otwartymi na oścież***[98], aby wszystko dobre, co widział, miało swobodny dostęp do jego serca. Trzeciego dnia pobytu, w sobotę 25 maja rano, w audytorium Ośrodka Studiów spotkała się liczna grupa osób, które współpracowały z apostołstwem Dzieła. ***Jestem tu od czterdziestu ośmiu godzin i już nauczyłem się wiele***[99] - zapewniał ich. Odnalazł rozpalone dusze, ludzi, którzy byli u Boga warci całych gór złota, rodziny, które przyjmowały dzieci jako dary z nieba, nie dławiąc źródeł życia:

Brazylia! Zobaczyłem przede wszystkim— mówił, —że jest wielką matką, piękną, płodną, serdeczną, która otwiera swe ramiona dla wszystkich, bez rozróżnienia języków, ras,

narodów, i wszystkich nazywa swymi dziećmi. Wielka to sprawa, Brazylia! Potem zobaczyłem, że traktujecie się po bratersku i wzruszyłem się[100].

Był szczęśliwy wyobrażając sobie, jak wiele można było zrobić *w Brazylii i dzięki Brazylii*. Zaczęliby nieść ogień po kraju. Niczym ognisko miłości, które podpala lasy. Las w płomieniach jest czymś strasznym, potężnym, niszczącym. Tak więc z Bożą pomocą, Opus Dei rozprzestrzeni się po całej Brazylii i potem, dzięki tej cudownej platformie, miłość Boga przeniesie się na inne kontynenty. *Skończymy z pogaństwem na świecie: przede wszystkim w Brazylii i dzięki Brazylii[101]*-podkreślał założyciel Opus Dei. (Zaraz po przyjeździe do Sumaré napisał w dzienniku tamtejszego ośrodka dwa słowa: *ut eatis[102]*. Kiedy ktoś zapytał go, co to znaczy, odpowiedź Ojca była

krótka: ***Potrzebują was w Japonii i w Afryce. Dlatego wam napisałem ut eatis!***[103], abyście jechali).

Pewnego dnia, podczas spotkania Ojca z jego starszymi synami w salonie ośrodka, w którym mieściła się Komisja, ktoś poprosił o błogosławieństwo dla nich. Uklękli, czekając na zwyczajowe błogosławieństwo, kiedy Ojciec, poczuł rozpalającą go od środka apostołską wielkość misji powierzonej jego dzieciom. Uczynił nad nimi znak Krzyża i niczym starożytny prorok i patriarcha wypowiedział powoli i wyraźnie takie oto słowa:

Abyście się rozmnożyli:

Jak ziarna piasku na waszych plażach,

Jak drzewa na waszych górach,

Jak kwiaty na waszych polach,

Jak aromatyczne ziarna waszej kawy.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen[104].

Jednak duch założyciela Opus Dei nie miał wyłącznie charakteru patriarszego. ***Wiecie, że bardzo wiele mnie kosztowałyście, córki moje? Więcej niż mężczyźni.***

Wiecie, że pewnego razu doprowadziłyście mnie do płaczu, gdy byłem jeszcze młody?[105] Tak mówił na spotkaniu ze swymi starszymi córkami w Casa do Moinho, 27 maja, po konsekracji ołtarza. I powtarzał im z uczuciem pełnym świeżości, jakby po raz pierwszy opowiadał to, co powtarzał już wielokrotnie: że nie miały założycielki, że ich założycielką jest Najświętsza Maryja Panna, że on został wybrany przez Boga, aby wydać je na świat Kościoła w bólach rodzenia, wedle słów św. Pawła, i że

kocha je sercem ojcowskim i matczynym. Być może myślały wówczas, że Ojciec ma zamiar wychwalać czułość uczuć kobiety, lecz chwalił jej duchową odporność:

Lubię nazywać was kobietami, ponieważ Pan na Krzyżu nazywa swoją Matkę kobietą. Kobieta ma więcej odwagi i więcej woli niż mężczyzna. I jesteście bardziej uparte. Kobieta ma serce...

Myślicie, że mam zamiar powiedzieć, że jest ono bardziej delikatne i bardziej subtelne niż męskie? Nie, nie. Wasze serce jest twardsze. Macie serce wielkie, matczyne. Macie serce matki, która kocha cnotę Świętej Czystości i to macierzyństwo duchowe. Wiem to, ponieważ ja także mam serce matki: obdarzył mnie nim Nasz Pan. Ale w apostołstwie powinniście robić wszystko to, co robią mężczyźni, a ponadto powinniście czynić

apostolstwo apostołstw, to jest zajmować się Administracją.

Jeśli Administracja nie działa dobrze, wszystko na nic. Dla mnie to, co ma zasadnicze znaczenie dla Dzieła, to właśnie Administracja[106].

Ojciec był w Brazylii przez dwa tygodnie. Praktycznie całe dni spędzał ze swymi córkami i synami, jak gdyby w otwartej sali wykładowej, przypominając historię Dzieła, ucząc ich doktryny i odpowiadając na ich pytania. Co dzień spotykał się z rodzinami supernumerariuszy, przyjaciół i współpracowników. Około czterdziestu wielkich spotkań miało miejsce w audytorium Ośrodka Studiów, w domu rekolekcyjnym Aroeira, w Palacio de Convenciones w Parque Anhembi oraz w Auditorio Mauá, gdzie zmieściło się dwa tysiące pięćset osób. Sale okazały się

niewystarczające. Cztery tysiące osób otaczało salon w Anhembi. Język nie był przeszkodą w rozmowach. Ojciec mówił do nich po hiszpańsku, a oni pytali po portugalsku.

Porozumiewali się nawet z pomocą gestów, a także za pomocą duchowych wibracji, jakie nadawał Ojciec wypowiedzanym przez siebie słowom.

28 maja poleciał helikopterem do sanktuarium patronki Brazylii, Matki Bożej Objawionej, gdzie setki osób towarzyszyły mu podczas odmawiania różańca.

W przeddzień swego wyjazdu, późnym wieczorem 6 czerwca, Ojciec ani nie potrafił, ani nie chciał żegnać się ze swymi dziećmi. Tłumaczył się względami duchowymi:

***Już wiecie, że nie odjeżdżam;
zostaję tutaj... Poza tym w Opus
Dei nigdy się nie rozstajemy, nie
mówimy sobie do widzenia, do***

***zobaczenia, ponieważ zawsze
jesteśmy consummati in
unum*[...]. Kocham was z całej
duszy! Uczyniliście mnie bardzo
szczęśliwym! Módlcie się za mnie.
Ja pójdę do Boga wcześniej niż wy.
Niektórych z was jeszcze zobaczę
na ziemi, innych w Niebie...***

(Trudno się było żegnać. Ktoś
krzyknął: Nie, Ojczy!

***Tak, synu. Zgodnie z prawem
natury, odejdę wcześniej niż wy...
Módlcie się za mnie... Mówię wam
to, co mówili Panu uczniowie z
Emaus: zapada wieczór! Musimy
wykorzystywać czas tu na ziemi!
Pomóżcie mi go wykorzystać! [107].***

*** * ***

W piątek, 7 czerwca 1974 roku,
Ojciec z Brazylii udał się do
Argentyny, gdzie wylądował na
lotnisku Ezeiza. Niebo było czyste i
rozświetlone. Wiatr rozpędził

chmury, które zebrały się poprzedniego dnia. Teraz świeciło słońce, było sucho i chłodna. Po drodze do La Chacra, ośrodka rekolekcyjnego, w którym miał mieszkać podczas pobytu w Argentynie, Ojciec pytał o wszystko, co zwróciło jego uwagę. O informacje prosił tych, którzy mu towarzyszyli w samochodzie. Dopytywał się i tworzył w umyśle wizerunek kraju i ludzi. Gdy tylko dotarł do La Chacry, udał się wprost do kaplic, aby przywitać się z Panem. Następnie przeszedł do strefy administracyjnej, aby przywitać się ze swymi córkami, jak to miał w zwyczaju. Wystarczyło mu zamienić kilka słów, i rozejrzeć się dokoła, aby zobaczyć panującą tu czystość i porządek, który królował nawet w drobiazgach i natychmiast docenić miłość do Boga, która się w ten sposób objawiała.

W ciągu doby od swego przyjazdu zdążył odbyć kilka długich spotkań

ze swymi córkami i synami. Bardzo szybko zdał sobie sprawę z rozmiarów pracy apostołskiej, którą prowadzili w Argentynie.

Wiedziałem, że praca rozrasta się wspaniale— wyznał —ale nie myślałem, że aż tak. Składam dzięki Bogu, Naszemu Panu. Teraz nie potrzebuję wiary. Wystarczy, że was widzę[108]. Od pierwszego dnia, sądząc z żartów, Ojciec był bardzo zadowolony, że zabrali go, by spojrzeć na świat z drugiej strony Atlantyku. Jego dwaj *Custodes* żartowali serdecznie w czasie spotkań:

— I pomyśleć, że Ojciec wyjeżdżał z Rzymu, myśląc, że wróci za tydzień - mówił don Javier.

— ***Zawsze robią to samo, rządzą mną*** – komentował Ojciec, wzbudzając ogólny śmiech.

— Wszystko było zaplanowane –
dodawał z uśmiechem
współwinowajcy don Álvaro.

— ***Nie do wiary! Wyjechałem z Rzymu... i nie wiedziałem, że mnie tu przywiozą. Ci dwaj mnie oszukali... A ja jestem bardzo zadowolony, że mnie oszukali! Jestem bardzo szczęśliwy!***[109].

Na pierwszej stronie *Dziennika wizyty naszego Ojca w Argentynie*, wyobrażony został ów różaniec aktów strzelistych, które w tak wielu i tak różnych sytuacjach powtarzał, aby dać do zrozumienia, że się oddaje na wyłączną służbę miłującej Woli Bożej. Jego pobyt na tych ziemiach miał być opatrnościowym bodźcem dla rozwoju dzieł apostolskich i dla formacji jego córek i synów. Pisał:

Fiat, adimpleatur, laudetur et in aeternum superexaltetur iustissima atque amabilissima

voluntas Dei super omnia. Amen.

Amen*. — *La Chacra, 7-6-1974.*

Mariano

Nie trzeba czytać długich opowieści i opisów dziennika, wystarczy tylko zajrzeć do kilku lapidarnych zapisek, aby sobie wyobrazić, jak myśleli ci, którzy znajdowali się przy Ojcu i co się działo w ich sercach, gdy go słuchali: «Śmiejemy się, a kiedy indziej w milczeniu pada kilka łez..., i mamy wyraźne wrażenie, że Pan znajduje się pośród nas»[110]. Albo: «Jak bardzo dobrze widać, że tam, gdzie znajduje się Ojciec, znajduje się serce Dzieła!»[111].

We wtorek, 11 czerwca, o dziesiątej rano don Josemaría pojechał samochodem do Buenos Aires, które miał zobaczyć po raz pierwszy w życiu. O jedenastej miał spotkanie z kardynałem Antonio Caggiano* w Pałacu Arcybiskupim. Rozmawiali na temat bolesnej sytuacji panującej w

Kościele. Ojciec wyszedł z tego spotkania poruszony serdecznością kardynała. Zwiedził następnie centrum miasta i w towarzystwie swoich synów odbył długi spacer po Parku Palermo. Po obiedzie miał niezapomniane spotkanie z dyrektorami regionalnymi i niektórymi księżmi.

Ojciec wyznaczył im ambitny program działań. Powtarzał to, co już powiedział w Brazylii, jakby założył, że musi powiedzieć to samo we wszystkich krajach: ***W Argentynie i dzięki Argentynie! Ten kraj musi dać ludzi.*** I ciągnął dalej: ***Cały świat jest polem dla zapалу mych dzieci z Argentyny. Poza samą Argentyną, która sama w sobie to niemało!***^[112] Marzył o przyszłości i nie chciał, żeby jego synowie zawiedli.

Te chwile w rodzinnej atmosferze spotkania w La Chacra Ojciec uważał

za prezent od Nieba. Przekazywał im ducha Opus Dei. Wracął myślami ku przeszłości (czego nie mogły zrobić jego dzieci) i widział, że spełniają się jego marzenia i realizują obietnice. To, co dla niego było żywym wspomnieniem, dla jego córek i synów było najnowszą historią:

Jestem bardzo szczęśliwy! Czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy mieć dwadzieścia sześć lat, łaskę Bożą, dobry humor i nic więcej; słyszeć bicie dzwonów i wolę Boga, zupełnie niemożliwą do spełnienia, bez jakichkolwiek środków ludzkich, i zacząć śnić, a potem ujrzeć to wszystko, zrealizowane na całym świecie?
[113].

Innego dnia, także w La Chacra, słuchali uważnie, jak opowiadał o latach „przeczuć”, gdy nieustannie powtarzał akt strzelisty *Domina, ut sit**! ***Niekiedy myślę***— wyznawał

swoim dzieciom, — *że wszystko to jest snem..., wszystko jest snem... O, mój Boże! Czy ja czegoś sobie nie wymyślam, mój Boże? Czy wszystko jest snem?... To boli!* [114].

Nie był to jednak sen. Ten akt strzelisty wypisał w 1924 roku na figurce Najświętszej Maryi Panny del Pilar, która odnalazła się wiele lat później. Ojciec z radością opowiadał im anegdotę o swej modlitwie: *Pani, niech się stanie! Niech się stanie! Nie wiem, co to jest. I co to było? Byliście to wy, moi synowie... i one*[115].

Ojciec spędził w La Chacra trzy tygodnie, od 7 do 28 czerwca. Przez ten ośrodek rekolekcyjny, znajdujący się na terenie dawnej wiejskiej rezydencji mieszkańców Buenos Aires, przewinęły się setki jego córek i synów. Salon wypełniał się codziennie ludźmi z Dzieła,

współpracownikami i osobami zaprzyjaźnionymi, księżmi i świeckimi. Ojciec ponadto odwiedził ośrodki w Buenos Aires, kluby, akademiki oraz inne dzieła korporacyjne. Wśród uczestników tych spotkań były osoby w różnym wieku, młode i już nie tak młode, ojcowie i matki. Niektóre z nich przyjeżdżały z innych miast argentyńskich, a także z Urugwaju i Paragwaju. Poświęcił kilka ołtarzy. W tym także ołtarz przeznaczony dla Administracji La Chacra, w której aktach czytamy:

«W chwili, gdy dokonałem tej konsekracji, prosiłem usilnie Pana, który uczynił Swoją Służebnicę Królową i Matką, aby obdarzył Swym wielkim miłosierdziem jego córki, które tu pracują»[116].

We środę 12 czerwca udał się na pielgrzymkę do sanktuarium Matki Bożej z Luján, Patronki Argentyny,

Urugwaju i Paragwaju, które znajdowało się w odległości dwu godzin jazdy od centrum Buenos Aires. Wieść ta rozeszła się, więc gdy dotarł na dziedziniec, znajdował się już tam tłum oczekujących go ludzi, aby wspólnie z nim odmówić różaniec.

W tym czasie przygotowano ogromne spotkania otwarte dla publiczności, dla rodzin i przyjaciół członków Dzieła, a także dla wielu osób, które niewiele wiedziały o Opus Dei. Znalezienie odpowiednich sal nie było łatwe. W Ośrodku Kongresowym Generała San Martín udało się cudem znaleźć dwa terminy: 15 i 16 czerwca. Szukano miejsc o dużej pojemności. W Colegio de Escribanos, położonym w centrum i dobrze wyposażonym, zamówiono salę na 18 i 21 czerwca, które były dniami pracy. (Okazało się jednak, że pojemność tych dwu sal była również niewystarczająca).

Innym miejscem, które zdecydowali się wynająć, był Teatr Coliseo. Osoba dobrze zorientowana powiedziała: “Niech Panowie starają się o wynajęcie tego teatru, może się wam uda, ale z pewnością nie zdołacie go wypełnić”. Obszerna scena znajdowała się naprzeciw ogromnej widowni, nad którą wznosiły się półkoliście trzy kondygnacje balkonów. W dniach 23 i 26 czerwca sala pękała w szwach, w każdym ze spotkań uczestniczyło ponad 5000 ludzi. Dzięki Bogu, z tych spotkań pozostało wiele godzin filmów, wspaniała kolekcja dokumentów zawierających katechezy Ojca w Ameryce, począwszy od spotkań w Brazylii.

Ojciec zwykle rozpoczynał spotkanie od kilku serdecznych słów, albo od krótkiego komentarza religijnego. Był to wstęp do późniejszej rozmowy. Natychmiast pojawiały się pytania od obecnych. Mikrofony i system

czerwonych lampek, rozmieszczonych po sali wskazywały, gdzie znajduje się osoba, która ma zamiar mówić. Nie kontrolowano pytań, choć przestrzegano zasady, że osoba z mikrofonem ma pierwszeństwo. W ten sposób Ojciec musiał być przygotowany na każdego rodzaju pytanie. Nie mógł uchylać się od odpowiedzi na pytania i odpowiadał tak, jak mu Bóg pozwolił. Było jasne, że nie brakowało mu wsparcia Ducha Świętego, ponieważ jego słowa zsyłały pokój i radość na dusze tych, którzy poszukiwali rozwiązań swych problemów.

Zwykle poruszano kwestie związane z rodziną i wychowaniem dzieci, życiem religijnym, jasnością poglądów pośród zamieszania doktrynalnego, zadaniami apostołskimi, spowiedzią... Podczas ogólnych spotkań pytania były bardziej zróżnicowane, a historie poszczególnych osób nie zawsze były

bezproblemowe. Od czasu do czasu spośród tłumu dawał się słyszeć głos proszący o pomoc. W niedzielę, 23 czerwca, w Teatrze Coliseo mikrofon znalazł się w ręku pewnej kobiety, która straciła syna. Należała do Dzieła i chciała, żeby Ojciec wytłumaczył wszystkim, z jakim spokojem i radością znosi się ból w Opus Dei, gdy Pan o to poprosi. Ojciec mówił im, że Bóg nie jest tyranem, ani nie zachowuje się jak myśliwy, który z ukrycia stara się oddać w stronę zwierzyny śmiertelny strzał. Bóg zabiera ukochane osoby, aby mogły cieszyć się Jego chwałą i Jego miłością. Dalej pocieszał tę kobietę, ale gdy zorientował się, że emocje na sali wzrosły, poprosił o następne pytanie. Czerwone światło zapaliło się w głębi sali i dał się słyszeć głos staruszki, która z trudem czytała z kartki:

— «Ojczy, proszę Jezusa, aby uczynił cud z Naím». Nad tłumem zapadła

głęboka cisza, ponieważ kobieta, mówiąca trzęsącym się głosem, rozplakała się. Wówczas Ojciec starał się jej pomóc, podczas gdy po sali przeszedł szmer oczekiwania.

— ***Mów do mnie, mów i uspokój się.***

Jej sąsiadka wzięła z jej rąk karteczkę i mikrofon i przeczytała:

— «Proszę Jezusa, aby powtórzył cud z Naím. Jestem wdową i mam jedyne dziecko, który sprawił mi największą radość w moim życiu, gdy został kapłanem, i sprawił mi także największy ból, ponieważ teraz, jak widzę, prowadzi się bardzo źle. Chciałam księdza prosić, aby ksiądz modlił się w intencji jego wierności i o męstwo dla mnie, żeby mogła mu pomóc».

— ***Córko, tak, kochaj go bardziej. Kochaj bardzo swojego syna. Możliwe, że nie dość się modlimy... Ty modlisz się dużo, ja będę modlił***

się bardziej. Jest nas za mało, za mało tych, którzy się modlą. A powinniśmy modlić się bardzo za kapłanów, za wszystkich kapłanów! Twój syn da sobie radę, będzie wielkim apostołem. Módl się, proś. Już zostałaś wysłuchana, ale Pan chce, żebyś się bardziej modliła. Moja modlitwa łączy się z twoją i jestem pewien, że serca wszystkich, tych wszystkich osób, od góry do dołu, przepelnione są tym samym pragnieniem, by prosić Pana, aby twój syn był świętym i takim będzie.

To jest pewien rodzaj choroby. Ty zaszczepiłaś w duszy swojego syna, z łaską Bożą, ziarno powołania. Módl się wciąż, żeby to ziarno nie pozostało bezowocne. Zobaczysz wyrosłe z niego nowe gałęzie, kwiaty i owoce. Uspokój się, moja córko. Wszyscy jesteśmy z tobą, i z twoim synem, który zasługuje na miłość i zrozumienie!

To jest choroba, która się czasem zdarza. Prośmy Pana w intencji kapłanów, w intencji świętości kapłanów. Jesteś odważną mamą. Niech Bóg ci błogosławi! Niech Bóg Cię wysłucha! Bądź spokojna![117].

Dla Ojca cała sprawa nie zakończyła się na zwykłej obietnicy modlitwy. Prośba tej matki zapadła mu głęboko w duszę. I «podczas podróży powrotnej do La Chacra — napisano w tamtejszym dzienniku — Ojciec był bardziej milczący niż zwykle. Widać było, że się modli, a od czasu do czasu mówił do don Emilia (konsyliariusza), że trzeba spróbować pomóc temu księdzu, aby prowadził się lepiej. Widać było jasno, że bardzo to Ojca boli»[118].

26 czerwca w Teatrze Coliseo miało miejsce ostatnie z wielkich spotkań. Jednym z omawianych przez Ojca tematów była Komunia Świętych, dzięki której mogli prowadzić tę tak

owocną rozmowę. Wyjaśniał im, że ich bracia modlą się na całym świecie:

Tworzymy wielką Komunię Świętych. Tłoczą nam w żyły krew tętniczą, pełną tlenu, czystą. Dlatego możemy w ten sposób rozmawiać, dlatego sprawia nam to przyjemność[119].

We wszystkich oczach widać było jedną prośbę: Ojcze, zostań.

Dzieci moje, dziękuję, dziękuję Bogu, dziękuję wam, dziękuję Matce Bożej z Luján. Za to, że przyjechałem, za to że wyjeżdżam, ale wrócę, a poza tym zostanę[120].

Poprzedniego wieczoru przed tym wielkim spotkaniem w Coliseo Ojcu przyszło na myśl, czy podobna katecheza nie jest wystawianiem Boga na próbę. Czy to możliwe, żeby spotkało się tyle tysięcy ludzi, aby

słuchać o Bogu z ust jednego księdza i by nie zdarzyło się nic zdrożnego. Poza tym, po ludzku rzecz biorąc było niepojęte, by ludzie wychodzili w południe z pracy, **aby patrzeć na księdza, który nie mówi nic poza powszechnie wiadomymi sprawami**. Gdy wyjeżdżał ze spotkania, wydawało mu się, że słyszy wymówkę pochodzącą z ust Boga: **Człowieku małej wiary! Po tylu latach, dlaczego zwątpiłeś?** [121].

Przeddzień swego wyjazdu do Chile spędził w La Chacra. W południe znalazł się w części administracyjnej ośrodka wraz ze swymi córkami z Urugwaju, Paragwaju i Argentyny. **Nie przychodzę, żeby się z wami żegnać**– zapowiedział im od razu. – **Ojciec nigdy nie mówi: “Żegnaj”, albo “Do zobaczenia”, Ojciec zostaje [...]. Wiecie, że nie odjeżdżam, będzie mi łatwo zamknąć oczy i znaleźć się tu,**

przypomnieć sobie o was i modlić się za każdą z was, za wszystkie. Nie opuszczajcie mnie, nie opuszczajcie nas[122]. Czy zrozumiały, co chce im przez to powiedzieć Ojciec, któremu uczucia nakazywały używać wyrażen niejednoznacznych, choć o wyraźnym znaczeniu nadprzyrodzonym?

O dwunastej w południe odmówił wraz ze swymi córkami Anioł Pański, a następnie wrócił do swego pokoju w towarzystwie swych *Custodes* oraz konsyliariusza. Serce Ojca musiało bardzo pragnąć zwierzeń, skoro w chwili, gdy don Álvaro i don Javier się oddalili, opowiedział don Emilio Bonellowi, konsyliariuszowi Argentyny, że przez pewien czas był przekonany, że zna dzień swej śmierci i że wiedzieli o tym jego *Custodes*. Teraz jednak nie wie nic. Od kilku lat Pan nie pozwala, by to wiedział[123].

Późnym popołudniem miał ostatnie spotkanie ze swymi synami, w większości bardzo młodymi. Jeden z nich zapytał, dlaczego wyjeżdża. Ojciec odpowiedział bez zastanowienia: ***Ponieważ nie mam daru wszechobecności, a powinienem być wszędzie. Właśnie dlatego. Ale ja nie wyjeżdżam. Ja zostaję. Ja zostaję z wami, ze wszystkimi***[124]. Następnie dokonał krótkiego przeglądu zasadniczych punktów ducha Opus Dei. Powierzał go z całą ufnością w ich ręce, niczym testament.

I nic więcej. Nie mam już nic więcej wam do powiedzenia. A, tak! Kochajcie mocno św. Józefa. Nie odsuwajcie go nigdy od Jezusa i Maryi.

Głos Ojca aż drżał z emocji, gdy dodawał:

To na razie jest koniec! Ale ja tutaj zostanę. Zostanę tu i w innych

ośrodkach w Argentynie. Gdy nie będziecie się tego spodziewać, Ojciec będzie chodził tu, doglądając po trochu swych synów. A wy będziecie mi towarzyszyć. Kiedy już się dowiecie, że Pan mi powiedział: redde mihi rationem vilicationis tuae, zdaj mi sprawę z tego, co zrobiłeś... módlcie się za Ojca, aby Pan wybaczył mi wszystkie moje grzechy.*

Jeśli mi troszkę pomożecie, pewnie wykonamy długi skok na drugi brzeg. Jeśli umrzemy z Miłości, to możliwe. Ja myślę, że to jest taka choroba w Opus Dei: umrzeć z Miłości[125].

Było jasne, o jakim brzegu egzystencji mówi Ojciec i jakimi ścieżkami biegnie jego myśl, dlatego ktoś jeszcze odważył się zapytać go:

— Ojcze, jak wygląda oblicze Najświętszej Paniienki?

— **No, więc...:** (tu zrobił króciutką przerwę) **vultum tuum, Domine, requiram!** **Pproś Go, żeby ci pokazał je kiedyś. I będziesz musiał poczekać, mój synu, póki nie zobaczymy go w Niebie. Ponieważ Pan nie musi robić dla ciebie żadnych nadzwyczajnych rzeczy. [...] Ale to dobrze, że chcesz poznać oblicze Matki Bożej, ponieważ to jest nasza Matka*[126].

Dyrektorzy ośrodków, którzy w poprzednią sobotę, 22 czerwca, jedli obiad wraz z Ojcem w La Chacra wiedzieli, co znaczy ta odpowiedź. Rzeczywiście, owego dnia przy stole Ojciec powiedział im, że podczas porannej modlitwy powtarzał wielokrotnie: *Vultum tuum, Domine, requiram!*, naprawdę pragnąc ujrzeć oblicze Pana, stanąć z Nim twarzą w twarz[127].

4. Andy: „Nie dorastam do poziomom tych gór”

Gdy don Josemaría zakończył swą wizytę w Brazylii i w Argentynie, dysponował już z pewnością wystarczającym doświadczeniem, aby prowadzić skuteczną katechezę w innych państwach. Aby określić założenia jego podróży apostolskiej, do La Chacra zjechali się konsyliariusze pozostałych regionów z Ameryki Południowej. 12 czerwca do Buenos Aires przybył don Adolfo Rodríguez Vidal, konsyliariusz z Chile, który marzył nieśmiało o długim, jego zdaniem, siedmiodniowym pobycie Ojca. Don Álvaro dokonał kilku modyfikacji w planie, przedłużając pobyt do dziewięciu dni, aby móc odbyć jedenaście otwartych spotkań. Przyjazd założyciela Opus Dei do Chile był przewidywany na piątek, 28 czerwca[128].

Podobnie było z Peru, Ekwadorem, Kolumbią, Ameryką Środkową i Wenezuelą. Wyznaczono daty pobytu

Ojca, miejsce jego zamieszkania, plany spotkań oraz trasy możliwych podróży poza stolicę. W ogólnych zarysach pierwsza część jego pobytu przeznaczona była dla jego córek i synów, a następnie miały odbywać się spotkania z liczniejszymi grupami w ośrodkach albo dziełach korporacyjnych. Pod koniec jego pobytu miało mieć miejsce masowe spotkanie, jeśli to było potrzebne. Ale nieprzewidziane okoliczności wprowadzały zmiany do tych projektów.

Przybycie Ojca do Santiago de Chile było punktualne: nastąpiło w południe w piątek, 28 czerwca 1974 roku. Dla tych, którzy na niego czekali na lotnisku, było to jak sen. Po raz pierwszy widzieli Ojca, który z nimi żartował. ***Nie wierzę w to... To nieprawda, że jestem w Chile...*** I dalej udawał niedowiarka: ***A gdzie są Andy? Oszukujecie mnie. Muszę wierzyć, bardzo mocno wierzyć,***

żeby się przekonać, że istnieją Andy, że są tu te wszystkie ogromne góry. Przecież ich nie widziałem!^[129] Powtarzał to przez pierwsze dni, gdy niebo zasnuwane było chmurami, które przesłaniały szczyty gór.

Wkrótce po zakwaterowaniu w siedzibie Komisji Regionalnej, Ojciec poinformował ich, że ze swymi dziećmi wolałby spotykać się jedynie w miejscach, gdzie prowadzona jest praca apostolska. Tłumne spotkania w miejscu publicznym, np. w teatrze, traciły charakter spotkania rodzinnego. A biorąc pod uwagę sytuację polityczną w kraju*, mogłyby być przez niektórych źle odebrane. W ten sposób, spotkania ogólne miały miejsce w jadalni szkoły Tabancura, a inne – mniejsze – miały miejsce w różnych ośrodkach, przede wszystkim w audytorium akademika Alameda.

Nie tracąc czasu, w sobotę 29 czerwca, następnego dnia po pojawieniu się w Santiago, Ojciec wziął udział w dwu spotkaniach – jednym ze swymi córkami i drugim z synami, właśnie w Alameda. A w niedzielę, zgodnie z przygotowanym programem, był obecny na ogólnym spotkaniu, które zostało zorganizowane o jedenastej rano w Tabancura. Spodziewano się, że przybędą na nie ludzie z różnych prowincji – z Rancagua, Viña del Mar i Aconcagua. Ale z powodu silnych opadów deszczu drogi, które nie były wyasfaltowane zamieniły się w wielkie błotniste grzęzawiska. Nie można było dotrzeć na spotkanie – ani pieszo, ani samochodem. W ostatniej chwili sytuacja się pogorszyła nieodwołalnie, ponieważ wciąż bardzo padało i ludzie nie byli w stanie dotrzeć do Santiago. Trzeba było zrezygnować z planowanego spotkania. Jednak wiele rodzin zjawilo się, nie zważając na warunki

pogodowe, przyjeżdżając samochodami nawet z odległych stron. Aby nie sprawiać im zawodu, Ojciec zaprosił ich na spotkanie w Alameda, gdzie z powodu braku miejsca większość obecnych stała w dużym ścisku. Don Josemaría powitał ich następującymi słowy:

Po pierwsze, powiem wam, że jesteście bardzo odważni, a panie, poza tym, że są piękne, są jeszcze bardziej odważne od mężczyzn: przyjechać w taką pogodę! Nie mam pojęcia, jak mogła was nie zmyć woda. Co za pogoda! To najwidoczniej diabeł nie chce, żebyśmy pracowali[130].

Widać było wyraźnie, że Ojciec nie zamierza pozostawać z założonymi rękami. Wykorzystał okazję by zapewnić ich, że on nigdy nie mówi o niczym innym poza sprawami nadprzyrodzonymi: ***mówię tylko o Bogu i o duszy. Nie odnoszę się do***

spraw politycznych. Wyjaśniwszy tę sprawę, prosił ich o wyrozumiałość w życiu społecznym, choć z tego powodu nie powinni porzucać swoich chrześcijańskich przekonań: ***Chilijczycy, zrozumcie się nawzajem, wybaczcie sobie, współżyjcie z sobą i się kochajcie***[131].

Ojciec czynił wysiłki, aby nie obniżyć poziomu swych wystąpień, ale było widać, że fizycznie doskwiera mu zła pogoda, chociaż on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Poprzedniego dnia, podczas pierwszego spotkania ze swymi córkami, mówiąc im o szczerości, odwoływał się do przykładu osoby chorej. Chory – mówił im – powinien być przejrzysty, nie ukrywać objawów swej choroby, jeśli chce, by lekarz go wyleczył. Opowiadał też, jak sam, po tym jak przez całe godziny mówił głośno na wielkich spotkaniach, złapał lekkie zapalenie krtani. Wezwano lekarza.

Ten zapytał go o dolegliwości i Ojciec musiał mu o wszystkim opowiedzieć. Potem lekarz obejrzał i zbadał usta i gardło. A następnie przepisał pigułki, które trzeba było zażywać co trzy godziny. Także i my — mówił im — powinniśmy być posłuszni, jeśli chodzi o choroby duszy.

Jednak przyczyny tego zapalenia krtani, które Ojciec przywiózł ze sobą z Argentyny, były sprawą bardziej skomplikowaną. Z powodu awarii klimatyzacji podczas lotu do Santiago de Chile Ojciec bardzo zmarzł, co spowodowało bezgłos i gorączkę. 2 lipca zrobiono mu badania w Centralnym Laboratorium Klinicznym Uniwersytetu Katolickiego. Dyrektor laboratorium, profesor Croxatto, zwrócił uwagę na powagę sytuacji, jaką oznaczał wcześniej zdiagnozowany silny wzrost poziomu mocznika we krwi i zalecił pacjentowi, aby pozostał w łóżku i poddał się dializie[132].

W tych okolicznościach Ojciec nie mógł udać się na spotkanie z przedstawicielami Junty Rządzącej Chile. Podziękował listownie za serdeczne powitanie, z jakim się spotkał po przyjeździe, i wytłumaczył, dlaczego nie jest w stanie przyjąć zaproszenia na spotkanie. Następnie w krótkich słowach dawał do zrozumienia, że **kapłańska podróż po amerykańskiej ziemi** miała innego celu, jak wzmocnienie w duszach **pragnienia spotkania z Bogiem, bycia lepszymi chrześcijanami, a przez to lepszymi obywatelami swego kraju**. Dodawał też:

Gdy dotarło do mnie zaproszenie Waszych Ekscelencji, zastało mnie chorego. Grypa, na którą cierpię, uniemożliwia mi podejmowanie jakichkolwiek działań. Pragnę jednak dać wyraz, jak wiele modłę się, modliłem się i prosiłem o

modlitwę za ten wielki naród, zwłaszcza, gdy znalazł się w obliczu zagrożenia plagą herezji marksistowskiej — mówię z kapłańskiego punktu widzenia, który jest jedyną zasadą mojego postępowania w całym moim życiu. Mogę też zapewnić Wasze Ekszelencje, że nadal będę prosił Boga Naszego Pana, poprzez wstawiennictwo Jego Przenajświętszej Matki, aby chronił i zawsze prowadził władze i lud chilijski ku większemu dobrobytowi duchowemu i społecznemu[133].

Dwa dni względnego odpoczynku pozwoliły Ojcu ponownie podjąć się realizacji planu spotkań, z nowym zapałem i z silniejszym głosem. Pogoda się poprawiła i – w końcu – odsłonił się widok na Andy, rysując się wyraźnie na horyzoncie. Gdy tylko Ojciec wrócił do siebie, w piątek 5 lipca konsyliariusz otrzymał

list od przełożonej konwentu karmelitek bosych na ulicy Pedro Valdivia, który był pierwszym domem tego zakonu, utworzonym w Chile jeszcze w XVII wieku. Matka przełożona pisała, że dowiedziała się właśnie o przyjeździe prałata Escrivy. Z tej okazji, przypomniała sobie, że «podczas swej podróży po Hiszpanii odwiedził kilka klasztorów karmelitek, z powodu głębokiej miłości, jaką ma dla naszej Matki, Świętej Teresy. Z tego samego powodu spodziewamy się, że pośród swych licznych zobowiązań może znajdzie chwilkę, aby tu zajrzeć. A ponieważ człowiek dostajesz tyle, o ile poprosi, spodziewamy się uzyskać tę łaskę od Ojca. Jeśli jednak nie będzie to możliwe, zawsze będzie obecny w naszych modlitwach, tak samo, jak gdybyśmy miały okazję przyjąć jego wizytę»[134].

Posłanie to wzruszyło serce Ojca. Jeszcze tego samego ranka –

natychmiast – znalazł lukę w programie spotkań i zjawił się w rozmównicy klasztoru w towarzystwie don Álvara, don Javiera i don Adolfo. Rozpoczął spotkanie mówiąc:

Bardzo kocham powołanie dusz kontemplacyjnych, ponieważ w Opus Dei jesteśmy kontemplacyjni pośrodku ulicy. Rozumiemy was bardzo dobrze, a Matki Karmelitanki z całego świata nas rozumieją bardzo dobrze i wspierają nas swą modlitwą. Przybywam, aby prosić o jałmużną modlitwy: módlcie się. Wiecie przecież, że Kościół jest w bardzo złym stanie. Nie, nie Kościół. Kościół jest święty, jest Oblubienicą Chrystusa, zawsze piękną, zawsze młodą, zawsze bez skazy, zawsze słodką i dobrą... To my, ludzie Kościoła, jesteśmy w złym stanie; módlcie się więc[135].

Pod drugiej stronie kraty, w półmroku panującym w rozmównicy, zakonnice słuchały w zupełnej ciszy i w całkowitym skupieniu. Radził im, aby uważały na tych, którzy za wszelką cenę starają się narzucić zmiany:

Nie ustępujcie w niczym, nie bądźcie głupie, to diabeł szuka, kogo by pożreć, a wy jesteście bardzo smakowitym kąskiem [...]. Gdyby zniszczono ten gołębnik, zniszczona zostałaby wielka siła Kościoła. Bądźcie święte. Jeśli nimi będziecie, pomożecie nam być świętymi. Módlcie się, abyśmy my, kapłani, nimi byli. I za Opus Dei, za kobiety i mężczyzn, którzy znajdują się na wszystkich ścieżkach świata, czyniąc je Bożymi[136].

Mówił im o powołaniu, mówił o życiu pobożnym, z wielką siłą przekonywania i wielką energią.

Ponad dwadzieścia minut trwała jego przemowa w rozmównicy. Nie mógł przedłużyć swej wizyty, ponieważ miało się zacząć już kolejne spotkanie. Zanim odjechał, pobłogosławił zakonnice i poprosił don Adolfa, by kupił i zaniósł im pudełko słodyczy. Żegnał się z nimi, mówiąc: ***Napełniłyście mi słodyczą duszę, a ja wam osłodzę podniebienie***^[137].

W ciągu tych dni konsekrował ołtarze, odwiedzał ośrodki, udał się z wizytą do kardynała arcybiskupa Santiago de Chile, odbył dwadzieścia pięć spotkań publicznych i drugie tyle prywatnych nie zdradzając nigdy oznak zmęczenia. W jego wypowiedziach zasadniczym tematem był sakrament pokuty, niezbędny dla tych dusz, które porzuciły praktykowanie wiary, a chciałyby ponownie zbliżyć się do Boga. Wołał głośno:

Do spowiedzi, do spowiedzi, do spowiedzi! Niech nie marnuje się miłosierdzie Chrystusa przeznaczone dla stworzeń. Sprawy nie idą naprzód, ponieważ nie uciekamy się do Niego, aby obmyć się, oczyścić się, rozpalić się. [...].

Pan czeka na wielu ludzi, aby zażyli gruntownej kąpieli w sakramencie pokuty! Ma dla nich przygotowaną wielką ucztę, ucztę weselną, ucztę Eucharystyczną, obrączkę przymierza, wierności i przyjaźni już na zawsze. Niech idą się wyspowiadać! Wy, córki i synowie, przybliżajcie dusze do spowiedzi. Sprawcie, by mój przyjazd do Chile, nie pozostał bezużyteczny! By wielu ludzi zbliżyło się do Bożego przebaczenia! [138].

W poniedziałek, 8 lipca, w przeddzień wyjazdu Ojca do Limy,

miało miejsce spotkanie w Tabancura. Niektóre osoby nie mogły w nim uczestniczyć z powodu pracy. Ale wielu ludzi w porze obiadowej udało się autostradą, aby wczesnym popołudniem dotrzeć do sanktuarium maryjnego Matki Bożej z Lo Vásquez, dokąd pojechał Ojciec. Sanktuarium to znajduje się o około dziewięćdziesięciu kilometrów od stolicy. Gdy tylko znalazł się na placu przed świątynią, wzruszył się, widząc tłum osób, które zrezygnowały z posiłku, aby towarzyszyć mu w odmawianiu różańca. Zakonnice, które opiekowały się sanktuarium ubrały Najświętszą Panią w najlepszy strój. Nie brakowało też wielkiej ilości kwiatów. Zanim wyszedł na plac, Ojciec założył ciemne okulary. Nie tylko po to, by chronić się przed słońcem. Wiedział, że już nie zobaczy więcej tych ludzi i ze wzruszenia napływały mu łzy do oczu.

Następnego dnia był już w Limie. Mijało dokładnie dwadzieścia jeden lat od chwili, gdy 9 czerwca 1953 roku rozpoczęła się praca apostolska Opus Dei w Peru. Ojciec, podobnie jak w poprzednio odwiedzanych krajach, zatrzymał się w siedzibie Komisji Regionalnej - "Los Andes". Nie miał czasu na wypoczynek. Zaraz po przyjeździe miał pierwsze spotkanie, i od tego momentu starał się zrealizować wyznaczony program. Szczególnie wzruszające było spotkanie w Ośrodku Kulturalnym Tradiciones, w piątek 12 lipca. Wszyscy, którzy tam się zgromadzili byli jego synami, a między nimi znajdowała się spora grupa kapłanów z prałatury Yauyos. Gdy wszedł na salę i ich ujrzał, zawołał: ***Nie powiem ani słowa, dopóki mnie nie pobłogosławią ci moi synowie kapłani. Mam apetyt na wasze błogosławieństwa!***^[139]. Ponad pięćdziesięciu kapłanów otoczyło go, aby pobłogosławić,

powtarzając wezwania jednym głosem. Następnie na kolanach ucałował ręce każdego po kolei. Kiedy don Javier zwrócił mu uwagę, że scena się za nadto przedłuża, Ojciec, chcąc dokończyć odpowiedział mu: ***Niech trwa ile chce, ale ucałuję ręce im wszystkim, tak, jak to czynię zawsze!***^[140]... Ojciec nadal całował po rękach i szeptał serdeczne słowa każdemu z księży. Po chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, rozpoczął spotkanie słowami:

To nie komedia. Jestem dumny z was i sprawia mi wielką radość, że mogę całować was po rękach. Nie robię tego tylko tutaj, robię tak przez całe życie... Jest to rodzinny zwyczaj. Jesteście bardzo dla mnie dobrzy...^[141].

Sobota 13 lipca była dla Ojca dniem wielkiej aktywności. O wpół do dziesiątej odwiedził kardynała

arcybiskupa Limy. Stamtąd udał się do San Vicente de Cañete, gdzie zapanował świąteczny nastrój, ponieważ w południe miało miejsce spotkanie z Ojcem w Valle Grande, dziele korporacyjnym Opus Dei. Przyjechali tam i przyszli pieszo ludzie z Limy i z okolicznych osad. Niektórzy musieli wyruszyć w drogę przed świtem. W sali, gdzie tłoczyło się ponad 500 osób, można było zobaczyć twarze indiańskie, mulackie, chińskie. Twarze handlowców, rolników, urzędników, nauczycieli i kierowców ciężarówek..., a także kobiet, które uczyły się w Condoray, centrum edukacyjnym prowadzonym przez kobiety z Dzieła.

Ojciec mówił im o pracy, którą trzeba wykonywać z doskonałością, aby mogła podobać się Bogu, a nie *a la criolla** (tak mówią Indianie, kiedy nie sprawiają się dobrze w pracy). Mówił im o praktykach pobożności, a

przede wszystkim zapraszał ich do oczyszczenia się podczas porządnej spowiedzi, do całkowitego otwarcia duszy. Mówił, że niektórzy muszą podjąć konieczną decyzję o porzuceniu alkoholu. Słowa Ojca, który – gdy to było konieczne – prosił ich wniebogłosy, by zmienili swe życie, odbijały się wyraźnymi emocjami na zwykle niewzruszonych indiańskich twarzach.

Ojciec odwiedził Condoray, a następnie Akademię San José, gdzie mieszkają i uczą się seminarzyści z prałatury Yauyos. O szóstej po południu był z powrotem w Limie, ale przeziębził się, prawdopodobnie na skutek gwałtownej zmiany temperatury po wyjściu z salonu Valle Grande.

Następnego dnia miało miejsce pierwsze spotkanie ogólne w ogrodzie Miralby, ośrodka Opus Dei. Był to niedzielny poranek, zimny i

szary, ale na spotkanie przybyło tysiąc pięćset osób. Były tam całe rodziny, z dziadkami i wnukami. Ojciec rozpoczął od wytłumaczenia się, że jego głos nie staje na wysokości zadania:

Nie wiem, czy będziecie mnie mogli dobrze słyszeć, ponieważ mam po prostu katar. Mój głos jest słyszalny tylko na poły, ale św. Paweł, którego możemy dobrze słyszeć napisał do Efezjan: in novitate vitae ambulemus*. I nie tylko Efezjanom, ale nam wszystkim powiada, że musimy wędrować ku nowemu życiu. I żeby nie było już żadnych wątpliwości, pisze do Rzymian: induimini Dominum nostrum Iesum Christum**; przyobleczcie się w Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Na tym polega życie chrześcijańskie: ubierać się w

coraz to nowe ubrania, coraz czystsze, piękniejsze, pełniejsze cnót, które podobają się Panu, pełniejsze zwycięstw nad samym sobą, drobnych umartwień, miłości. Życie chrześcijańskie utkane jest z wyrzeczeń i utwierdzania się. Życie chrześcijańskie polega na ciągłym zaczynaniu, za każdym razem od nowa[142].

Wieczorem, aby mógł się nieco rozerwać, oprowadzono do po Limie. Odwiedził kościół Św. Franciszka oraz katedrę. Ale wrócił do domu bardzo zmęczony. Tej nocy źle spał. Rano odprawił mszę i zjadł śniadanie. Około dziesiątej zbadał go doktor Zavala, specjalista od układu oddechowego, który stwierdził początki zapalenia oskrzeli i płuc[143]. W tej sytuacji odwołano wyznaczone na ten dzień spotkania.

Na skutek zaleceń lekarskich musiał leżeć w łóżku do końca tygodnia. Przynoszono mu prezenty: kwiaty, słodycze, listy z wyrazami miłości i modlitwami jego dzieci, aby wrócił szybko do zdrowia. W dzienniku jego pobytu w Limie, pod datą 20 lipca, zapisano: «Dziś wstał na krótko z łóżka, ale zgodnie z zaleceniem lekarza jeszcze nie odprawił Mszy Świętej. Cierpienie Ojca z powodu niemożności odprawienia mszy jest dla wszystkich wzorem, ale skoro wkłada w to tak wiele wysiłku, zmęczenie w wyniku Mszy Świętej nie byłoby dla niego dobre i mogłoby przedłużyć czas dochodzenia do siebie»[144].

W niedzielę odprawił mszę w swoim gabinecie i po obiedzie spotkał się z niektórymi dyrektorami Komisji Regionalnej oraz z prałatem Ignacio Orbegozo, który opowiadał im mnóstwo anegdot z czasów początków pracy w Yauyos oraz ze

swych podróży po górach. Ojciec potrzebował kolejnych trzech dni, aby wrócić do sił. Dlatego musiał zmienić program, aby wszyscy mogli go posłuchać. Ale nie tylko Ojciec chorował. Epidemia grypy przykuła do łóżka połowę ludności miasta. 24 lipca odbyło się spotkanie z kobietami z Dzieła, a potem zrealizowany został nieco okrojony program. W rzeczywistości don Josemaría nie był całkiem zdrowy i mówienie do publiczności stanowiło dla niego wielki wysiłek.

29 lipca, w ogrodzie Larboleda, ośrodka rekolekcyjnego w Chosica niedaleko Limy zgromadziły się wokół Ojca ponad trzy tysiące osób. Zbliżał się moment wyjazdu, a jak można było sądzić po komentarzu uczynionym podczas spotkania, nie całkiem poradził sobie z chorobą. Nie robiąc z siebie męczennika, skromnie mówił wszystkim tam zgromadzonym, że świat bez bólu

byłby nic nie wart, byłby niczym obraz bez cienia, który nie jest obrazem, a także o tym, że **ból, zniesiony dzięki Miłości, jest czymś smakowitym, wspaniałym:**

Chcieć się uwolnić od bólu, ubóstwa, biedy jest wspaniale. Ale to nie jest wyzwolenie. Wyzwolenie polega na czymś innym.

Wyzwolenie to... znosić z radością ubóstwo! Znosić z radością ból! Znosić z radością biedę! Znosić z radością chorobę! Znosić z uśmiechem duszący kaszel![145].

* * *

1 sierpnia Ojciec opuścił Peru. W Ekwadorze czekali go z niecierpliwością, pragnąc, by jak najszybciej wyleczył się z choroby. Nigdy już nie wyleczył się zupełnie. Poza tym źle zniósł wysokość i zachorował na „soroche”, chorobę górską, na którą zapadają zwykle przyjezdni, którzy nie są

przyzwyczajeni do wysokości, na jakiej znajdują się kraje andyjskie. Dom, w którym mieszkał Ojciec, znajdował się w pobliżu stolicy, a Quito jest położone na wysokości około trzech tysięcy metrów.

Do fatalnej kondycji Ojca w chwili przyjazdu dołączyły się dodatkowe dolegliwości. Nocą źle spał. Wstawał z łóżka znękany i niedotleniony. Miał zawroty głowy. Nie był w stanie sam chodzić i skarżył cierpiał z powodu ubocznych efektów kuracji. Doktor Guillermo Azanza, który zajął się nim wkrótce po przyjeździe, stwierdził, że nastąpił nawrót zapalenia oskrzeli, na które cierpiał w Limie[146]. Minęło kilka dni, a stan chorego się nie polepszał, w każdy razie nie w widocznym stopniu. Oddychał dzięki masce tlenowej, stale siedział i mówił przygaszonym głosem. Wszyscy mieli nadzieję na jedną z tych nieoczekiwanych zmian, jakie często zachodziły w jego stanie

fizycznym. W ciągu poprzednich miesięcy, w trakcie intensywnej katechizacji, wiele razy zdarzało się, że Ojciec nagle przewycięzał zmęczenie i gorączkę. Wszyscy ze zdumieniem komentowali jego energię i zdolność do pracy. Don Álvaro tłumaczył osobom, z którymi mieszkał w La Chacra, że żywotność i jasność umysłu Ojca «wchodziły w skład łask założycielskich» Ojca[147].

Jednak, postępy w aklimatyzacji następowały bardzo powoli. Tak wolno, że lekarz zalecił mu to, co zwykle mówił turystom, którzy przebywając w Quito przejazdem cierpieli na *soroche*. Zalecił Ojcu opuszczenie stolicy. Ojciec, jak tylko to usłyszał, natychmiast odpowiedział: ***Tak, mój synu, ale ja nie jestem turystą. Jestem gotów zostać tu tak długo, ile będzie trzeba, dopóki się nie zaadaptuję, aby móc mówić o Bogu, bo po to tu przyjechałem***[148]. Ojciec nie

dokonał tej gwałtownej zmiany wysokości z poziomu morza na trzy tysiące metrów — to jest z Limy do Quito — aby rzucić wyzwanie Andom. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę z niepowodzenia procesu odzyskiwania sił, zrozumiał, że nie powtórzą się już nieoczekiwane ozdrowienia z gorączek i trudów. Idąc za radą lekarza, zdecydował się opuścić wysokości Quito i udać się do Caracas w Wenezueli. I zamiast starać się poprowadzić katechezę, z uśmiechem przyjął wyrzeczenie, o które prosił go Bóg. To Bóg zmienił jego plany. Ojciec, przyzwyczajony do mówienia do tłumów głosem dźwięcznym i męskim, teraz z trudem mógł rozmawiać z małą grupą swych synów. Kilka dnia wcześniej, podczas spotkań, można go było zobaczyć w ciągłym ruchu, stale przemieszczającego się z miejsca na miejsce, krążącego po pokoju czy też po podium. Nie można go było teraz poznać, zapadniętego w

głębi fotela, ponieważ nie mógł utrzymać się na nogach. Człowiekowi lubiącemu żywą i radosną rozmowę zdarzały się teraz chwile, gdy z braku oddechu, nie mógł odpowiedzieć inaczej, jak tylko lekko się uśmiechnąć czy też spojrzeć z miłością.

Przed wyjazdem do Wenezueli przyjął niewielką grupę osób w ogrodzie domu, w którym mieszkał. Przez pół wieku głosił drogę dziecięctwa duchowego, a teraz — mówił grupie swych dzieci — Pan **sprowadził mnie do poziomu dziecka**. Przygoda z wysokością w Quito nie była wcale żartem.

— ***Dla siedmioletniego młodzianka taka wysokość zniecka jest zbyt duża*** - mówił Ojciec. Słyszac to, niektórzy zaczęli się tłumaczyć:

— Ach, ta wysokość, Ojczy, ta wysokość. Ale Ojczy brał winę na siebie, z odrobiną humoru:

— *Problem polega na tym, że nie dorastam do poziomu tych gór. To nie Quito żartowało ze mnie. To Nasz Pan, który wie kiedy żartować i bawi się z nami. Popatrz, to mówi Duch Święty: ludens coram eo omni tempore, ludens in orbe terrarum**, *na całej ziemi bawi się z nami, ludźmi, niczym ojciec ze swym małym dzieckiem. Powiedział: ten tak bardzo kocha życie w dziecięctwie, w szczególnym dziecięctwie, teraz ja mu dam je odczuć. I zmienił mnie w niemowlaka. Nie traci poczucia humoru!*[149].

Po wspaniałej katechezie w Brazylii, Argentynie, Chile i Peru, w tak krótkim odstępie czasu zostać *zamienionym w dziecko* było dla Ojca niemałą przeciwnością. Nie głosił swojej katechezy słowami, tylko milczeniem. Jego katecheza była wiele mówiącą lekcją, wypełnioną uległością i

poświęceniem. (*W Ekwadorze — powtarzał później — cała moja katecheza polegała na tym, by nie mówić, ponieważ Bóg mi na to nie pozwalał*[150]).

Ileż razy Ojciec mówił w ślad za Jezusem, że „nie przyszedł, aby mu służono, ale aby służyć”. Ale teraz to don Álvaro i don Javier musieli prowadzić go pod rękę. **Co za wstyd! Ale zgadzam się na to. Jestem bardzo zadowolony** – wyznawał swym synom. I ułożył osobistą modlitwę:

Jezu, godzę się żyć w ograniczoności sił przez te dni, przez całe życie i zawsze, gdy zechcesz. Ty dasz mi łaskę, radość i dobry humor, aby mnie zabawić, abym Ci służył i aby akceptacja tych drobiazgów stała się modlitwą pełną miłości[151].

Zapewniał, że „nie dorasta do poziomu tych gór”. Nie miał ani

wielkich darów, ani wielkich cnót.
Pogodził się z drobnymi
zdarzeniami: po pierwsze z chorobą i
zmianą planów, jakiej życzył sobie
Bóg, ponieważ

***Bóg, Nasz Pan posługuje się
zawsze drobnymi rzeczami.
Miałem zamiar płasnąć z jednej
części waszego pięknego miasta i
waszego wspaniałego kraju w
drugą. Miałem zamiar odwiedzić
tyle osób... Ale Pan tego nie
chciał***[152].

Ofiarowywał zniecierpliwienie
protestującego dziecka,
ponieważ ***czuję***— jak mówił —
***sprzeciw dziecka, które musi iść
trzymane za rękę przez tatę i
mamę. A ja lubię biegać... Co za
upokorzenie, no nie?!***[153].

W ten sposób, krocząc dalej drogą
dzieciństwa duchowego, musiał
wziąć udział w Bożej zabawie
naszego Ojca, Boga, ze swym

maleńkim dzieckiem. Opowiadał o tym na spotkaniu, jakie odbył 14 sierpnia, w przeddzień swego wyjazdu z Ekwadoru:

Muszę wam powiedzieć, że jak czasami mam zawroty głowy, nie jestem w stanie odprawić Mszy Świętej i księża udzielają mi Komunii każdego dnia. To sprawia, że jeszcze bardziej się wzruszam i kocham jeszcze bardziej Quito i Ekwador.

Ta maleńka konsekrowana hostia, którą przyjmuję na język, przypomina mi, że Jezus stał się dzieckiem, i że ja powinienem z radością przyjmować te dziecięce gry, w jakie On się ze mną bawi[154].

Podczas swego pobytu w Quito nie trwał w beczynności. Pozostawił wspomnienie przykładowego pogodzenia się z wolą Bożą, zamieniając to, co na pierwszy rzut

oka wydawało się niedoskonałością,
w coś bardzo wartościowego:

***Nie mam innego wyjścia, jak
wyjechać. Nie mogę nadużywać
cierpliwości Boga, Naszego Pana.***

***Nie jest tak, że nie zrobiłem nic,
ponieważ niecierpliwość i ten
rodzaj niepokoju, że nie mogę
pracować, przed Bogiem są
modlitwą. Coś robię, ale nie jest to
plan, jaki miałem zamiar tutaj
wykonać. Cierpliwości! Chciałbym
powiedzieć, że chociaż już
wiedziałem, że Ekwadorczycy są
wielkim narodem, narodem Serca
Jezusowego, nie wiedziałem, że jest
to naród złożony z wybranych
dusz, który będzie mnie kosztować
połowę choroby[155].***

Wyjeżdżając z Ekwadoru, nie miał
żadnych pretensji do Andów, i nie
musiał już ***mówić dzięki
pożyczonemu tlenowi***. Jego nastrój,
zabarwiony niezatartym

wspomnieniem przykrości, były pogodny. Przechodząc do porządku dziennego nad tym, co wycierpiał, pisał w kilka tygodni później do starego przyjaciela w Ekwadorze. —

Mimo tego, że nie dorastam do poziomu tych gór, mój pobyt w Quito był wspaniały, a ileż się od was i od ludu waszego umiłowanego kraju nauczyłem!

[156]. Jego zewnętrzna aktywność była rzeczywiście bardzo ograniczona. 11 sierpnia objechał jedynie Quito, by zobaczyć ośrodki Dzieła i je pobłogosławić, nie wysiadając z samochodu. Jego dusza jednak powiększyła się, wzmacniając swoje dawne nabożeństwo do świętego Józefa, mistrza życia wewnętrznego. Ze słów don Josemaríi wypowiedzianych 12 sierpnia podczas spotkania z jego córkami można wnioskować, jaki przebiegały jego intymne spotkania z Bogiem. Ojciec wciąż chciwie szukał

oblicza Pana. I zalecał to samo swoim córkom:

Powiedz Mu, że masz niezmierne pragnienie, by ujrzeć Jego twarz tak, jak pragniemy obejrzeć fotografie ukochanych osób, gdy jesteśmy daleko od nich. Ale od Boga nie jesteśmy oddaleni, co więcej, możemy się z Nim utożsamiać, i wy i ja mamy obowiązek szukać takiego utożsamienia[157].

* * *

Pobyt Ojca w Wenezueli został uwieczniony w znacznej mierze w dzienniku ośrodka rekolekcyjnego Altoclaro, w którym się zatrzymał, znajdującego się kilka kilometrów od Caracas w głąb lądu. Na pierwszych kartkach czytamy: «Ojciec przyjechał nieco zmęczony. Staramy się, aby miał tutaj troszkę wypoczynku i nabrał trochę sił po dwóch miesiącach swej podróży

apostolskiej»[158]. (Po przybyciu do Altoclaro Ojciec nie postąpił zgodnie ze swym zwyczajem i po przywitaniu się z Panem w kaplicy nie przywitał się ze swymi córkami w strefie przeznaczonej dla administracji. Ale polecił don Álvaroowi, aby odwiedził je w jego imieniu, ponieważ sam nie był w stanie utrzymać się na nogach[159]).

Czytając krótkie wzmianki na temat stanu zdrowia i kondycji fizycznej Ojca, jakie od czasu do czasu pojawiają się w dzienniku, niełatwo się zorientować, czy nastąpiło polepszenie, czy też powstrzymanie procesu powrotu do zdrowia.

— Piątek, 16 sierpnia: «Ojciec mógł odpocząć »; a pod koniec dnia pisze: «Zdrowie Ojca bardzo się poprawiło. Był w stanie wziąć na siebie ciężar spotkania».

— Sobota, 17 sierpnia: «Dziś Ojciec czuje się lepiej, chociaż nadal jest bardzo zmęczony».

— Poniedziałek, 19 sierpnia: «Od rana jest pochmurno. Ojciec nadal jest wyczerpany [...]. Poprzedniej nocy Ojciec mało spał ».

— Wtorek, 20 sierpnia: «Ojciec jest dziś w dużo lepszej formie, ale w południe nie czuł się dobrze i nie zszedł do jadalni ».

Pogoda była deszczowa i nie zachęcała do wychodzenia z domu. Czasami można było zobaczyć, że Ojciec czyta listy, jakie kilka dni wcześniej przywiózł mu do Wenezueli Fernando Valenciano. ***Dzieje się ze mną to samo, co z matkami***— mówił im — ***które po kilka razy czytają listy od swych synów***[160]. A podczas spotkań, po obiedzie lub po kolacji opowiadał tym, z którymi mieszkał, o wielu zdarzeniach z historii Dzieła, mówił

im dużo o apostołstwie oraz o nabożeństwie do świętego Józefa, którego kilka obrazów znajdowało się w domu.

Po upływie tygodnia Ojciec jeszcze nie wyzdrowiał. Można to było bezbłędnie rozpoznać po dwóch sygnałach. Po pierwsze – od chwili przyjazdu nie odprawił mszy. Sprawa ta bardzo go bolała, ale bał się wymiotów. Cały dom tonął w kwiatach na znak modlitw, jakie wszyscy zanosili w intencji odzyskania przez Ojca sił. A na ołtarzach zawsze leżały świeże storczyki.

Innym znakiem było to, że jeszcze nie odwiedził swych córek w strefie administracyjnej domu. Poprzedniej niedzieli przesłały Ojcu storczyki i kilka ceramicznych osiołków, wraz z karteczką następującej treści:
«Jesteśmy bardzo szczęśliwe, że jest Ojciec w Altoclaro. Kochamy Ojca

bardzo. 18 sierpnia 1974».

Natychmiast na tym samym bileciku Ojciec napisał czerwonym długopisem odpowiedź: ***Ja także, Mariano***; i narysował kaczkę z otwartym dziobem[161]. (Litery bardzo się różniły od zwykłego, bardzo zdecydowanego pisma Ojca. Pociągnięcia pióra były słabe, niepewne, pochylone i drżące. Był to żywy dowód jego fizycznego wyczerpania. Nikt nie mógł w nich rozpoznać pisma Ojca).

W dzienniku z Altoclaro zapisano, że Ojciec miał ze sobą relikwiarz w kształcie krzyża, z *lignum crucis**, nosił go na łańcuszku pod sutanną i od czasu do czasu wyciągał, by go ucałować[162].

Bez wątpienia Ojciec gorąco pragnął odprawić wreszcie Najświętszą Ofiarę. Pewnego wieczoru, w otoczeniu kilku swoich synów spacerował po patio z fontanną w

Altoclaro. Usiadł w rogu, osłonięty od wiatru, i powiedział coś cicho:

— Co Ojciec mówi ? - zapytali.

— **Vultum tuum, Domine, requiram***! I powtórzył to z większym naciskiem:

— **Vultum tuum, Domine, requiram! Vultum tuum, Domine, requiram! *Wczoraj, gdy nie mogłem odprawić mszy, powtarzałem to wielokrotnie. Panie, szukam Twego oblicza! Panie, pragnę Cię ujrzeć! Tak, pragnę ujrzeć, jak wygląda Pan, nie dzięki wierze, ale twarzą w twarz...!***[163].

Po długim oczekiwaniu nastąpiła wreszcie lekka poprawa, z której natychmiast skorzystał. 26 sierpnia rano mógł wreszcie udać się do administracji Altoclaro, aby zobaczyć się ze swymi córkami.

Natychmiast opracowano program spotkań, które miały mieć miejsce w Altoclaro, w salonie. Ponieważ nie było tam wystarczająco dużo miejsca, nie mogły mieć one masowego charakteru. Pierwsze z nich, 28 sierpnia, przeznaczone było dla kobiet z Dzieła. Następnego dnia, kolejne, dla mężczyzn. Trzecie – najliczniejsze – miało miejsce 30 sierpnia. Uczestniczyli w nim nieliczni supernumerariusze, kilkoro rodziców członków Dzieła oraz kilku kapłanów. Widać było, że Ojciec czuje się lepiej, chociaż podczas ostatniego spotkania miał już lekką gorączkę. W bardzo dobrym humorze, swobodnie opowiadał anegdotę z poprzedniego dnia[164]. Wychodząc od cytatu ze świętego Pawła, zaczął mówić o „przypowieści” o dwóch naczyniach (Rz 9, 21^{*}): jednym na użytek niezaszczytny, a innym ozdobnym:

Tym razem było to naczynie na użytek niezaszczytny, ale tak czyste, że stało się naczyniem ozdobnym.

Skarbem Opus Dei jest radość z tego, że się wie, że jesteście skarbem, podczas gdy każdy z nas jest lichą rzeczą... czystą, która służy swoim celom, która jest do dyspozycji wszystkich. Aleśmy to wszystko delikatnie powiedzieli!
[165].

Dzięki rozmowom wróciły mu siły i miał aż nadto swady, z którą mówił o apostołstwie, o wartości pracy albo o znaczeniu kobiety w rodzinie i w społeczeństwie. Podtrzymywał swych synów na duchu, i zachęcał ich, by nie „odpuszczali sobie”, tłumacząc się upałem[166].

Kilkakrotnie – publicznie i prywatnie – obiecał, że wkrótce wróci do Wenezueli, jeżeli to będzie możliwe. Jego dzieci trzymały go za słowo. 31

sierpnia wieczorem Ojciec odleciał z lotniska w Caracas. Był bardzo zadowolony z pobytu; ale jak żartował na temat swego zdrowia: ***Jadę niczym Don Kichot z Manczy: konno na oklep***[167].

* * *

Od pierwszego dnia, gdy stanął na amerykańskiej ziemi, i podczas całej podróży dookoła Ameryki Południowej, Ojciec nie przestawał powtarzać: ***przyjechałem, aby się uczyć***. I na trzy dni przed wyjazdem do Europy, 28 sierpnia 1974 roku, pisał do kardynała Mario Casariego:

***Ileż nauczyłem się w Ameryce!
Moja wiara i moja pobożność stały się mocniejsze, głębsze, bardziej józefowe, ponieważ z większą jasnością i większą głębią odkryłem postać mego Ojca i Pana, świętego Józefa***[168].

Podążał od jednego odkrycia do drugiego. Nie chodzi o to, że w niewielkim stopniu podzielał nabożeństwo do tego świętego, ale że odkrycie duchowej wielkości tego, kto pełnił na ziemi rolę ojca naszego Pana było szczodrym podarunkiem zesłanym mu z Nieba pod koniec życia. Jak mówił swym synom w La Chacra, Pan ***nie chciał mnie tego nauczyć i tego pokazać mi, aż do niedawna***[169]. Jednak długi proces wzrastania w tym nabożeństwie zaczął się jeszcze w dzieciństwie. Kiedy chodził do babci Florencii wiedział, że nad komodą znajdowała się drewniana ozdobna nisza, mieszcząca niewielką figurkę świętego Józefa. Josemaría jako dziecko nie był w stanie zobaczyć świętego i wspinał się na palce, wczepiając się palcami w krawędź mebla, aby ujrzeć figurkę i prosić go o coś. Od tej chwili jego życie wewnętrzne i historia rodzącego się Opus Dei usiane były stale żywymi

wspomnieniami świętego patriarchy[170].

Wraz z upływem lat to uczucie i nabożeństwo wzrastało „niepowstrzymanie”, ale miało pewne „luki”. Święty Józef — myślał Ojciec — nie był obecny na Kalwarii w chwili śmierci Jezusa na Krzyżu. Jakże to zrobić, aby go tam nie brakowało? W Brazylii, podczas jazdy samochodem, znalazł rozwiązanie. Sam zastąpił świętego u stóp Krzyża, wyobrażając sobie, jak zachowywałby się tam św. Józef. Cóż za ból, jakaż miłość do Najświętszej Maryi Panny i do Chrystusa![171]. W katechezach amerykańskich założyciela pełno było wyrazów czci i zaleceń nabożeństwa do świętego Józefa:

Święty Józef ma wielką moc przed Naszym Panem Bogiem— mówił do swoich synów w Argentynie. —***Pełnił wobec niego rolę ojca. Wybrany***

**dla Niego przed wiekami, ... z
jaką doskonałością. Poza Matką
Bożą nie ma na świecie żadnego
ludzkiego stworzenia
doskonalszego i świętszego niż
święty Józef[172].**

Don Josemaría wyobrażał go sobie
młodego i dobrze zbudowanego
**(Jakże mogliby wydawać
dziewczynkę piętnasto czy
szesnastoletnią za starca?)** I
widział zawsze razem oboje
Małżonków w towarzystwie Jezusa
Sakramentalnego:

**Zjednoczeni z Eucharystią, z
Matką Bożą, ze świętym Józefem.
Nie rozdzielajcie ich! Ja tego nie
rozumiem..., nie wiem jak to
powiedzieć, ale w jakiś sposób
towarzyszą Mu w Tabernakulum.
W jakiś sposób...
niewypowiedziany! Nie wiem, jak
to powiedzieć[173].**

Podczas swego pobytu w Chile, wchodząc do kaplicy w ośrodku rekolekcyjnym Antullanca, don Josemaría zobaczył obraz, który go poruszył. Kilka godzin wcześniej, podczas jazdy samochodem, rozważał tajemnice radosne różańca i wyobrażał sobie świętego Józefa, młodego i przystojnego, w towarzystwie swojej Żony w domu świętej Elżbiety. Po raz pierwszy zobaczył ten obraz: Józef towarzyszący Najświętszej Pani w domu świętej Elżbiety[174]. Z najwyższą satysfakcją zalecał swoim dzieciom nabożeństwo do świętego Patriarchy:

Jeśli pragniesz zyskać życie wewnętrzne, kochaj bardzo świętego Józefa, który jest naprawdę potężny. Życie wewnętrzne polega na obcowaniu z Bogiem; a z Naszym Panem i z Matką Bożą nikt nie obcował tak blisko jak święty Józef. Ponieważ

zmuszacie mnie do powtarzania tego, to codziennie na tych spotkaniach z radością to czynię[175].

Pismo Święte — mówił w Peru — opowiada bardzo niewiele o Józefie. ***Trzeba go bardzo kochać i dziękować mu, że tak dobrze dbał o Dzieciątko Jezus.*** Miał charakter pełen męstwa, mocy i delikatności zarazem. W liturgii ***czytamy rzecz bardzo czułą: że święty Józef dbał o Dzieciątko, obejmował je i całował... Jakież to piękne!... Tak, jak czynili nasi ojcowie z nami[176].***

W Ekwadorze założyciel Dzieła widział wiele pobożnych wizerunków świętego Józefa z Dzieciątkiem Jezus. Jego uwagę zwróciło szczególnie płótno, ozdobione złotem, powieszzone na ścianie na przeciwko wejścia do jego pokoju. Obraz przedstawiał

Dzieciątko koronujące świętego Józefa. Don Josemaría był bardzo zadowolony. Obraz wydał mu się bardzo piękny i bardzo teologiczny. Za każdym razem, gdy tamtędy przechodził, pozdrawiał go aktem miłości. ***Zajęło mi całe lata, zanim odkryłem całą tę józefową teologię i tutaj nie musiałem robić nic więcej, jak tylko otworzyć oczy i potwierdziła mi się.*** Tak bardzo cenił sobie to odkrycie, że będąc już w Wenezueli i cofając się pamięcią mówił, że ***choćabym miał tylko zobaczyć te wizerunki świętego Józefa ukoronowanego przez swego Syna, i tak warto było pojechać do Quito***^[177].

Bardzo często Ojciec przywoływał te świeże wspomnienia “teologicznej miłości” i wielkiego skoku, jakiego dokonała jego pobożność do patriarchy, uważając, że ma dług wobec tego, kogo uważał za mistrza życia wewnętrznego. Dlatego, gdy

don Roberto, konsyliariusz, poruszył podczas rozmowy sprawę budowy kościoła w Caracas, Ojciec zasugerował, że mógłby on nosić wezwanie Świętego Józefa lub Świętej Rodziny[178].

5. Kapłańskie złote gody (1975)

Ojciec spędził w Wenezueli dwa tygodnie i nie zdołał dojechać do siebie po uprzednich trudach, po nieustannych zajęciach katechetycznych, bez odpoczynku pomiędzy poszczególnymi etapami, gdy przeskakiwał z lotniska na lotnisko. Dom w Altoclaro stwarzał wyjątkowe warunki. Łagodność klimatu i spokój otoczenia miały gwarantować udany i szybki powrót do sił. Skoro jednak ostatecznie nie czuł się dobrze, zdecydował się wracać, nie jadąc już do Gwatemali, gdzie czekali na niego niecierpliwie wszyscy jego synowie z Ameryki

Środkowej oraz kardynał Mario Casariego.

W przeddzień swego powrotu do Europy Ojciec napisał do kardynała, zawiadamiając go o zmianie planów. Przez całe miesiące —zapewniał — myślał z radością o podróży do Gwatemali. Ale ostatnio lekarze doradzili odłożyć ten wyjazd na trzy lub cztery miesiące. Przykro mu było odmówić sobie tej podróży, ale cóż można było robić? ***Przyjąłem to spokojnie***— opowiadał — ***i spoglądając na sprawy w obecności Bożej, uważam, że jest w tym pewien sens, ponieważ moja nieobecność trwa już nadto długo. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze: omnia in bonum*!***[179].

Zamiar podjęcia katechezy, którą pozostawiał przerwana w połowie w Wenezueli, wyjawiał wobec synów z Caracas podczas spotkania 30 sierpnia, w Altoclaro. Było niemal

południe, gdy Ojciec pojawił się w salonie i nie owijając w bawełnę wyjawiał im z całego serca, co czuł w duszy:

Kocham was tak bardzo! Kocham was niczym matka i ojciec. Wydaje się, że jest to niemożliwe, żeby tak było, ale jeśli Bóg tak zechciał... [180].

Kontynuował rozmowę pośród pytań i odpowiedzi, raczej łatwych i serdecznych. Nagle zaskoczył czymś obecnym. Niespodziewanie w samym środku spotkania, nie podnosząc nawet głosu, ponieważ nie był w stanie krzyczeć, Ojciec obiecał:

Nie mam wiele czasu, bo się to wszystko przyspieszyło i muszę jechać do Europy, ale przyjadę wkrótce... Wrócę bez pośpiechu. I wtedy poświęcę wam – każdemu z was – tyle czasu, ile będziecie

chcieli. Umowa stoi, co? Słowo Aragończyka![181].

Ojciec żył w nieustannym dziękczynieniu, ponieważ spotkał się z całym tysiącami osób, które kochały Boga i pragnęły służyć Kościołowi i wszystkim duszom. Wyjeżdżał z Ameryki stwierdziwszy, we wszystkich odwiedzanych krajach, że ***Pan odplaca bardzo hojnie już tu na ziemi***[182]. Podczas swego objazdu katechetycznego dotarł wszędzie tam, gdzie Bóg mu pozwolił. Nie czuł się winny, że nie starczyło mu sił. Jeśli zużył cały zapas fizycznej energii, stało się tak z powodu hojności, ponieważ nie stawiał zapór swemu apostołskiemu zapałowi. W każdym razie dał stanowczą odprawę diabłu, umacniając swoje dzieci w wierze i głosząc tłumom zdrową doktrynę. Jego ciało było słabe, ale duch pozostawał wierny. Nadal dotykały go przypadki braku lojalności wobec

Kościół, i to bardzo gorzko, chociaż ponad tym cierpieniem miał pewność, że Bóg nie przegrywa bitew, jak jakiś czas wcześniej pisał do mons. Marcelo Gonzáleza Martína:

Pomimo wszystko moje życie pełne jest prawdziwego optymizmu, ponieważ jestem przekonany, że wszystko się ułoży i dusze na całym świecie znajdą światło Boże i pewność, której szukają[\[183\]](#).

Czuł się w nadprzyrodzony sposób optymistą, mając pewność, że ówczesna sytuacja Kościoła jest czymś przejściowym. Miał nadzieję, że już wkrótce wstanie świt i rozproszą się mgły. Ufał we wszechmoc modlitwy i modlił się o to uparcie:

W tym czasie Adwentu— pisał do Sekretarki Centralnej — ***uciekaj się do Najświętszej Pani, aby Ona, która wydała na świat Zbawiciela,***

***zechciała skrócić ten czas
ciemności, i aby powróciły
światłość i pokój dla dusz i dla
Kościoła***[184].

W miesiącach pracy katechetycznej starał się całkowicie zapomnieć o sobie i o swych chorobach, aby móc z całym oddaniem pracować dla Chrystusa i dla Jego Kościoła. W miarę jak jeździli z kraju do kraju, Ojciec i don Álvaro wysyłali krótkie listy, m. in. do bpa Benellego, Substytuta w Sekretariacie Stanu. Pierwszy list z Brazylii, ***gdzie Pan nadzwyczajnie błogosławi pracy naszego Dzieła***, został podpisany przez Josemarię Escrivę de Balaguera oraz Álvaro del Portillo[185]. List przesłany z Limy został skierowany przez don Álvaro do bpa Benellego:

«Ponownie zwracam się do Jego Ekscelencji z serdecznym pozdrowieniem z Peru. Trwa ta ***bardzo owocna katecheza***, podczas

której nasz założyciel codziennie przemawia całymi godzinami do licznych rzesz, zachęcając, by pokochały Kościół i Wikariusza Chrystusa. Jest niewiarygodne, jak wiele jest rozmów i spowiedzi. Mam nadzieję, że to co piszę będzie dla Ojca Świętego pocieszeniem».

Podpisane: Álvaro del Portillo —
Josemaría Escrivá de Balaguer[186].

Tylko Bóg jest w stanie całkowicie ocenić niedomagania i cierpienia, jakie znosił Ojciec. Po trwających kilka tygodni katechezach w Brazylii i w Argentynie zaczął odczuwać znaczne zmęczenie. Udawał się na spotkania z migreną, osłabiony, na wpół senny i z lekką gorączką. Wówczas, gdy Ojciec był jeszcze w Argentynie, przyspieszenia doznał proces tworzenia się zaćmy, który rozpoczął się jeszcze w 1971 roku. Znacznie osłabła zdolność widzenia w jednym oku. Godna podziwu była godność i naturalność, z jaką pacjent

się zachowywał. Podczas masowych spotkań, gdy pojawiały się wszelkiego rodzaju pytania z każdej strony sali, albo z balkonów położonych nad sceną, Ojciec poruszał się z łatwością po proscenium. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że jest na wpół ślepy. Z trudem tylko rozróżniał czerwone światełko, które zapalało się tam, gdzie ktoś prosił o mikrofon. Starał się zlokalizować rozmówcę, jak tylko mógł; a rozmawiał, jakby był sam na sam z tą osobą. Przy jakiejś okazji stosował sztuczkę, zapraszając na scenę młodych chłopców. Podawał im rękę, aby się na nich wspierać przez kilka sekund, korzystając z ich spontanicznej chęci pomocy przy wskazywaniu kierunku, w którym znajdował się mikrofon[187].

* * *

1 września, po przybyciu do Madrytu lotem z Caracas Ojciec był bardzo

zmęczony, ale roześmiany. Jak można się było spodziewać, lekarze, po zbadaniu go zalecili mu przede wszystkim trochę odpoczynku. Ponownie zbadali go 13 września. Chory czuł się o wiele lepiej, nie kaszlał już i miał apetyt, poruszał się też o wiele pewniej. Ale analizy wykazały znaczące pogorszenie, jeśli chodzi o niewydolność nerek, a także bardzo wyraźne objawy niewydolności serca na skutek schorzenia lewej komory[188]. Po raz trzeci lekarze go zbadali pod koniec września 1974 roku, w Barcelonie, aby stwierdzić, że jest w dużo lepszym stanie, jest bardziej ożywiony, ma wystarczająco dużo siły, by wchodzić i schodzić po schodach bez niczyjej pomocy. Nie wyglądał na osobę słabego zdrowia, ale wyniki badań temu przeczyły. Poziom mocznika we krwi oraz inne wyniki były alarmujące. Lekarze zawarli to w raporcie: «Podsumowaniem tego badania jest

kontrast, jaki zachodzi między jego stosunkowo zadowolającym stanem ogólnym i niektórymi wynikami badań silnie patologicznymi»[189].

Wkrótce po powrocie Ojca do Madrytu zaczęły napływać do niego listy ze wszystkich stron z podziękowaniami za katechezę w Ameryce Południowej. Z samej Kolumbii napłynęła spora ich liczba. Ojciec czytał jeden po drugim z radością. Służyły mu podczas modlitwy, aby prosić w intencji każdej osoby i każdej potrzeby. Ale między wierszami nie brakowało niepokoju jego kolumbijskich córek, tak z powodu słabego zdrowia Ojca, jak i z powodu nieudanej wizyty, która nigdy nie stała się faktem:

Nie róbcie mi żadnej tragedii, bo nie ma po temu powodu. Teraz, ponieważ Pan tego nie chciał, nie mogłem być z Wami. Mam nadzieję – mam zamiar -że w bardzo

krótkim czasie będę mógł się spotkać z moimi kolumbijskimi córkami, w ich własnym środowisku, i to jeszcze po stokroć liczniejszymi. Czeka na nas tyle dusz w tym umiłowanym kraju!
[190].

W drugiej połowie września przebywał w Castelldaura, domu rekolekcyjnym w pobliżu Barcelony, odpoczywając. Odpoczywał, nie tracąc jednak swego zwyczaju pracy. Nie życzył sobie zmian planu dnia, ani nie chciał być wyręczany w swych obowiązkach związanych z rządem. Nie tracił też cierpliwości i pogody ducha. Aby polepszyć jego zdolność oddechową, nakazano mu ćwiczenia płuc. Z jakąż wesołością wówczas Ojciec nadmuchiwał gumowe balony albo robił głębokie wydechy przez słomkę, bulgocąc powietrzem w szklance wody![191].

* * *

Podczas krótkiego wypoczynku w Castellaura Ojciec pracował nad dokumentami związanymi z instytucjonalizacją Opus Dei. Był posłuszny papieżowi. Stosował się do jego wskazówek. Rok wcześniej, podczas prywatnej audiencji 25 czerwca 1973 roku, poinformował już Pawła VI o pracach nad zmianami struktury prawnej Opus Dei. Wiadomości te papież przyjął z radością, a ucieszył się jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że Komisja Techniczna powołana w tym celu pod przewodnictwem don Álvaro del Portillo pracuje pełną parą. Papież zachęcał wtedy założyciela Opus Dei, aby przedstawili dokumenty Stolicy Świętej, jak tylko wszystko będzie gotowe.

Dzięki temu Opus Dei miało zyskać formułę prawną odpowiednią do

treści charyzmatu założycielskiego. Był to cel „intencji specjalnej”, w której całe Dzieło modliło się już od lat. Gdyby została rozwiązana, zakończyłyby się niewypowiedziane zmartwienia i kłopoty, które ta sprawa wywoływała u założyciela Opus Dei.

Już niemal od pół wieku prosił o wykonanie zadania otrzymanego od Boga! Od początku stosował się do zasady: *Deo omnis gloria**, wiedziony posłuszeństwem wobec Bożych wskazówek. Zachowywał się jako wierne narzędzie wykonujące Jego polecenia. A Pan nie pozbawiał go swej pomocy. Od chwili, gdy pozwolił don Josemaríi „ujrzeć” Opus Dei, towarzyszył mu w wypełnianiu jego misji. Don Josemaría tłumaczył swym synom:

***Bóg prowadził mnie za rękę,
milcząc, krok za krokiem, aż do
chwili, gdy Jego zamek zostanie***

*wzniesiony. Zrób ten krok –
wydawał się mówić, – teraz połóż
to tutaj, zabierz to stąd i umieść
tam. W ten sposób Pan budował
swoje Dzieło, mocnymi
pociągnięciami i delikatnymi
kreskami, stare i nowe niczym
Słowo Chrystusa [...]. To, co
musałem robić, to dać się
prowadzić[192].*

Podczas swego pobytu w Wenezueli,
pewnego razu opowiadał o
osobistych zdarzeniach związanych z
historią Dzieła. Mówił, że zawsze
działał jako **Boży skryba**, czyniąc
rzeczy i podejmując decyzje pod
czyjeś dyktando[193].

30 września Ojciec zakończył swoje
dni pracy i wypoczynku w Barcelonie
i wrócił do *Villa Tevere*. Wówczas
projekt *Codex Iuris Particularis**
Opus Dei, przygotowany przez
Komisję Techniczną, działającą na
polecenie i pod stałym kierunkiem

założyciela Dzieła, był zupełnie gotowy i został sprawdzony przez Komisję Stałą Rady Generalnej Dzieła. Teraz mógł zostać przedstawiony założycielowi, który — jak powiadają akta — «przyjął go dzisiaj w całości»[194], to jest 1 października 1974 roku. W tym projekcie Kodeksu Prawa Partykularnego Opus Dei zostały wprowadzone wszystkie konieczne zmiany i modyfikacje, tak że dostosowany był on wiernie do charyzmatu założycielskiego, którego «z woli Bożej, jedynym i wyłącznym depozytariuszem»[195] był Ojciec. Wraz z podpisem don Josemaríi został więc przyjęty projekt Kodeksu, na którego podstawie oparty został ostateczny kształt prawny Opus Dei. Założyciel Dzieła wybiegał w przyszłość, aby wskazać na tę chwilę. W ten sposób ujmuje to ostatni paragraf aktu aprobowanego: «Ten Kodeks zostanie przedstawiony Stolicy Świętej w chwili złożenia

prośby o nadanie nowej formuły prawnej, o jaką staramy się dla Dzieła, w ramach perspektyw otwartych poprzez dyspozycje i normy wykonawcze Dekretów wydanych na Soborze Watykańskim II»[196].

Cele Nadzwyczajnego Kongresu Generalnego zostały zrealizowane. Wszystko było gotowe i czekało tylko na ostateczne zatwierdzenie. Dokonano skrupulatnego przeglądu norm statutowych i przywrócono wszystkie te elementy, w których założyciel Dzieła był kiedyś zmuszony do chwilowego ustąpienia. W ten sposób wszystko, zarówno kształt prawny, jak i punkty związane z duchem właściwym Opus Dei, było zgodne.

Ojciec nie był jednak pewien, czy za swego życia będzie w stanie złożyć prośbę do Stolicy Apostolskiej, aby uzyskać oczekiwaną zmianę

instytucjonalną. Ale nie bardzo się tym przejmował. Kilka miesięcy wcześniej w La Chacra, podczas rozmowy ze swymi argentyńskimi synami na temat intencji specjalnej zalecał im cierpliwość i wizję nadprzyrodzoną, prosił, żeby byli bardzo spokojni, radośni i bardzo zjednoczeni z Ojcem. ***I jeżeli Pan zadecyduje o moim życiu, zanim się to stanie bądźcie zjednoczeni z tym, kto mnie zastąpi, jeszcze bardziej zjednoczeni. Miejcie cel, by go kochać z całej duszy***[197].

Od tej chwili, za każdym razem, gdy mówił na temat kwestii instytucjonalnej, czynił to spokojnie, bez pośpiechu, prosząc jednak, aby to sobie odpowiedzialnie wzięli do serca. ***Nie jedno życie, ale gdybyście je mieli, to sto żyć powinniście oddać za to, aby Dzieło uzyskało ostateczny kształt prawny***[198] - mówił im. W tym czasie każde słowo wypowiedane

przez Ojca do jego dzieci nabierało w ich uszach specjalnego znaczenia.

Tak, jak gdyby pozostawiał on rodzaj nie spisane go testamentu. Nie należy zapominać, że założyciel Opus Dei cały czas działał z twarzą zwróconą ku wieczności. List napisany z okazji Bożego Narodzenia 1974 roku zawiera taką ponaglącą notę.

Ojciec przypomina w nim zobowiązanie wszystkich jego dzieci do czynienia Opus Dei. I dlatego prosi je o wierność i przypomina im o odpowiedzialności za to Boże przedsięwzięcie. Zalecenie, by prowadzić Dzieło naprzód jest echem pytania, które założyciel stawiał na początku: czy będziesz kontynuować Dzieło, jeśli ja umrę?

List ten jest długi. Oto jego dwa akapity:

Najukochańsi, niech Jezus mi zachowa moje córki i moich synów!

Gdy przesyłam Wam te serdeczne życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia, pragnę jeszcze raz powtórzyć, aby Wam to zapadło na dnie duszy, że Pan całą siłą wspiera się na nas, na każdym z nas, i że wszyscy powinniśmy czuć na naszych barkach, z optymizmem i prawdziwie uniwersalnym znaczeniem, błogosławiony ciężar tego, by prowadzić naprzód Dzieło tak, jak tego oczekuje Bóg. Ciężar, ponieważ pochodzi od Pana — iugum meum suave est et onus meum leve — nie przygnębia i nie dręczy [...].*

Odczujcie w Waszym sercu pewność, że zajmujemy się przedsięwzięciem Bożym, którego Bóg sobie życzy, na które powinniśmy odpowiedzieć z lojalnością, z wiernością w tym, co wielkie i w tym, co małe, nie ustając w naszej osobistej walce.

Gdybyśmy zaniedbali szczegóły, pozornie bez znaczenia, tamtędy – przez to otwarte okienko – dostałaby się do środka naszego duchowego zamku, żeby go zniszczyć, cała banda wszelkich grzechów i praktycznych błędów[199].

Podczas rozmów i spotkań, jakie w tym okresie odbył w Rzymie ze swymi synami pojawił się także akcent duchowej mobilizacji. Rankiem w dzień Bożego Narodzenia z ust Ojca popłynęły liczne i spontaniczne wezwania:

Świat jest bardzo wzburzony i Kościół także. Być może świat jest taki, jaki jest, ponieważ w takim stanie znajduje się Kościół... Chciałbym, aby w samym środku waszego serca znalazło się wołanie owego ewangelicznego ślepcy, aby Pan pokazał wam rzeczy tego świata pewnie i jasno.

W tym celu nie musicie robić nic więcej, jak tylko być posłusznymi w tych niewielu sprawach, które wam się poleca. Postępujcie zgodnie ze wskazówkami, jakich wam udzielają dyrektorzy.

Wielokrotnie powtarzajcie Panu, szukając Jego obecności: Domine, ut videam! Panie, spraw, abym przejrzał! Ut videamus**! Abyśmy ujrzeli sprawy jasno w tej rzekomej rewolucji, która nią nie jest: jest sprawką szatańską[200].*

Z takim naciskiem to powtarzał i komentował te akty strzeliste, że wołanie ślepcy z Jerycha wryło się w ich dusze:

*Domine, ut videam! Niech Każdy przejrzy. Ut videamus! Prośmy wspólnie, by inni przejrżeli. Ut videant***! Prośmy o to Boże światło dla wszystkich dusz, bez wyjątku[201].*

Gdy składał swymcórkom życzenia z okazji Wielkanocy, Ojciec proponował im, ten sam akt strzelisty:

Domine, Panie, ut videam! Żebym przejrzał! Domine, ut videant! Żeby przejrzeli! Żebyśmy ujrzeli dzięki światłu duszy, z jasnością, z nadprzyrodzonym spojrzeniem, rzeczy tej ziemi. Te, które wydają się wielkie i te, które wydają się małe, ponieważ wszystkie stają się wielkie, jeśli jest miłość i wizja nadprzyrodzona. Żebyśmy przejrzeli dzięki światłu naszego rozumu, z całą jasnością idei, teraz, gdy świat i Kościół są pełne fałszu, odwiecznych herezji, które wznoszą łby niczym jadowite węże.

Prośmy Pana, aby zachował nas zjednoczonych jak do tej pory w prawdzie wiary. A potem, żebyśmy wszyscy ujrzeli na własne oczy

sprawy tej ziemi tak, żebyśmy nie przywiązywali do nich wagi: są to sprawy przemijające[202].

W tle tej przemowy Ojciec prowadził dialog ze swym niewypowiedzianym cierpieniem z powodu sytuacji Kościoła Chrystusowego. W tle tych wszystkich próśb znajduje się stała metafora, która dotyka spraw dwu sposobów widzenia: tego ziemskiego i tego nadprzyrodzonego.

Ostatecznie Ojciec nie prosił o światło dla swoich chorych oczu, jak prosił ślepiec z Jerycha. Nigdy nie zwracał się do Pana, aby wybawił go z jego chorób. Poszukiwał czystej wizji świata, który namiętnie kochał, ale nie popadając w niewolę jego powabów. Prosił, aby wszyscy ujrzeli ***na własne oczy sprawy tej ziemi***; ale nie przywiązując się do nich, całkowicie zdolni się wyrzec tego wszystkiego, co może ofiarować przepych tego świata.

Jego dzieci nie wiedziały wiele na temat jego aktualnego stanu fizycznego. W tych dniach Ojciec cierpiał na atak ślepoty. I poruszające było, z jaką elegancją znosił tę chorobę[203].

Kończył się rok 1974. W noc sylwestrową don Josemaría ponownie przebywał ze swymi synami. Przynieśli mu wizerunek Dzieciątka Jezus. Z miłosną delikatnością wziął go do rąk i nie wstydził się czynić wszystkich tych, jak mówił, “dziecinad”. Powróciło wspomnienie Dzieciątka Jezus z konwentu Świętej Izabeli w Madrycie, z którym tańczył i śpiewał*. Teraz patrząc na Dzieciątko z czułością, zasypał je pocałunkami i wyznawał swym synom: ***Nie wstydzę się całować Dzieciątka tak samo, jak wtedy, gdy byłem mały. Gdy odchodzę już z tego świata, nie zawstydzą mnie to w ogóle***[204]. Od razu oddał im figurkę

i pobłogosławił ich nią, aby mogli zabrać ją do Cavabianki. Był to „pierwszy kamień” Kolegium Rzymskiego.

Następnego dnia, 1 stycznia, Ojciec przedstawiał swoim córkom perspektywy na Nowy Rok 1975:

Ten rok będzie bardzo dobry. Będą konieczne cierpienia, ale znoszone z łaską Bożą i dobrym humorem nie będą złe, ale dobre; powinniście wyciągać dobro z każdej sytuacji.

Będzie to dobry rok, ponieważ zbliżymy się do Naszego Pana bardziej niż kiedykolwiek przedtem[205].

Tej nocy z 1 na 2 stycznia niewydolność nerek, na którą cierpiał don Josemaría wywołała obrzęk płuc i w konsekwencji silny atak serca. Natychmiast zapewnili mu wsparcie duchowe i opiekę

medyczną. Następnego ranka, pomimo powagi ataku i bezsennej nocy, Ojciec stanął na nogi. 3 stycznia wyjechał do Hiszpanii, aby zbadali go dokładnie lekarze, którzy znali jego historię choroby[206]. Następnie z Madrytu przeniósł się na kilka dni do La Lloma, domu rekolekcyjnego, w którym przebywał już w 1972 roku podczas swej podróży katechetycznej po Półwyspie Iberyjskim. Tam jego oczy zbadał okulista, aby sprawdzić, czy można je operować. W Walencji Ojciec spotykał się przy różnych okazjach ze swymi synami. Przywoływał z pamięci i opowiadał im wspaniałe anegdoty. Na usta cisnęło mu się to, czym zaprzętał wówczas swój umysł:

Mam już siedemdziesiąt trzy lata — mówił im. —Skończę je za kilka dni. Jestem gotowy, aby odejść z tego świata... Wkrótce obchodzić będziemy pięćdziesiątą rocznicę istnienia Dzieła. A cóż znaczy

***pięćdziesiąt lat w życiu instytucji?
Wykopali na daleko, dlatego
jesteśmy wszędzie***[207].

8 stycznia, w przeddzień swoich urodzin, był z powrotem w Rzymie. Nie tylko chciał wiedzieć, że jego synowie go kochają, ale namacalnie doświadczyć ich miłości. Dotyczyło to także jego miłości do wszystkich.

Tymczasem z upływem czasu stan chorego poprawiał się szybciej niż lekarze mogli sobie wymarzyć. Lekarze byli zdziwieni, że don Josemaríi tak szybko mijają choroby oczu oraz inne dolegliwości. 13 stycznia założyciel napisał do kardynała Casariego, aby potwierdzić, że już wkrótce będzie mógł — ***w końcu!*** — ***zrealizować swe marzenie o przyjeździe do Gwatemali***[208].

Podobnie jak w poprzednim roku, poproszono o opinię lekarzy, którzy rozważyli za i przeciw podróży do

Wenezueli i Gwatemali, o której myślał w lutym. Nikt nie mógł powstrzymać miłości do Boga, która wprost wrzała w sercu Ojca. Odzyskiwał siły z dnia na dzień. Polepszało mu się w oczach. Tak bardzo, że lekarze po stosownym namyśle ustąpili, choć stawiając własne warunki: mniejsza intensywność życia i więcej spokoju, nieprzekraczanie bariery tysiąca pięciuset metrów wysokości i wreszcie stała obecność lekarza[209]. Ze swej strony Ojciec także przygotowywał się do podróży. W połowie stycznia zmobilizował już tysiące osób, aby poprzez swe modlitwy i umartwienia wstawiały się u Boga i Najświętszej Maryi Panny w intencji czekającej go pracy w Ameryce[210]. Zanim przekroczył Atlantyk, skierował list do wszystkich wiernych Opus Dei z okazji jego jubileuszu kapłańskiego, który przypadał dwa miesiące później:

Najukochańsi, niech Jezus zachowa moje córki i moich synów!

Piszę do Was, aby Was prosić, żebyście 28 marca, w 50. rocznicę moich święceń kapłańskich, modlili się w specjalny sposób za mnie — wzywając na wstawienników naszą Matkę, Najświętszą Maryję Pannę, oraz świętego Józefa, naszego Ojca i Pana — abym był dobrym i wiernym kapłanem.

Nie chcę, żeby przygotowywano jakiegokolwiek uroczystości, ponieważ pragnę spędzić ten jubileusz w zgodzie z moją zwykłą zasadą postępowania: ukryć się i zniknąć – to moja zasada – aby tylko Jezus był widoczny.

Ale proszę was także, abyśmy byli tego dnia bardzo zjednoczeni, okazując Panu jeszcze głębszą wdzięczność — ten 28 marca

*przypada na Wielki Piątek — za to,
że nas popycha do
współuczestnictwa w Świętym
Krzyżu, to znaczy w Miłości, która
nie stawia żadnych warunków.*

*Pomóście mi dziękować Bogu za
wszystkie dary, za niezmierny
skarb powołania do kapłaństwa
oraz kolejny - Bożego powołania
do Dzieła, za wszystkie Jego
wyrazy miłosierdzia i
błogosławieństwa, universa
beneficia sua, etiam ignota*: także
za te, których nieumiałem
dostrzec. Dziękujemy, córki i
synowie, bo chociaż jesteśmy tak
drobną rzeczą – niczym – Nasz
Ojciec Niebieski, w swej
nieskończonej hojności, poszerzył
nasze serca, a ogniem, jaki rzucił
na ziemię, rozpałił w naszych
duszach wielką Miłość. Okażmy
Mu także synowskie uznanie za to,
że nauczyliśmy się w Jego Dziele*

***kochać Kościół Święty i papieża,
czynami i prawdę.***

***W ten Wielki Piątek towarzyszcie
mi w adoracji Naszego
Odkupiciela, rzeczywiście
obecnego w Najświętszej
Eucharystii, w ciemnicach
wszystkich Kościołów na świecie.
Przeżyjmy ten dzień na
intensywnej i przepelnionej
miłością adoracji.***

***Prośmy o wybaczenie za wszystkie
nasze grzechy i za grzechy
wszystkich ludzi, pragnąc
oczyszczenia i zadośćuczynienia
za tak wielką ślepotę: ut
videamus!, ut videant!, abyśmy my
przejrzeli, aby oni przejrżeli.***

***Przeżyjmy więc ten dzień bardzo
zjednoczeni z Najświętszą
Panią – kontemplujcie ją
stojącą pod Krzyżem Jej Syna,
skupioną na adoracji, na***

*dziękczynieniu, na
zadośćuczynieniu, na prośbach.*

*Radość i ból spotykają się tam —
iuxta Crucem Iesu*, —wszystkie
słowa i radosne gesty stworzeń
okazują się zbyt skromne, aby
wysławiać Miłość, która
ofiarowuje sama siebie.*

*Upamiętniajmy więc, synowie i
córki, tę rocznicę kapłańską,
odnawiając postanowienie
wykorzystania każdego dnia,
dziękując u stóp Krzyża – przy
Ołtarzu – za Życie, jakie daje nam
Jezus Chrystus. Niech Msza Święta
będzie zawsze centrum i
korzeniem naszej egzystencji, to
jest najlepszy sposób na
świętowanie kapłaństwa.*

*Od tej chwili czuję się głęboko
poruszony miłością, jaką
okazujecie pragnąc właśnie w ten
sposób obejść moje 50-lecie
kapłaństwa. Starajcie się przeżyć*

*to święto będąc zjednoczeni z moimi intencjami, zwłaszcza z intencjami mszalnymi. Zadziwi Was, ile światła i ile łask otrzymamy od Pana, jeśli postaramy się być w zasięgu Jego wzroku, modląc się i pracując w Jego obecności consummati in unum**!, stanowiąc jedno serce przepętlione coraz większym pragnieniem służby Kościołowi Świętemu i duszom.*

Błogosławi wam serdecznie wasz Ojciec

Mariano[211].

29 stycznia Ojciec wyjechał z Rzymu do Madrytu, a 4 lutego udał się do Caracas w Wenezueli.

* * *

Do Wenezueli jechał z wielu powodów. Chciał dotrzymać obietnicy, że wróci. Pragnął spotkać

się z setkami synów i córek
zrodzonych dla Dzieła w Ameryce,
których już więcej nie zobaczyłyby na
tym świecie. Poza tym odczuwał
nieposkromiony zapał apostołski...

— Ojcie – powiedziała jedna z jego
córek w kilka dni po przyjeździe. –
Cóż za opatrnościowa wola Boga, że
mamy Ojca tutaj!

I Ojciec przytaknął.

— ***Zebrałiśmy się tutaj
nieprzypadkowo, nie tak sobie, ale
dlatego, że Bóg, Nasz Pan, zechciał
mi sprawić tę radość***[212].

Od pierwszej chwili Ojciec całkowicie
oddał się do dyspozycji dyrektorów
Dzieła w Wenezueli. Wyraził to
wprost: ***Ja jestem przedmiotem,
zrobię to, czego wy będziecie
chcieli. Czy to jasne? Zrobię, co
zechcecie***[213].

Altoclaro nie było już tym samym zacisznym i spokojnym miejscem sprzed kilku miesięcy. Na boisku ustawiona była estrada, a pod namiotami, ponieważ słońce operowało bardzo silnie, ustawione zostały tysiące krzeseł. Ojciec był przygotowany na program podróży tam i z powrotem, na przyjmowanie zaplanowanych wizyt, uczestniczenie w zorganizowanych spotkaniach i dostosowanie się do tutejszego rozkładu godzin. Ale jeśli ktoś oczekiwał, że w którykolwiek z tych przedsięwzięć Ojciec będzie oszczędzał swe siły, oczekiwał niemożliwego. Powtórzyło się to samo, co przy poprzednich podróżach. Wystarczy przeczytać zapisy dziennika z Altoclaro z 11 lutego, kiedy już zaczęły się masowe spotkania: «nasz Ojciec jest oddany duszom, ludziom, z naddatkiem, z głębokim i radosnym duchem oraz ze wszystkich swych niewyczerpanych, młdzieńczych sił. Ale po opadnięciu

całego napięcia związanego ze spotkaniem u Ojca widać cały wysiłek, jaki w nie włożył»[214].

Ojciec w widoczny sposób tracił swe siły witalne. Ale nie zwracał uwagi na wyczerpanie. Przechodził do porządku dziennego nad zmęczeniem z przyczyn nadprzyrodzonych. W szczególny sposób widać było to podczas rozmów z młodymi ludźmi, w czasie których jego duch wzlatywał ku wysokim ideałom. Jeśli chodzi o zapał i gorliwość, być może mniejsze były jego siły fizyczne, ale nie jego zdolność do porywania za sobą dusz:

W Wenezueli i dzięki Wenezueli trzeba dokonać wielu wielkich rzeczy— mówił do grupy dziewcząt — a do tego potrzebne są serca młode, rozpalone, głowy jasne, ludzie sympatyczni i doskonali, takich, jakimi są moje córki i przyjaciółki moich córek.

Zobaczymy, czy zechcecie..., bo Bóg tak chce! Wygodnisie, wyjdźcie poza własną wygodę...![215].

Zgodnie ze swym sposobem bycia, Ojciec równie często mówił poważnie, co żartował. Spokój i uśmiech odzwierciedlały jego zrównoważony humor. Od tego bardzo łatwo przechodził do żartów. Jak wtedy, podczas spotkania 13 lutego, gdy pytanie zadawała mu jedna z numerariuszek pomocniczych, Ojciec przerwał jej serdecznie:

***Strasznie wam zazdroszczę...
Ponieważ jestem mężczyzną, nie mogę być numerariuszką pomocniczą. Ale czasami tak sobie myślę: — Josemaría, co ty byś chciał?***

***I — zaskoczę was troszkę —
odpowiadam sam sobie: — Nie być z Opus Dei. Po co? — Aby poprosić o przyjęcie i być ostatnią osobą.***

***Gdybym mógł być kobietą, jakże
byłoby dobrze! Ponieważ wówczas
byłbym numerariuszką
pomocniczą, z całą
pewnością[216].***

Ojca reagował na wszystko, z czym się zetknął. Stale udzielał porad duchowych, a także wskazywał na kryteria zarządu dyrektorom. Od przyjazdu nie miał okazji, by zobaczyć stolicę, ponieważ z lotniska udali się prosto do Altoclaro. Nie minęło dwadzieścia godzin od chwili lądowania w Caracas, gdy zaczął ich popędzać, rysując przed nimi szeroką panoramę apostolską:

***Niczego nie widziałem w Caracas,
ale jadąc tutaj, z autostrady
widziałem te nędzne szataśy. Do
Opus Dei pasują wszyscy. To
powołanie nie jest jedynie
przeznaczone dla studentów.
Powinniście spotykać się z
bogatymi, a także i z tymi ludźmi,***

którzy cierpią głód, a przede wszystkim głód Boga. Dzieło jest dla wszystkich. I musicie dotrzeć zarówno do tych, którzy mają pieniądze, jak i do tych, którzy ich wcale nie mają[217].

Program spotkań i pozostałych zajęć udało się wypełnić bez przeszkód. Nie przestaje to dziwić. Rzeczywiście po raz pierwszy podczas swych podróży apostoelskich Ojciec zgodził się dłużej zostawać w łóżku. A nawet pomiędzy spotkaniami, oczekując na wyjście do publiczności zgromadzonej na następne spotkania, także kładł się na trochę. To postępowanie Ojca było niepokojące. Stanowiło swoisty środek, aby oszukać zmęczenie, i zmniejszyć wrażenie, że nie jest w stanie uczestniczyć w którymś z tych tłumnych spotkań, które go tak wyczerpywały. Ale jedna czuła myśl mobilizowała jego ducha: **Sam Bóg wie, czy zobaczę jeszcze te moje**

dzieci tu, na ziemi![218] – mówił sobie.

15 lutego opuścił Wenezuelę i udał się do Gwatemali. Na lotnisku czekał na niego kardynał Casariego, arcybiskup Gwatemali oraz konsyliariusz Opus Dei na Amerykę Środkową, don Antonio Rodríguez Pedrazuela. To z nimi najpierw wyściskał się Ojciec po opuszczeniu samolotu. «Kościół w Gwatemali jest bardzo szczęśliwy z tego powodu, że może mieć Ojca tutaj»[219] - przywitał go kardynał. Mieli mnóstwo czasu, aby przygotować jego przyjazd. Do Gwatemali zjechali się ludzie z Dzieła, przyjaciele, współpracownicy i wiele innych osób przybyłych z sąsiednich krajów, z Kostaryki i Salwadoru, a także z bardziej odległych – z Kolumbii, USA i Kanady. Czekali w wielkim napięciu, ponieważ nie byli pewni, czy się z nim zobaczą. Także Ojciec chciał pozostawić ślad swego

przyjazdu. Nazajutrz w jednym z egzemplarzy pierwszego wydania *Drogi* napisał takie słowa:

Dla moich córek i moich synów z Gwatemali, serdeczne błogosławieństwo! Z radością, z powodu tego, że znalazłem się — wreszcie! — na tej błogosławionej ziemi.

Gwatemala, 16 lutego 1975.

Mariano[220].

Tego samego dnia zaczęły się spotkania Ojca z różnymi grupami. Po południu wyjechał samochodem na miasto, aby pobłogosławić ośrodki Dzieła i teren pod ostateczną siedzibę Komisji Regionalnej. Zatrzymał się na kilka sekund i w ciszy błogosławił działkę lub budynek.

Rankiem 18 lutego miał spotkanie ze sporą grupą kapłanów diecezjalnych. ***Bardzo chcę się czegoś nauczyć, aby móc to wcielić w życie –***

zapowiedział im, zanim rozpoczął rozmowę[221]. Wieczorem odwiedził Altavista, ośrodek rekolekcyjny, gdzie pobłogosławił wizerunek Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel w kapliczce pod wezwaniem Matki Bożej. To wezwanie zostało wybrane «ku pamięci siostry naszego Ojca, Carmen, która, wraz z Babcią, potrafiła pomagać w szczodry sposób i z całym samozaparciem apostołstwu Dzieła»[222].

19 lutego przypadały imieniny don Álvaro. Słońce prażyło mocno i Ojciec odczuwał tego skutki. Ktoś zapytał: — Jak to zrobić, by być tak wiernym jak don Álvaro? Wybuchły burzliwe owacje, do których przyłączył się też Ojciec. Ale widać było, że jest niedysponowany. Blask słońca raził go w oczy, a suchość powietrza dławiała mu głos w gardle.

Tej nocy pojawiły się u niego pierwsze objawy zapalenia oskrzeli,

połączone z bezgłosem i gorączką, a także głębokie wyczerpanie, co zmusiło ich do odwołania spotkań 20 lutego oraz w następnych dniach. Bardzo wątpliwe było, czy uda mu się odzyskać siły. Teraz był wyczerpany z wszystkich sił, wyciśnięty jak cytryna. Trzeba było wracać do Europy.

Ojciec pogodził się z wolą Bożą:

Dzieci moje, jestem zadowolony z pracy prowadzonej na tych terenach. Trzeba kontynuować tę pracę w tym samym kierunku. Bardzo mnie zabolalo, że nie będę mógł zostać z wami. Cierpliwości! Na początku byłem smutny, teraz jestem radosny. Ofiarowałem wszystko Bogu, w intencji pracy w Ameryce Środkowej. Przebywając w sąsiednim kraju czułem się bardzo dobrze i przyjechałem tu, mając nadzieję pomówić z wieloma ludźmi. Ale Bóg mi na to

nie pozwolił. Ofiarujemy Mu to z radością[223].

Był to poważny problem, całe rodziny wyruszyły w drogę już przed kilku dniami. Inne osoby wydały całe swoje oszczędności, aby móc zobaczyć i usłyszeć Ojca. Zaskakujące było to, że po odruchowej reakcji, wszyscy przyjęli to dobrze i nie stracili radości.

W dniu jego wyjazdu, 23 lutego, na lotnisku zebrały się tysiące osób, przybyłych do Gwatemali z nadzieją posłuchania tego kapłana. Chcieli więc przynajmniej się z nim pożegnać[224]. Ojciec był bardzo rozemocjonowany. Na samym pasie startowym kardynał poprosił o błogosławieństwo dla tłumu. Ojciec nie mógł odmówić. Zanim wsiadł do samolotu, pozdrowił i pobłogosławił zebranych.

Po trzech dniach napisał z Madrytu:

Umiłowany Księżę Kardynale,

Wróciłem właśnie do Europy i natychmiast odczułem potrzebę napisania do Księdza, ponieważ przyszło mi do głowy i do serca mnóstwo rzeczy. Widzę w tym wszystkim ukochaną dłoń Naszego Pana, choć czasami trudno jest zrozumieć Jego plany.

Jestem zadowolony, bardzo zadowolony! Rozpocząłem tę nową podróż — jak mnie prosił W[asza] E[kscelencja] — z pragnieniem kontynuowania katechezy na ziemi amerykańskiej, aby mówić o Bogu tylu duszom oraz aby nauczyć się kochać i służyć lepiej Naszemu Panu. Nie mogłem zrealizować wszystkiego, co sobie zaplanowałem, ale ponawiam moje stałe dziękczynienie Trójcy Przenajświętszej, ponieważ rozradowałem się widząc ogromną pracę apostołską moich

córek i synów w tych krajach, i w Gwatemali, i w Salwadorze, którym towarzyszy szczególna miłość Maria[225].

I kończył:

Na koniec dziękuję Księdzu za wszystkie uprzejmości, jakich doznałem, a na które, jako grzesznik, nie zasługuję. Już Księdzu wybaczyłem, że zmusił mnie na lotnisku La Aurora do błogosławienia tego tłumu, który z taką miłością modli się w intencji swego kardynała, choć uważam, że bardziej się za niego modłę i bardziej go kocham ja sam.

* * *

Po przybyciu do Rzymu don Josemaría pogrążył się w zwyczajnej pracy, zadowolony, że Bóg obdarzył go *dobrym zdrowiem, aby móc zmierzyć się normalnie z codziennymi zajęciami*[226].

Zbliżało się święto świętego Józefa. 19 marca rano don Josemaría zjawił się w Cavabiance. Nie miał zamiaru głosić klerykom kazania, ale otworzyć przed nimi na oścież swe serce. Rzadko czynił to w tak dogłębny sposób:

Tej nocy— zaczął swą przemowę — *myślałem o tylu rzeczach sprzed wielu lat. Rzeczywiście zawsze powtarzam, że jestem młody i tak jest naprawdę: ad Deum qui laetificat iuventutem meam*!* *Jestem młody młodością Bożą. Ale mam wiele lat*[227].

Przez dłuższą chwilę wspominał swe powołanie i pierwsze kroki w historii Dzieła. Ze zdumieniem zastanawiał się nad przebytą drogą. Mówił o przeczuciach, jakie miał w młodości, o swej pracy młodego kapłana, obdarzonego powszechną misją do spełnienia. Przed oczyma przewijali się konający w szpitalach, biedacy z

ubogich dzielnic Madrytu, dzieci podczas katechezy oraz chorzy pogrążeni w samotności... W jego umyśle ożywało wiele wspomnień z przeszłości, o których chciał opowiedzieć. Każde z nich wiązało się z jakąś częścią Bożego miłosierdzia, okazanego założycielowi Opus Dei.

Synowie moi, opowiadam wam troszkę o tym, co było przedmiotem mojej modlitwy dziś rano. Po to, by nas przepęłnił wstyd, wdzięczność i jeszcze większa miłość. Wszystko to, co zostało dotychczas zrobione to wiele, ale jeszcze zbyt mało: w Europie, w Azji, w Afryce, w Ameryce i w Oceanii. Wszystko to jest dzieło Jezusa, naszego Pana. Wszystko to uczynił nasz Ojciec Niebieski[228].

Przed nimi była wytyczona droga. Zadanie otrzymane od Boga zostało wykonane.

Macie przed sobą wyznaczoną tak długą drogę— zapewniał ich, — że nie możecie już zbłądzić. Dzięki temu wszystkiemu, czegośmy dokonali na polu teologicznym — dzięki nowej teologii, moi drodzy, i to dobrej — oraz na terenie prawnym; dzięki temu wszystkiemu, czegośmy dokonali z Bożą łaską i łaską Jego Matki, z opatrnościową opieką naszego Ojca i Pana – świętego Józefa, z pomocą Aniołów Stróżów, nie możecie już zbłądzić, jeśli nie okażecie się nikczemnikami.

Złożmy dzięki Bogu. Już wiecie, że nie jestem potrzebny. Nigdy nie byłem[229].

Jakże szybko mijał czas. Ileż zaszło zmian i nowości. Kilka dni wcześniej poinformowano don Josemarię o

tłumaczeniu *Drogi* na język keczua^{**}. To wydawało się snem. Przed czterdziestu laty wydano w Cuenca *Rozważania duchowe*, które były pierwowzorem *Drogi*[230]. Don Josemaría czuł ciężar lat na swych barkach. Odczuwał go namacalnie, gdy musiał wysyłać listy kondolencyjne do swych dzieci z powodu śmierci ojca czy matki. Zdarzało się to niemal codziennie, ponieważ rodzina Opus Dei powiększyła się zadziwiająco. Ojciec stał się już patriarchą rodu złożonego z ludzi przybyłych ze wszystkich kontynentów, wielu ras i języków. Historia Dzieła była produktem łaski Bożej oraz pół wieku wytężonej aktywności kapłańskiej. Don Josemaría uzyskał święcenia kapłańskie w Saragossie 28 marca 1925 roku, nie znając jeszcze wyższej racji dla swego powołania, ciągle wołając: *Domine, ut videam*^{*}! Data jego kapłańskiego jubileuszu przypadała na Wielki Piątek, 28

marca 1975 roku. Od wielu miesięcy przygotowywał się, aby obejść to święto we wnętrzu swej duszy. Im więcej zastanawiał się nad swym życiem, nie potrafił dostrzec znaczących postępów. Jego duchowa droga nie była nawet tą, jaką pokonuje stworzenie stawiające pierwsze kroki. Nie wstydził się mówić o tym podczas głośnej modlitwy przed tabernakulum w Wielki Czwartek, w przeddzień swoich złotych kapłańskich godów:

***Po upływie pięćdziesięciu lat
jestem niczym gaworzące dziecko.
Zaczynam, wciąż zaczynam,
codziennie. I tak aż po kres dni,
jakie mi pozostały: zawsze
zaczynając na nowo***[231].

Spoglądał wstecz i widział las krzyży, ***ogromną panoramę: tyle bólu, tyle radości. A teraz: sama radość, sama radość... Ponieważ mamy doświadczenie, że ból jest***

uderzeniem młota artysty, który pragnie uczynić z każdego, z tej bezkształtnej masy, jaką jesteśmy, krucyfiks, Chrystusa, alter Christus, którym powinniśmy być. Panie, dzięki ci za wszystko. Wielkie dzięki![232].**

Następnego dnia starał się dokonać bilansu swego życia. Rezultat był bardzo pozytywny, ale nie na korzyść własną, ale Bożą. Nie pozostawało mu nic innego, niż śmiać się z samego siebie, co w tych okolicznościach, było aktem najwyższej pokory:

***Chciałem*— mówił — *podsumować te pięćdziesiąt lat i wyszło mi coś, co jest śmiechu warte. Śmiałem się z samego siebie, i nappełniła mnie wdzięczność dla Naszego Pana, ponieważ On jest tym, który uczynił to wszystko*[233].**

Cały dzień spędził skupiony wewnątrz. Obchodził to święto

sam. Zgodnie ze swą zasadą, by ukryć się i zniknąć, przeżywał dzień ***na intensywnej i przepelnionej miłością adoracji*** [234]. Prezent od córek i synów składał się z wielkiego relikwiarza na *lignum Crucis** oraz naczyń liturgicznych. Podziękował gorąco, ponieważ przedmioty te były przeznaczone do sprawowania kultu Bożego, chociaż uważał, że dla niego było to zbyt wiele, a dla Boga zbyt mało[235].

6. Śmierć (26 VI 1975)

Od pięciu lat bez przerwy trwały prace w Torreciudad. Pod koniec marca 1975 roku oceniano, że w tym tempie prace zakończone zostaną na początku lata. Skrupulatnie dotrzymywano terminów ukończenia prac, a także popędzono rzeźbiarza, nie pozwalając mu wprost odetchnąć w jego pracowni. W ten sposób wykonanie nastawy ołtarzowej postępowało w tym

samym tempie, co i reszta prac budowlanych. Myślano już o uroczystości inauguracji sanktuarium, gdy Ojciec powiadomił ich, że musi ono zostać otwarte dla wiernych, gdy tylko zostaną ukończone prace. On sam nie zamierzał wziąć udziału w ceremonii otwarcia. Napisał o tym do swoich synów:

Nie pojedę na inaugurację do Torreciudad. Gdy tylko zostaną ukończone prace, konsyliariusz pobłogosławi to miejsce formułą benedictio loci*, a potem rozpoczną się nabożeństwa[236].

W ciągu kilku tygodni poczuł jednak, że musi zmienić plany i pojechać do sanktuarium.

* * *

Mimo, że przyszło mu opuścić Barbastro we wczesnej młodości, założyciel Opus Dei zawsze czuł się

silnie emocjonalnie związany z miastem swego urodzenia.

Podtrzymywał korespondencję z lokalnymi władzami i niektórymi rodzinami spokrewnionymi z

Escrivami, zachowując serdeczne wspomnienia o ojczyźnie swego

dzieciństwa. Wspomnienia o

Barbastro — *moim ukochanym mieście*— *przepęłniały mnie*

radością, ponieważ – jak napisze w 1971 roku – *jestem bardzo*

barbastriański i staram się być
dobrym synem moich

rodziców[237]. Dał tego dowód wyświadczając wyjątkowe przysługi swym rodakom i całej okolicy. Na

przykład, dzięki jego skutecznej interwencji podczas zmiany mapy diecezji hiszpańskich po wojnie nie zlikwidowano diecezji w

Barbastro[238].

Ratusz, nie konsultując się z don Josemarią, zdecydował uhonorować go tytułem honorowego obywatela

Barbastro w 1947 roku. Choć ten dowód serdeczności i wyróżnienie ucieszyło go, ku jego zadowoleniu rada miejska nie urządziła publicznej uroczystości na jego cześć w 1948 roku. (Założyciel Opus Dei wyspecjalizował się w sztuce unikania lub pomijania publicznych uroczystości bez urażania ich organizatorów). Około 1960 roku władze Saragossy chciały nazwać jego imieniem jedną z ulic. Gdy tylko się zorientował w sytuacji, postarał się, aby zwolennicy pomysłu porzucili go. Tego samego udało mu się dokonać w Barbastro. Jednak około roku 1971, bez uprzedzenia samego zainteresowanego, Korporacja Miejska w Barbastro nadała głównej alei jednej z nowych dzielnic miasta imię prałata Escrivy de Balaguera[239]. W ten sposób, stojąc wobec faktów dokonanych, choć założyciel nie brał w tym w ogóle udziału, rada miasta w pełnym składzie na sesji 17 września 1974

roku postanowiła jednogłównie przyznać Złoty Medal Miasta Barbastro Don Josemaríi Escrivie de Balaguerowi, «w uznaniu wybitnych zasług, przykładności i wizji powszechnej, jakie zbiegły się w jego osobie, a także w uznaniu jego troski i zabiegów o wszechstronne doskonalenie mieszkańców Barbastro i okręgu »[240].

W chwili, gdy dostojna rada miejska Barbastro zbierała się, by podjąć taką decyzję, założyciel Opus Dei jeszcze wracał do sił po trudach apostolskich na ziemi amerykańskiej. Gdy wkrótce potem wrócił do *Villa Tevere*, znalazł tam list od burmistrza, w którym ten donosił mu o honorowym wyróżnieniu, które don Josemaría otrzymał z rąk swych rodaków. Długi pobyt poza Rzymem, a także fakt, że obiecał wrócić jeszcze do Ameryki, skłoniły go do unikania kolejnych podróży. Jednak jego synowie zwrócili mu uwagę, że nie

powinien trzeci raz odmawiać przyjęcia wyrazów wdzięczności, jakie chciało mu złożyć Barbastro. Zwłaszcza, że uroczystość miała mieć charakter niemal rodzinny. W ten sposób don Josemaría otwarcie przekazał burmistrzowi swe odczucia, prosząc, aby poinformował o nich pozostałych członków rady:

Ja także mam wielką nadzieję, że Pan mnie obdarzy tą łaską, bym mógł spotkać się w najbliższym czasie z moimi rodakami. Mam taką nadzieję, i bardzo na to liczę, ponieważ jestem przekonany, że – chociaż nie potrafię sobie tego wyobrazić – w ten sposób wzrośnie moja miłość i moje modlitwy w intencji Barbastro i okolicy.

Proszę Cię, byś modlił się za mnie i za moje prace kapłańskie, wzywając Matkę Bożą z Torreciudad, która tyle dobrego zesłała dla dusz. Ja także składam

u Jej stóp wszystkie Wasze nadzieje i prace, aby Ona im błogosławiła i chroniła[241].

Sanktuarium Matki Bożej z Torreciudad znajdowało się o pół godziny drogi od Barbastro. Gdyby Ojciec wziął udział w ceremonii wręczenia medalu, mógłby także odwiedzić sanktuarium i poczynić *in situ** ostatnie wskazówki, jeśli to by było konieczne. Niezależnie od swej własnej chęci, don Josemaría w ostatnich chwilach życia wracał do miejsca urodzenia.

Podróż została wyznaczona na maj 1975 roku. W pierwszych dniach maja Ojciec był bardzo zmęczony, a zdrowie było nienajlepsze. Nie było jednak nadmiernych powodów do niepokoju, ani nie trzeba było odwoływać podróży do Hiszpanii. Oczekano kilka dni i 15 maja Ojciec wyjechał z Rzymu do Madrytu. Ulokował się w swoim dawnym

pokoju przy ulicy Diego de León, ścianę w ścianę z kaplicą, z którą wiązało się tak wiele wspomnień. Program roboczy jego wizyty, spotkania i odwiedziny w Madrycie przebiegał bez przeszkód, ale w przeddzień wyjazdu do Torreciudad i Barbastro, nocą z 21 na 22 maja, doznał poważnego ataku serca, a w jego skutku, ostrego obrzęku płuc, który jednak na szczęście szybko ustąpił[242]. 23 maja w południe oczekiwano go w Torreciudad i don Josemaría nie zawiódł.

Po raz ostatni Ojciec był w tym miejscu w kwietniu 1970 roku, kiedy odmówił na stojąco różaniec i pobłogosławił w deszczu wykop pod kaplicę z konfesjonałami. Od tej chwili minęło pięć lat, wypełnionych pracą i nadzieją. A teraz, wraz z wizytą Ojca nadeszły dni radości i świętowania. Była mniej więcej godzina dwunasta, kiedy z drugiej strony jeziora ukazał się helikopter i

rozległo się radosne bicie dzwonów. Helikopter wylądował na placu przed sanktuarium, a gdy Ojciec wysiadł, odgłos dzwonów niósł się po górach i dolinach.

Odwiedził kapliczkę i przez chwilę podziwiał cały zespół budynków, które otaczały sanktuarium: dwa ośrodki rekolekcyjne, ośrodek badawczy, wieżę, portyki... Wszystko wzniesione z cegły, zbudowane z godnością i rozmachem, jeśli chodzi o rozwiązania architektoniczne. **Z materiału skromnego, ziemskiego, uczyniliście materiał Boży**^[243] - powiedział architektom.

Wczesnym popołudniem, w towarzystwie sporej grupy swych synów, zwiedził starannie całe sanktuarium. Jego uwagę zwróciły szczególnie rozmiary budynku, śmiałe i nowoczesne struktury, oryginalna murarka, godność i wielkość ołtarza. Usiadł w ławce, aby

lepiej się temu wszystkiemu przyjrzeć. Wzniósł oczy na ołtarz, otoczony jeszcze rusztowaniami i trwał w zachwycie.

Od stóp stali w prezbiterium, po szczyt sklepienia, wznosiła się kompozycja, ujęta w plecionkę ogniów łańcuchów i liści i udekorowana motywami ostów, róż i gwiazd.

W centrum nastawy znajdowała się umieszczona w specjalnej wnęce, już odrestaurowana, romańska figurka Najświętszej Maryi Panny. Powyżej, jako temat centralny, znajdowała się scena Ukrzyżowania. Jeszcze wyżej okulus z Najświętszym Sakramentem. Dwa boczne ciągi scen przedstawiały epizody z życia Maryi: Zamążpójście, Zwiastowanie, Narodziny Jezusa... A wysoko, jako zwieńczenie całości, Koronacja Matki Bożej przez Trójcę Przenajświętszą.

W pionowych ciągach rozdzielających sceny znajdowały się

nisze przeznaczone dla Świętych Patronów i Wstawienników Opus Dei.

Całość rzeźb została wykonana z alabastru, lekko polichromowanego, materiału dość powszechnie występującego w tym regionie.

Ojcu nie dość było kontemplować to mistrzowskie dzieło:

Jakież to wspaniały ołtarz.

Jakże będą tu wzdychać staruszki... i młodzi ludzie! Jakże będą wzdychać! To dobrze! Tylko my szaleńcy z Opus Dei robimy takie rzeczy, ale jesteśmy bardzo zadowoleni z naszego szaleństwa...[244].

Zapisałi jego uwagi na temat miejsca usytuowania organów, sposobu zainstalowania figury Matki Bożej, oświetlenia figury Chrystusa w kaplicy Najświętszego Sakramentu.

Następnego dnia, 24 maja, Ojciec poświęcił ołtarz główny i – po zakończeniu ceremonii konsekracji – skierował kilka słów do obecnych, przypominając im, że ołtarz jest kamieniem ofiarnym:

Właśnie poświęciłem kolejny ołtarz. Jest ich wiele na całym świecie: w Europie, w Azji, w Afryce, w Ameryce, w Oceanii. Na tych ołtarzach wasi bracia składają Panu ofiary ze swojego życia, z radością, ponieważ ofiara z Miłości jest niezmierną radością, nawet w najcięższych chwilach. Wszyscy macie odrobinę doświadczenia, ale nie przesadzajcie. Nie róbnmy tragedii, bierzmy życie po troszku, jako komedię, ponieważ jest wiele spraw, z których trzeba się śmiać[245].

**Zawsze, gdy poświęcam ołtarz –
mówił – staram się wyciągać z tego
skutki i dla siebie:**

**Spójrzcie, co trzeba zrobić z
ołtarzem ,aby poświęcić go Bogu.
Po pierwsze, namaścić go. I was i
mnie namaszczo olejem
świętym, gdy stawaliśmy się
chrześcijanami – na piersi i na
plecach. Namaszczo nas także w
dzień naszego bierzmowania.
Nam, kapłanom, namaszczo
dłonie. I ja mam nadzieję, że - z
łaską Bożą – namaszczą nas w
dzień Ostatniego Namaszczenia,
którego się nie obawiamy. Cóż to
za radość, czuć się namaszczonym
od dnia urodzin do dnia śmierci!
Czuć się Bożym ołtarzem, Bożą
rzeczą, miejscem, gdzie Bóg
dokonuje swojej ofiary, ofiary
wiecznej na wzór
Melchizedeka[246].**

Późnym wieczorem przekazano mu informację o śmierci w Rzymie jednego z jego synów - don Salvadora Canalsa. Jeszcze raz spełniał się ten akt strzelisty: *nulla dies sine cruce**, nigdy nie brakowało Ojcu powodów do odczuwania bólu.

W niedzielę, 25 maja, miało miejsce w ratuszu w Barbastro wręczenie don Josemaríi Złotego Medalu tego miasta. Uroczystość rozpoczęła się w południe odczytaniem przez sekretarza aktu nadania medalu. Następnie, po nałożeniu medalu, burmistrz, pan Gómez Padrós, odczytał swoje przemówienie. Dzień ten oznaczał powtórne spotkanie Ojca ze swymi rodakami. Z tego też powodu burmistrz przywołał z ogromną serdecznością dawne wspomnienia. Od dziecinnych zabaw i odmawiania *Salve Regina* w sobotni wieczór w kościele pijarów, aż po zrealizowane marzenie – sanktuarium w Torreciudad. Potem

przemawiał Ojciec, wypowiadając słowa podziękowania. Za ledwie odczytał trzy zdania, gdy przerwał lekturę swojego wystąpienia. W jego sercu silnie wezbrało wzruszenie. Ze zmienioną twarzą, drżącym głosem, prawie płacząc, poprosił obecnych o wybaczenie:

Wybaczcie. Jestem bardzo wzruszony, z dwóch powodów: po pierwsze z powodu waszej serdeczności, a poza tym, ponieważ wczoraj późnym wieczorem otrzymałem z Rzymu informację o zgonie jednego z pierwszych, których posłałem, by czynili Opus Dei we Włoszech. Czystej duszy i wielkiej inteligencji [...].

Służył Kościołowi swymi cnotami, swym talentem, swym wysiłkiem, swą ofiarą, swą radością, z tym duchem Opus Dei, który polega na służbie. Powinienem być

zadowolony, że mamy jeszcze jednego w Niebie, ponieważ w tak licznej rodzinie musi się tak często zdarzać coś w tym rodzaju. Ale jestem bardzo zmęczony, bardzo zmęczony, bardzo wyczerpany. Wybaczcie mi, możecie być zadowoleni, żeście dowiedzieli się, że mam serce. No, dalej[247].

I kontynuował lekturę.

Wieczorem Ojciec wyszedł na plac przed sanktuarium i w portykach szedł wzdłuż ceramicznych wizerunków tajemnic różańcowych. Pod każdym z nich znajdował się ołtarz. Idąc, odmawiał różaniec wraz z grupą towarzyszących mu osób. Skończyli odmawiać różaniec w krypcie, w kaplicy Matki Bożej del Pilar. Następnie Ojciec zapytał o ukończony konfesjonał i tam wyspowiadał się u don Álvaro. Następnie don Álvaro wyspowiadał

się u Ojca, inaugurując w ten sposób konfesjonały w Torreciudad[248].

W poniedziałek, 26 maja, Ojciec znajdował się już w Madrycie, skąd wyjechał do Rzymu 31 maja.

Przeglądając historię choroby założyciela Opus Dei, warto zwrócić uwagę na jedno zdarzenie, choć wówczas pozostało ono niemal niezauważone. «Podczas pobytu w Madrycie, o świcie 30 maja 1975 roku, miał miejsce kolejny atak polegający na duszności i częstoskurczu serca podobny do tego z 21 maja 1975 roku. Objawy ustąpiły szybko i prał. Escrivá de Balaguer po ozdrowieńczym śnie ponownie poczuł się dobrze»[249].

Trudno pomyśleć, że wobec tego, co zaszło, Ojciec nie był świadom powagi swego stanu. Istnieje jeszcze inna przesłanka o ważnym znaczeniu biograficznym, pozwalająca zrozumieć jego

postępowanie w okresie oczekiwania na śmierć. W niewiele godzin po ustąpieniu kryzysu sercowego, rankiem 22 maja, Ojciec napisał w jednej ze swych osobistych notatek: ***Granica, jaka dzieli nas od innego życia jest tak cienka, że warto być zawsze przygotowanym, aby odbyć z radością tę podróż***^[250].

Refleksja ta wynikała z jego osobistego doświadczenia. Trzeba przechodzić do innego życia z radością, ponieważ nie mamy tu trwałego miejsca. Bardzo delikatna jest bariera, która nas od niego oddziela. Dlatego chrześcijanin powinien być przygotowany na przyjęcie śmierci z uśmiechem.

* * *

Nocne kryzysy zdrowotne, które miały miejsce pod koniec maja były zapowiedzią zbliżających się zdarzeń. Ojciec był świadom ich powagi, ale nie dramatyzował, ani

nie wspominał o tym w kontekście osobistym, natychmiast włączając się w normalny rytm pracy, «nie skupiając się na swoim stanie zdrowia, ani nie koncentrując się na swoim dobrym lub złym samopoczuciu»[251]. Zachowywał spokojną postawę świętego zawierzenia, trawiąc dni, którymi Pan zechciał go obdarzyć, na służbie Kościołowi i Dziełu.

Odejście z tego świata nie wydawało się czymś strasznym. Założyciel wiedział – dzięki Bożemu miłosierdziu – że teraz znajdował się na tym etapie ziemskiej egzystencji, kiedy jest rzeczą naturalną, że się dożywa **dni, których jeszcze brakuje**[252], z nadzieją, że okażą się one owocne. Być może pamiętał ową pocieszającą myśl, jaką przesłał mu biskup Ávili, i którą on sam zapisał w *Drodze: Nie, nie będzie On dla ciebie Sędzią — w surowym znaczeniu tego słowa — lecz po*

prostu Jezusem”[253]. W każdym razie, aby opisać śmierć, nie posługiwał się smutnymi obrazami, ale porównaniami, które napełniały duszę spokojem. Wszystkie alegorie, którymi się posługiwał, były bardzo radosne[254].

Możliwe, że Ojciec przeczuwał, że jego czas się kończy, bardziej niż z niepokojących symptomów zdrowotnych, dzięki nieodpartemu Bożemu przyciąganiu, jakiego doświadczała jego dusza. Śmierć miała spotkać go gotowego i w towarzystwie jego *Custodes*. A jeśli przyszłoby niespodzianie, miała być dla niego radosnym wydarzeniem. Czymś takim, ***jakby Pan zaszedł nas z nienacka od tyłu, a gdy my się odwrócimy, znajdziemy się w jego ramionach***[255]. Gdyby jego dobra siostra śmierć otworzyła mu wrota Życia, przekroczyłby ich próg, pod rękę z Matką Bożą, aby być

przedstawionym Trójcy
Przenajświętszej.

Było jednak jasne, że bardzo mu
ciężała myśl, że jego odpowiedź na
otrzymane łaski była
niewystarczająca. To ból odczuwany
z miłości popchnął go, pewnego dnia,
aby zadać pytanie, na które
odpowiedział natychmiast.
Znajdował się na spotkaniu ze swymi
synami z Rady Generalnej, po
obiedzie, gdy spytał obecnych głosem
wyraźnym, a jednocześnie cichym:

***Ojciec? Grzesznik raczej, który
kocha Jezusa Chrystusa i nigdy nie
skończy uczyć się z lekcji, jakich
udziela mu Bóg. Wielki głuptas.
Oto był Ojciec! Powiedzcie to tym,
którzy was pytają o to, ponieważ
na pewno was o to zapytają***[\[256\]](#).

Stale zapewniał swoich synów, że tu
na ziemi nie był już niczym więcej
niż zawadą. Z nieba, natomiast,
mógłby lepiej pomagać wszystkim.

Miał już wielką chęć, by kontemplować oblicze Pana. Z miłością przebiegał karty Ewangelii, poszukując go. Kroczył śladami Nauczyciela, głosząc swe nauczanie i rozsiewając *bonus odor Christi** — Boży zapach Jego Człowieczeństwa, — nie mogąc jednak ujrzeć Jego oblicza. W swej duszy niósł wyryte rysy Jezusa. Pragnął ujrzeć Jego twarz, ale Boże oblicze jawiło mu się niczym w porysowanym lustrze i jego pragnienia nie mogły się spełnić. Filmy historyczne ze scenami z życia Jezusa z Nazaretu zawsze wywoływały u niego głębokie rozczarowanie, choć wiedział, że innym osobom mogą one pomagać[257]. Nie odnajdywał nawet dalekiego podobieństwa pomiędzy wewnętrznym wizerunkiem, zrodzonym z miłości, a sztucznymi obrazami filmowymi. Całe jego jestestwo pragnęło kontemplować, twarzą w twarz, chwalebnie piękne oblicze Jezusa. W

ostatnich dniach stale powtarzał:
Vultum tuum, Domine, requiram!
Szukam Twego oblicza, Panie. Pragnę
ujrzeć Twe oblicze, Panie. Pragnę
ujrzeć Twe oblicze[258].

Życie wypełnione pracą stanowiło
kontekst jego egzystencji
kontemplacyjnej. Pracowitość była
cnotą zupełnie nieodłączną od osoby
Ojca. Ale nie mógł on ukryć bagażu
lat, który niósł z trudem, chociaż
pełnił swoje obowiązki
duszpasterskie i związane z
zarządzaniem, jak gdyby cieszył się
pełnią sił fizycznych. Udało mu się
ukrywać zmęczenie, ale widać było
słabość nóg, gdy chodził i od czasu do
czasu lekkie drżenie rąk. Na
wieczornych spotkaniach zjawiał się
wyczerpany. Ponieważ znajdował się
wśród bliskich, nie martwiło go to, że
ujrzą go w tym stanie jego synowie.
Jego gesty stały się po ojcowsku
delikatne. Natomiast apostolski żar
jego słów i nauczania był

wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem[259].

Zawsze zastanawiał się nad tym, w jaki sposób wiernie przekazać nienaruszone dziedzictwo, które zostawiał swoim dzieciom: ducha Opus Dei oraz uruchomioną pracę apostolską w ponad trzydziestu krajach[260]. Myślał o tych, którzy teraz wchodzili w skład Dzieła oraz o tych, którzy zjawią się w następnych stuleciach. Chwilowo pragnął ukończyć prace nad nową siedzibą Kolegium Rzymskiego.

Przed wyjazdem do Hiszpanii odwiedził Cavabiankę, gdzie jego synowie łączyli naukę z różnymi pracami. W tym czasie zajmowali się pracami ogrodniczymi, myciem podłóg oraz malowaniem i dekorowaniem kaplicy Świętego Krzyża. Tym, którzy tam pracowali, powiedział, że im zazdrości, a ponieważ patrzyli oni na Ojca ze

zdziwieniem, wyjaśnił im, dlaczego polecił zbudować tę kaplicę: z powodu nadprzyrodzonego nabożeństwa oraz ludzkiej pobożności. Z powodu nabożeństwa do Krzyża Świętego i ponieważ ta kaplica będzie służyć czuwaniu przy tych, których Pan zechce powołać do siebie, w czasie gdy będą przebywać w Kolegium Rzymskim[261].

Ojciec przebywał w Rzymie od tygodnia, gdy w sobotę, 7 czerwca, pojawił się w Cavabiance. W oczekiwaniu na przyjazd Ojca opróżniono kaplicę Matki Bożej od Aniołów, zdemontowano rusztowania, aby mógł ocenić malowidła. Wśród swych synów Ojciec szukał tych, którzy tego lata mieli wyjechać do Hiszpanii, aby przyjąć święcenia kapłańskie. Przyjechał spotkać się z nimi, ale nie pożegnać. **Ponieważ my**— wyjaśniał im — **nigdy nie mówimy: żegnaj, ale: do zobaczenia**[262]. Miał ze

swymi synami długie spotkanie,
które rozpoczął od rozważania na
temat ciągłości:

***Wy rozpoczynacie swoje życie.
Jedni zaczynają, a inni kończą. Ale
wszyscy jesteśmy tym samym
Życiem Chrystusa. Tyle rzeczy
trzeba zrobić na świecie! Prośmy
Pana, zawsze, aby sprawił, że
wszyscy będziemy wierni, stale
kontynuowali pracę, żyli tym
Życiem, przez duże Ż, które jest
jedynym wartym zachodu. Inne
nie jest nic warte. Przemija.
Przecieka jak woda przez palce.
Natomiast to jest inne Życie!...***
[263].

W niedzielę, 15 czerwca, jeszcze raz
zjawił się w Cavabianca i spotkał się
ponownie ze swymi synami w
czytelni. Wcześniej obszedł całą
posiadłość, zaglądając to tu, to tam,
zwiedzając ogród, boiska, kaplice i
oglądając fontanny. Ojciec był

zmęczony i mówił cicho: **Musiałem usiąść. Wydawało się, że nie trzeba będzie, ale zrobiliśmy sobie długi spacer... Bardzo długi!** Z Cavabianki pragnął uczynić miłe miejsce do pracy i do wypoczynku, do modlitwy i do sportu. Studenci poprzez wsparcie materialne, jakiego dostarczali poprzez malowanie, sprząatanie i podlewanie roślin, postępowali zgodnie z tradycją istniejącą w Opus Dei od chwili otwarcia pierwszego ośrodka. Ojciec im mówił:

Wówczas, przy mniejszej ilości środków, niż teraz: tylko w opinii szaleńców. O mnie mówiono, że jestem młodym i szalonym księdzem. Mieli rację. I mają ją także teraz. Jestem szczęśliwy, że jestem szalony

(Don Álvaro zrobił mu komplement, mówiąc, że jest młody).

— *Młody? Nogi mi mówią, że nie. Nie po raz pierwszy*[264].

W niedzielę, 22 czerwca, ponownie odwiedził Cavabiankę, aby zostawić kilka zaleceń, zanim opuści Rzym. Zwrócił szczególną uwagę na kaplicę Matki Bożej od Aniołów. W czytelni, gdzie znajdowały się jeszcze puste półki na książki, mówił im o radości, choć nie potrafił powstrzymać westchnienia, świadczącego o zmęczeniu:

Jestem zmęczony. Nie mam w zwyczaju tyle chodzić, a pochodziłem sobie tutaj, to tu, to tam...[265].

Prace w Cavabiance zbliżały się do końca, choć nadal pozostawało wiele szczegółów do wykończenia.

— Ojciec – ktoś go zapytał – czy odbędzie się święto z okazji położenia ostatniego kamienia?

— *Ostatniego kamienia? Bardzo małe święto: dziesięciominutowe. Podziękujcie Bogu, ale przez dziesięć minut*[266].

* * *

W środę, 25 czerwca, don Josemaría obchodził w rodzinnej atmosferze rocznicę wyświęcenia trzech pierwszych kapłanów. Na ziemi z tej trójki żyli jeszcze don Álvaro del Portillo i don José Luis Múzquiz. Chiqui natomiast był już w niebie. Pamiętał o nich podczas mszy. Myślał także o tych, którzy uzyskali święcenia po nich, a także o tych, którzy mieli być wyświęceni za kilka tygodni. Dla wszystkich swych córek i synów prosił Boga, aby zawsze mieli dusze kapłańską. Pomodlił się też za wszystkich, ***a zwłaszcza, aby w każdą ze swych córek wniknęła bardzo głęboko dusza kapłańska***[267]. Szczęście Ojca i jego dobry humor były widoczne podczas

poobiednego spotkania. Kilka razy wyjmował z kieszeni maleńki gliniany gwizdek, który podarowały mu kilka dni wcześniej dziewczęta z klubu dziecięcego i zwracając się w kierunku don Javiera, gwizdał, co powodowało ogólny śmiech.

Wieczorem brał udział w wystawieniu i błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem w kaplicy Świętej Rodziny. Był to wyczerpujący dzień, przepełniony modlitwą, do łóżka kładł się więc dość zmęczony. Schodząc po schodach na wieczorne spotkanie, niósł filiżankę z rumiankiem, zapisanym przez lekarza. Ci, którzy mu towarzyszyli, chcieli wziąć od niego tacę, aby mógł lepiej widzieć stopnie, ponieważ z trudem je tylko dostrzegał. Ale oparł się i – żartem – poskarżył się: ***Ależ nie pozwalacie mi robić nawet takich drobniutek umartwień!***[268].

Naprzeciw miejsca, w którym usiadł, znajdowała się mała figurka Najświętszej Pani, na którą często spoglądał, odmawiając w duchu akty strzeliste[269]. Podczas spotkania, przed snem, wydawał się zamyślony, pogrążony w modlitwie. Jakie myśli mogły przechodzić mu przez głowę?

Następnego dnia, we czwartek 26 czerwca, odprawił mszę o ósmej rano, z pomocą don Javiera Echevarrúi[270]. Była to msza wotywna do Najświętszej Maryi Panny, w kolekcie której kapłan prosi o «doskonałe zdrowie duszy i ciała». Lektura tych słów musiała go tego dnia w szczególny sposób poruszyć. Ostatnie słowa, jakie zanotował w swym notesie, chociaż musiał znać je z pewnością na pamięć, pochodziły z tej kolekty: «*a praesenti liberari tristitia et aeterna perfrui laetitia**»[271]. Abyśmy wolni od

doczesnych utrapień, mogli się cieszyć wieczną radością.

O wpół do dziesiątej, w towarzystwie don Álvara, don Javiera oraz architekta - Javiera Cotelo, wyjechał samochodem do Castelgandolfo, gdzie czekały na niego jego córki. Po wyjeździe z *Villa Tevere* rozpoczęli odmawianie tajemnic radosnych różańca. Podróż się przeciągnęła z powodu robót drogowych. Podczas jazdy don Josemaría powiedział, że mógłby jeszcze tego samego dnia wieczorem odwiedzić kaplicę Matki Bożej od Aniołów w Cavabiance.

Po przyjeździe do *Villa delle Rose*, ośrodka znajdującego się w Castelgandolfo, wszedł do kaplicy i kilka chwil spędził na kolanach. Następnie udał się na spotkanie ze swymi córkami w salonie. W tym *soggiorno** znajdował się obraz przedstawiający Najświętszą Maryję Pannę, która delikatnie przytulała

swą twarz do główki Dzieciątka, tuląc Je do siebie, a w palcach drugiej dłoni trzymając jasną różę.

Założyciel Opus Dei zapatrzył się w ten obraz. (Miał w zwyczaju, niezmiennie pozdrawiać wizerunek Najświętszej Paniienki wchodząc lub wychodząc z jakiegoś pomieszczenia).

Obraz ten należał poprzednio do donii Dolores, patrzyła na niego tuż przed śmiercią. Pieszczotliwie nazywali go “Najświętszą Panienką z Ufryzowanym Dzieciątkiem”. (Dzieciątko Jezus, mające tu od dwóch do trzech lat, zaróżowione i pucołowate, z niewinną miną, było kędzierzawym blondynkiem, uczesany starannie z przedziałkiem). Przygotowano dla Ojca fotel, który odstąpił don Álvaroowi, zajmując krzesło, i powiedział:

***Bardzo chciałem przyjść.
Spędzamy tu ostatnie godziny w
Rzymie, aby załatwić wszystkie
pilne sprawy, tak iż dla innych już
mnie nie ma, jestem tylko do
waszej dyspozycji[272].***

Przypomniał im wczorajszą uroczystość, 25 czerwca, rocznicę święceń trzech pierwszych kapłanów w Opus Dei, a także to, że kolejnych pięćdziesięciu czterech już wkrótce przyjmie święcenia. Czy to dużo? Naprawdę jest ich mało. Potrzeby apostolskie wkrótce ich pochłoną.

Jak wam zawsze powtarzam, tę wodę Bożą, jaką jest kapłaństwo, Dzieło wypija duszkiem. Znikną natychmiast.

Wy także macie duszę kapłańską, powiem wam to zawsze, gdy tu będę. Wasi bracia świeccy także mają duszę kapłańską. Możecie i powinniście pomagać dzięki tej duszy kapłańskiej, a dzięki łasce

Bożej, a także kapłaństwu ministerialnemu nas, kapłanów z Dzieła, wykonamy skuteczną pracę[273].

Potoczyła się miła i przyjemna rozmowa, pełna anegdot i zaleceń. Po dwudziestu minutach Ojciec źle się poczuł. Przerwał. Złapały go nudności. Musiał więc odpocząć kilka minut. Ponieważ nie wrócił całkiem do siebie, pożegnał się, przepaszając za sprawienie kłopotu.

Była jedenasta dwadzieścia. Wybrali najkrótszą drogę powrotu do Rzymu. Robiło się coraz goręcej i temu właśnie Ojciec przypisywał swe złe samopoczucie. W drodze powrotnej nie było korków i dojechali do *Villa Tevere* na kilka minut przed dwunastą. Ojciec wysiadł z samochodu z łątwością i z ujmującym uśmiechem na twarzy. Wszystkim wydawało się, że to tylko lekka niedyspozycja.

Zajrzał do kaplicy i jak zwykle przyklęknął: nabożnie, powoli, przywitał się z Jezusem w Najświętszym Sakramencie. Prosto stamtąd poszedł do gabinetu. Don Javier, który pozostał z tyłu, aby zamknąć drzwi od windy, usłyszał, że Ojciec woła go ze środka. Pospieszył tam. ***Nie czuję się dobrze*** – powiedział słabym głosem i osunął się na podłogę.

(Kolejne akapity pochodzą z listu don Álvaro, wówczas jeszcze Sekretarza Generalnego Opus Dei do członków Dzieła, napisanego w Rzymie 29 czerwca 1975 roku).

«Podjęliśmy wszelkie możliwe środki, duchowe i medyczne. Udzieliłem mu rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia, gdy jeszcze oddychał. Walka trwała półtorej godziny, tyle też trwała nadzieja: tlen, zastrzyki, masaż serca. W tym

czasie kilkakrotnie powtórzyłem rozgrzeszenie [...].

Wzbraniałiśmy się, przed tym uznaniem, że naprawdę umarł. Dla nas była to oczywiście śmierć nagła, ale dla Ojca bez wątpienia było to coś, co dojrzewało stopniowo — odważę się powiedzieć — bardziej w duszy niż w ciele, ponieważ każdego dnia częściej ofiarowywał swe życie za Kościół [...].

Złożyliśmy jego ciało w kaplicy Świętej Marii, z ogromną czcią i miłością z naszej strony, przed ołtarzem, na miejscu stojącego tu zwykle kandelabru na świeczki wotywnie. Ojciec był jeszcze wciąż ubrany w czarną sutannę [...].

Przyniesiono cztery świeczniki. Odpowiednio, z miłością, ułożono ciało naszego Ojca. Wkrótce przebrano go, na czarną sutannę nakładając humerał, albę, stułę oraz ornat. Alba była uszyta z batystu

koloru kości słoniowej, od talii w dół z jedwabnym czerwonym podbiciem, na którym znajdowały się koronki brabanckie. Była to alba, której używał przy okazji świąt [...].

Oblicze Ojca było nadzwyczaj spokojne, spokojem, który zsyłał wielki pokój na każdego, kto na niego patrzył».

Don Josemaría umarł tak, jak chciał: pozdrawiając wizerunek Najświętszej Paniienki z Guadalupe. Z rąk Matki Bożej otrzymał różę, która otworzyła przed Miłością wrota wieczności.

[1] AGP, P04 1972, II, s. 638.

[2] AGP, P04 1972, II, s. 641.

[3] List do José Maríi Hernándezza Garniki, w: EF-720219-3. Jako wymóg

zdrowego rozsądku w przypadku nieuleczalnych chorób, Ojciec szukał stosownego momentu, aby zakomunikować choremu powagę jego stanu, ale zawsze wystarczająco wcześnie, by mógł dobrze przygotować się na śmierć. Oto, co w liście do konsyliariusza z Hiszpanii radził jednemu z krewnych Chiquiego, w lutym 1972 roku: ***on może to powiedzieć reszcie rodziny. Powiedzcie mu jednak, że to wy powiecie Chiquiemu o powadze sytuacji w stosownym czasie, i żeby wobec tego starali się nie alarmować go niepotrzebnie*** (List do Florencia Sáncheza Belli, w: EF-720207-1).

[4] List do Josego Maríi Hernándezza Garniki, w: EF-720920-1.

[5] Dziennik z *Villa Tevere*, 7 XII 1972 (AGP Sec. N, 3 leg. 430-06). Javi to ks. Javier Echevarría.

* (hiszp.) que en paz descanse – niech odpoczywa w pokoju – przyp. tłum.

[6] List do Pedra Casciaro Ramíreza, w: EF-721207-1.

[7] Por. List do Florencia Sáncheza Belli, w: EF-721210-3.

W tym czasie Sofía Varvaro, młoda numerariuszka, znalazła się w klinice w Rzymie, a lekarze nie dawali jej szans na przeżycie z powodu raka wątroby. Ojciec odwiedził ją 18 grudnia 1972 roku.

— Ojcze, czasami boję się, że nie będę umiała wytrwać do końca, ponieważ jestem niewiele warta – zwirzała mu się Sofía. Ojciec odpowiedział jej natychmiast:

— *Córko, nie lękaj się, ponieważ czeka na Ciebie Jezus! Proszę Go, aby cię uleczył, ale niech się spełni Jego wola. Czasami dużo kosztuje przyjęcie tej Bożej woli, której nie*

rozumiemy, ale Pan musi się z nami trochę poprzekomarzać, ponieważ nas kocha i troszczy się o nas jak dobry tatuś z matczynym sercem. Czy to rozumiesz? Jutro rano wraz ze świętą Hostią położę cię na patenie, aby ofiarować cię Panu. A ty, tu lub w niebie, bądź zawsze zjednoczona z Ojcem, z intencjami Ojca, ponieważ potrzebuję mocnego wsparcia od was wszystkich w moich prośbach (por. Álvaro del Portillo, *O Założycielu Opus Dei...*, s. 111).

* (łac.) dziękujcie zawsze za wszystko Bogu Ojcu (por. fragment dawnej liturgii mszalnej, modlitwę po Komunii Św. z niedzieli po Wniebowstąpieniu Pańskim) – przyp. tłum.

[8] List do Xaviera de Ayali Delgado, w: EF-721212-1.

[9] José Luis Soria Saiz, RHF, T-07920, s. 26.

[10] List do sus hijas e hijos, w: EF-721200-1.

[11] AGP, P01 1973, s. 309.

* Kard. Mario Casariego y Acevedo CRS (1909-1983) – arcybiskup Gwatemali od 1963 do 1983.

* (łac.) gorzkość moja najgorzszcześniejsza [tłum. Jakuba Wujka, w Biblii Tysiąclecia: gorycz, Iz 38, 17]

[12] List do kard. Mario Casariego Acevedo CRS, z Mediolanu, w: EF-730725-1.

[13] José Luis Soria Saiz, RHF, T-07920, s. 100.

[14] AGP, P01 1973, s. 363.

* Chodzi o hiszpańską tradycję umieszczania na ścianach akademików stylizowanych napisów z imieniem doktora i literą “v” z

okazji pomyślnego ukończenia studiów.

[15] Przy tej okazji wypada zaznaczyć, że Ojciec z wdzięczności i w poczuciu sprawiedliwości podkreślał w słowach i czynach, ile dla Dzieła znaczyła przykładna wierność don Álvaro, jego całkowite oddanie i owocność jego pracy. Niektóre daty z jego życia zostały włączone do kalendarza rodzinnego Dzieła.

[16] List z Civenny, w: EF-730820-1.

* (łac.) ucieczki naszej i męstwa – przyp. tłum.

[17] List z Civenny, w: EF-730820-2.

Domagał się także wsparcia od swoich córek w Hiszpanii, gdy mówił im: ***liczę na wierność każdej z was. Jesteście przedmiotem mojej ciągłej modlitwy i jesteście moim listem uwierzytelniającym u Pana***

(List do Carmen Ramos García, z Civenny, w: EF-730820-6).

W liście do Mario Lantinięgo, konsyliariusza we Włoszech, zwracał się do wszystkich swoich włoskich synów: ***wiedźcie, że codziennie potrzebuję ze strony każdegoz Was wierności, która przekłada się na ciągłą modlitwę oraz na pracę dobrze ukończoną w obecności Boga*** (List z Civenny, w: EF-730825-1).

[18] Por. RHF, D-15111, wrzesień 1973 r..

[19] List do Florencio Sáncheza Belli, w: EF-731117-2.

[20] RHF, D-15111, listopad 1973 r..

* Cinca, rzeka w Aragonii – przyp. tłum.

[21] Por. list do José Luisa Múzquiza de Miguela, w: EF-550120-9 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 828.

Architekt Jesús Álvarez Gazapo opowiada (podaje dokładną datę rozmowy z Ojcem, 17 marca 1958 roku), że zwrócił Ojcu uwagę, że jedna z budowanych w *Villa Tevere* kaplic okaże się zbyt mała. ***Nie martw się, nadejdzie jeszcze odpowiednia pora na budowanie katedr*** –odpowiedział mu. Nie wybiegając dalej naprzód — wspomina dalej architekt — Ojciec miał w głowie projekt sanktuarium z USA, które pozwoli na wielką aktywność duszpasterską na rzecz uświęcania rodzin. Będzie pod wezwaniem: *Sancta Maria Mater Pulchrae Dilectionis* (Najświętszej Maryi Panny Matki Pięknej Miłości). W krypcie sanktuarium miało znaleźć się także wiele innych ołtarzy i konfesjonałów. Por. Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.* 4484.

[22] «*Umowa dzierżawy wieczystej Torreciudad*» (RHF, D-15419).

Beneficjentem umowy była spółka „*Inmobiliaria General Castellana S.A.*” na rzecz której Kapituła Katedralna oraz Rada Administracyjna Diecezji przekazywały rzeczywiste użytkowanie kaplicy. Spółka zobowiązywała się do opłacenia pewnej kwoty przy podpisywaniu umowy oraz corocznego czynszu. Zobowiązywała się także do odrestaurowania wizerunku Matki Bożej i utrzymania jego kultu publicznego. Przyczyną ustanowienia spółki akcyjnej z osobowością prawną była jedynie potrzeba zwiększenie funduszy poprzez sprzedaż akcji, aby z tych środków pokryć koszty restauracji otrzymanych dóbr.

[23] W liście z 6 maja 1966 roku Ojciec poprosił kardynała Paolo Marellę, dziekana Bazyliki Watykańskiej oraz prefekta Świętej

Kongregacji Czcigodnego Gmachu Świętego Piotra, o koronację wizerunku. W liście zawarty był opis dziejów oraz wzrost nabożeństwa do Matki Bożej z Torreciudad (Por. RHF, D-15431; oryginał znajduje się w archiwum parafii Św. Piotra w Watykanie). Dekret koronacji wizerunku Matki Bożej z Torreciudad oraz udzielenia założycielowi Opus Dei prawa do osobistego jego ukoronowania nosi datę 20 czerwca 1966 roku (RHF, D-15104).

* Por. obrzędy Komunii podczas Mszy Świętej oraz J 14, 27 – przyp. tłum.

[24] List do Florencia Sáncheza Belli, w: EF-670617-3.

[25] Ibidem.

[26] Por. Javier Echevarría, *Sum.* 2614.

[27] Florencio Sánchez Bella, RHF, T-08250, s. 15; Por. także: Javier Echevarría, *Sum.* 2614. Bp Javier Echevarría zauważa, że podczas tych słodkich i intymnych rozmów Ojca z Matką Bożą, które powtarzały się podczas jego pobytu w Madrycie, Ojciec mówił «z czułością dziecka i z sercem zakochanego mężczyzny» (*Sum.* 2404).

[28] Por. César Ortiz-Echagüe Rubio, *Sum.* 6877.

[29] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1033 oraz Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4828. Według gipsowego modelu Chrystusa, dzieła rzeźbiarza Sciancalepore, sporządzono dwie rzeźby. Druga znalazła się w Międzynarodowym Ośrodku w Cavabiance.

* okulus – okrągłe okienko. W Aragonii panował zwyczaj umieszczania w Kościołach okulusa eucharystycznego, z wysokości

którego Najświętszy Sakrament
górował nad świątynią - przyp. tłum..

[30] List do Florencia Sáncheza Belli,
w: EF-670617-2.

[31] Javier Echevarría, *Sum.* 2615.

[32] Ibidem; Álvaro del Portillo, *Sum.*
1147.

[33] Florencio Sánchez Bella, *Sum.*
7546.

[34] Por. Javier Echevarría, *Sum.*
2530 oraz listy do Martína Sambeata
Valóna, w: EF-740330-1 i Manuela
Gómez Padrosa, w: EF-740402-1; etc.

[35] Ibidem oraz César Ortiz-Echagüe
Rubio, *Sum.* 6893.

[36] Por. María del Carmen de Otal
Martí, baronessa de Valdeolivos,
Sum. 5993; Encarnación Ortega
Pardo, *Sum.* 5349 oraz Julián Herranz
Casado, PR, s. 878 i 877.

[37] Ukończenie ołtarza latem 1975 roku było prawdziwym cudem. Ołtarz jest dziełem rzeźbiarza Joana Mayné i został wykonany z polichromowanego alabastru. Zajmuje około 130 metrów kwadratowych, składa się z ośmiu ważnych scen z życia Najświętszej Maryi Panny. César Ortiz-Echagüe, który z bliska obserwował prace nad ołtarzem, opowiada następujące zdarzenie z 1974 roku, rok przed inauguracją. «Ojciec zapytał mnie, kiedy będzie gotowy ołtarz główny, w którym miał być umieszczony wizerunek. Odpowiedziałem mu, że ze zględu na to, że prace nad ołtarzem rozpoczęły się przed rokiem, że trzeba obrobić 500 ton alabastru i że wedle naszej wiadomości, ołtarze podobnej wielkości w Huesce, w el Pilar itd. trzeba było wykonywać przez 15-20 lat, w przypadku Torreciudad myślimy o jeszcze siedmiu latach. Ojciec mi powiedział natychmiast, że

trzeba będzie skończyć w ciągu roku, aby sanktuarium mogło zostać otwarte całkowicie ukończone. Doradził mi kilka rzeczy, które natychmiast zastosowałem. I w rok później, gdy pojechał do Torreciudad, ołtarz był skończony» (César Ortiz-Echagüe Rubio, PM, k. 1012)

[38] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 613; Mario Lantini, *Sum.* 3600; Ignacio Celaya Urrutia, *Sum.* 5906.

[39] Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.* 4319.

[40] Por. Jesús Álvarez Gazapo, PR, s. 1345.

*
—

* (wł.) Biały Kamieniołom – przyp. tłum.

[41] Por. *ibidem*.

[42] Ojciec prosił wszystkich wokoło o modlitwy, kontynuował prace nad projektem Cavabianki i zapewniał, że

Pan nie pozwoli na ich zatrzymanie:
«środki przyjdą» - mówił im
(Vincenzo Montillo, PR, s. 1040).

Pozwalał swoim synom ujrzeć, że
potrzeba im wielkich pieniędzy, ale
żeby się nie martwili, ponieważ tym
się już zajmie Pan (Por. Jesús Álvarez
Gazapo, *Sum.* 4379).

Już od chwili założenia Opus Dei, gdy
nie mieli zupełnie środków
materialnych, całkowicie zdawał się
na łaskę Boga, tak jak pisał w swych
Zapiskach wewnętrznych, nr 1755:

***Jezu, z mojej duszy jeszcze raz Ci
powtarzam: to jest zabawne.***

***Pracuję dla Ciebie, a Ty
odmówiłbyś mi środków
materialnych?*** – napisał w chwili
największych ograniczeń.

[43] Posiadłość Salto di Fondi była
letnią siedzibą Kolegium Rzymskiego
aż do 1966 roku. Wraz z urbanizacją
okolicy oraz powstaniem budynków
w pobliżu plaży miejsce to przestało

być wystarczająco spokojne dla nauki i uprawiania sportu. W następnym roku letnią siedzibę przeniesiono w góry, w Abruzy, w pobliże L'Aquili. Miejsce to nazywało się Tor d'Aveia.

[44] AGP, P04 1972, II, s. 608.

[45] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 829.

[46] Por. Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.* 4323. W ciągu dwóch lat (1968-1970) sporządzono wszelkie ekspertyzy i projekty wstępne, konieczne dla uzyskania zezwoleń na budowę. W marcu 1971 roku prace mogły się rozpocząć (Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 613).

[47] Por. Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.* 4320. Sytuacja ta przedłużyła się aż do chwili zakończenia prac przy Cavabiance. ***U nas jak zwykle—*** pisał Ojciec —***jeden strajk za drugim, a to opóźnia zakończenie***

***prac w Cavabiance. Cierpliwości,
mamy w ten sposób kolejną
sprawę do ofiarowania Bogu*** (List
do Florencia Sáncheza Belli, w:
EF-741107-2).

[48] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.*
829.

[49] Por. Álvaro del Portillo, PR, s.
1040.

[50] Por. Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.*
4323.

[51] Ojciec zajmował się mobilizacją
architektów, by dobrze
przygotowywali projekty (Por. Jesús
Álvarez Gazapo, PR, pp. 1404 y 1359).

Nastawa ołtarzowa w kaplicy Matki
Bożej od Aniołów w Cavabiance
została wykonana z
polichromowanego marmuru,
zawierała sceny z życia Najświętszej
Maryi Panny. Tabernakulum
znajduje się w okulusie, w górnej

części ołtarza, będąc ***sercem i samym centrum*** Cavabianki.

Pragnienie Ojca, by wzbudzić pobożność wiernych, jest szczególnie widoczne w zainteresowaniu, z jakim śledził prace rzymskiego rzeźbiarza Sciancalepore, któremu poczynił mnóstwo konkretnych sugestii, gdy ten zajął się rzeźbieniem Chrystusa Ukrzyżowanego, żywego, przed przebiciem boku. Z tego modelu sporządzono dwie figury z połączanego brązu: jedna dla sanktuarium w Torreciudad i druga dla kaplicy Świętego Krzyża w Cavabiance. Por. Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4828; Luigi Tirelli, *Sum.* 4565; Ignacio Celaya Urrutia, *Sum.* 5939.

[52] Álvaro del Portillo, *Sum.* 1144; także AGP, P01 1977, s. 213.

[53] AGP, P01 1972, s. 163.

[54] AGP, P01 1973, s. 309.

[55] AGP, P01 1975, s. 655; także
Álvaro del Portillo, *Sum.* 1656.

Niekiedy, aby wyrazić, że nie uważa się za nierzastąpionego mawiał: ***z nieba pomogę wam więcej, ponieważ tu nie jestem niczym więcej tylko zawadą*** (Javier Echevarría, *Sum.* 2050).

[56] Javier Echevarría, *Sum.* 3290.

[57] AGP, P01 1973, s. 493.

[58] Jesús Álvarez Gazapo był świadkiem rozmowy, jaką Ojciec przeprowadził 27 stycznia 1974 roku. Po wysłuchaniu gry na skrzypcach jednego ze swoich synów, zapytał od ilu lat gra. — Dwadzieścia dwa lata - odpowiedział. Ojciec skomentował: — ***A ja gram od siedemdziesięciu dwu; ale na tym polega życie wewnętrzne, trzeba grać codziennie, nie zaprzestając grania ani na jeden dzień, z***

**wytrwałością, z cierpliwością... i z
cierpliwością ze strony innych!
Siedemdziesiąt dwa lata grania na
skrzypcach, na skrzypcach i na
kontrabasie!** (Wyrażenie “grać na
kontrabasie” po hiszpańsku oznacza
czynić coś nieużytecznego i
niepotrzebnego). Por. *Sum.* 4498.

[59] Por. AGP, P01 1974, s. 951.

* (łac.) czuwajcie się i módlcie,
abyście nie ulegli pokusie (Mt. 26, 41)
– przyp. tłum.

[60] List z 28 III 1973, nr. 2 i 3.

[61] Ibidem, nr. 7 i 8.

[62] Ibidem, nr 8.

[63] Ibidem, nr 18.

* (łac.) Jezus Chrystus wczoraj i dziś,
ten sam także na wieki (Hbr 13, 8)–
przyp. tłum..

[64] Ibidem.

[65] List z 17 VI 1973, nr 18.

[66] Por. ibidem, nr 10.

[67] Ibidem, nr 12.

[68] List do jego córek i synów, w:
EF-731200-1.

[69] Ibidem.

[70] List z 14 II 1974, nr 1. Chodzi o dźwięk dzwonów z kościoła Matki Bożej od Aniołów, jaki założyciel Opus Dei usłyszał rankiem 2 października 1928 roku, w dniu założenia Opus Dei (por. A. Vázquez de Prada, *Założyciel Opus Dei*, tom I, str. 327).

[71] W liście ojcowskie upomnienia dotyczące praktyk pobożności i lojalności względem Kościoła są przemieszane z uderzeniami “wielkiego dzwonu”, które roztaczają przed czytelnikami bolesny spektakl komedii ludzkiej. Oto jeden z

przykładów: *Musieliśmy znosić — jakże mnie w duszy boli, że muszę o tym pisać — cały żaloszny zalew typów, którzy pod maską proroków nowych czasów starali się ukryć, chociaż nie udaje im się to całkowicie, oblicze heretyków, fanatyków, ludzi zmysłowych i urażonych w swej próżności.*

Dzieci, to boli, ale muszę starać się rozbudzić sumienia poprzez te uderzenia dzwonów, aby ta fala hipokryzji nie zaskoczyła nas we śnie. Cynizm próbuje bezwstydnie usprawiedliwić – a nawet wychwalać jako wyraz autentyzmu – apostazję i odstępstwa. Nierzadkie zdarzało się, że po głośnych wsytąpieniach tacy pozbawieni moralności odstępcy nadal zajmowali się nauczaniem religii w instytucjach katolickich albo głosili swoje nauki z organizacji parakościelnych, których liczba

tak bardzo ostatnio wzrosła

(Ibidem, nr 13).

[72] Ibidem, nr 1.

[73] Ibidem, nr 22. ***Służmy Panu z radością! To jest nasze dążenie, cały program świętego życia, na początku nowego roku. Popchnął nas na tę Bożą drogę Dzieła, abyśmy Mu służyli***(Ibidem, nr 2).

[74] Ibidem, nr 9.

[75] Ibidem, nr 18.

[76] Ibidem, nr 19.

[77] Ibidem, nr 5.

[78] RHF, D-15111; historia choroby, komentarz końcowy.

[79] Álvaro del Portillo, PR, s. 1091.

Na podobne pytanie odpowiadał:

pojadę do Ameryki, dokąd bardzo chciałbym pojechać — wszędzie — kiedy pojawi się stosowny powód,

kiedy pojechałby ojciec licznej i biednej rodziny, ponieważ byłaby to dla niej bardzo dobre (ibidem, PR, s. 1092).

[80] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1579; Javier Echevarría, *Sum.* 2049; Isabel La Porte Ríos, *Sum.* 5185.

[81] List, w: EF-740325-1.

[82] List, w: EF-740423-1.

[83] Obrona życia łączyła wysiłki obu nowych doktorów, zaznaczył Wielki Kanclerz, mówiąc o ***odważnym i niestrudzonym nauczaniu wiary*** przez bpa Franza Hengsbacha. ***I nie jest przypadkiem, że jego pierwsze pismo z 1934 roku traktowało o obronie życia przeciwko aberracyjnym kryteriom, jakie pojawiały się wówczas w jego ojczyźnie. Stanowcza obrona życia ludzkiego uczyniła znanym na całym świecie nazwisko profesora Lejeune'a z***

Uniwersytetu Paryskiego, którego świat nauki uznaje jednogłośnie za jednego z pierwszych i najważniejszych badaczy genetyki
(Mowa z 9 V 1974 r.; w: Josemaría Escrivá de Balaguer y la Universidad..., s. 106).

[84] Udzielił Pierwszej Komunii Świętej swemu bratankowi Josemaríi. Por. listy do Santiago Escrivy de Balaguera y Albás, w: EF-740400-1 oraz do jego syna, Santiago Escrivy de Balaguera García-Herrero, w: EF- 740400-2; Joaquín Alonso Pacheco, PR, s. 1658.

[85] Potem, opowiadając o tym wyczerpującym maju 1974 roku oraz instrukcji, jakie otrzymał don Javier (nazywany zdrobniale i pieśczośliwie “Javim”) przed wyjazdem z Rzymu do Hiszpanii, Ojciec mówił: ***Pojechałem do Ameryki, chociaż nie chciałem. Muszę być szczery. Wyjechałem***

stąd i powiedziałem Javiemu: zapakuj mało rzeczy, ponieważ musimy uwinąć się z tym w Nawarrze, złapać samolot w Madrycie, i z powrotem. Okazało się jednak, że podróż trwała cztery miesiące (Álvaro del Portillo, PR, s. 1092).

[86] Por. RHF, D-15111; informacja medyczna za okres: maj 1974.

[87] Ibidem.

[88] Lekarze, którzy się nim zajmowali wspominają, jak w dobrym humorze i z pełnym posłuszeństwem przyjmował wszystkie zalecenia lekarskie, nie pytając o szczegóły swych chorób. Podobnie odnosił się do leków: nie pytał nigdy, na co są, ani jakie skutki powodują. Jeśli chodzi o jego zachowanie, dodają: «Podczas wizyt lekarskich, jakie mu składaliśmy, zwracały uwagę jego posłuszeństwo, cierpliwość i zdecydowana wola

współpracy z nami, a także to, że w ogóle nie okazywał, że badania sprawiają mu przykrość. Otwarcie mówił o swoim stanie zdrowia, gdy pytaliśmy, pozwalał się badać od stóp do głów, kładł się, wstawał, pozwalał pobierać sobie krew, robić rentgen i elektrokardiogramy, wszystko to z pełnym zrozumieniem i uległością. I jednocześnie nie pozwalał, by mu usługiwano. Nie pozwalał sobie pomóc w rozbieraniu się: rozpiąć spinki i guziki u koszuli, ponieważ szybkim i zdecydowanym gestem uprzedzał nasze próby. Jeśli udało nam się rozpiąć jakiś guzik, chwycił nasze dłonie i całował je» (Ibidem).

[89] W innej części historii choroby mówi się, że: «Zmieniamy kurację farmakologiczną, ograniczamy jeszcze bardziej dietę i zalecamy rytm życia, który zawierałby mniej intensywne aktywność apostołską niż w poprzednich latach. Fakt, że lekarz będzie mu towarzyszył w

podróży, przyczynił się do wydania pozytywnej opinii» (Ibidem, komentarz końcowy).

[90] Álvaro del Portillo, *Sum.* 1568.

[91] List z Madrytu, w: EF-740516-1. Tego samego dnia do José Luisa Múzquiza: ***Staraj się towarzyszyć mi swoją modlitwą podczas tego czasu katechezy, którą będę prowadził w Ameryce. Jestem pewien, że za wstawiennictwem naszej Matki i naszego Ojca i Pana, św. Józefa oraz z pomocą moich dzieci, że Pan nam będzie błogosławił zawsze jeszcze bardziej*** (List z Madrytu, w: EF-740516-2).

* (łac.) pokój – przyp. tłum.

[92] AGP, P05 1974, I, s. 30.

[93] Fernando Valenciano Polack, *Sum.* 7115.

[94] AGP, P04 1974, I, s. 47.

[95] Ibidem, s. 24.

[96] Ibidem, s. 209.

* (jap.) określenie emigrantów japońskich w Ameryce Południowej – przyp. tłum.

[97] AGP, P05 1974, I, s. 37.

[98] Ibidem, s. 202.

[99] AGP, P04 1974, I, s. 77.

[100] Ibidem, s. 244.

[101] Ibidem, s. 251.

[102] J 15, 16 [(łac.) abyście szli, por.: Przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili – przyp. tłum.]

[103] Ibidem, s. 209.

[104] Ibidem, s. 255.

[105] AGP, P05 1974, I, s. 119.

[106] Ibidem, s. 121.

* (łac.) zespoleni w jedno (por. J 17, 23) – przyp. tłum.

[107] AGP, P04 1974, I, pp. 306-307.

[108] *Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina*, 7-28 czerwca 1974, s. 36: 11 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1).

[109] Ibidem, ss. 83 i 197; 15 oraz 27 VI 1974.

* (łac.) Niech się stanie, niech się spełni, niech będzie błogosławiona i na wieki uwielbiona ponad wszystko najsprawiedliwsza i najłaskawsza Wola Boga! Amen. Amen. (por. *Kuźnia*, nr 769 oraz *Przyjaciele Boga*, nr. 153 oraz 167) – przyp. tłum.

[110] Ibidem, s. 84; 15 VI 1974.

[111] Ibidem, s. 142: 21 VI 1974.

* kard. Antonio Caggiano (1889-1979) – biskup Rosario od 1934 do 1959 roku, kardynał od 1946 r., od 1959 do 1975 roku arcybiskup Buenos Aires, a także ordynariusz polowy i biskup wiernych obrządków wschodnich w Argentynie – przyp. tłum.

[112] Ibidem, s. 34-35: 11 VI 1974.

[113] Ibidem, s. 38, 11 VI 1974.

* (łac.) Pani, niech się stanie! – przyp. tłum.

[114] Ibidem, s. 187-188, 26 VI 1974.

[115] Ibidem, s. 188, 26 VI 1974.

[116] AGP, P05 1974, I, s. 318.

[117] AGP, P04 1974, I, s. 666; także AGP, P05 1974, I, s. 537.

Jeśli chodzi o jego pozytywny i pozbawiony świętoszkowości sposób odpowiadania na delikatne kwestie, warto przytoczyć odpowiedź

na pytanie pewnej artystki (23 czerwca, spotkanie w Teatrze Coliseo). Znana malarka pytała go, co może zrobić, aby koledzy malarze zrozumieli, że uczciwe życie, dzieła i tematy nie stanowią przeszkody, aby byli uznawani za prawdziwych artystów.

Córko moja. Oni to wiedzą. Ja nie mam żadnych oporów, aby ci powiedzieć, że klasyczna nagość bardzo mi się podoba, i prowadzi mnie ku Bogu. Na Kapitolu w Rzymie znajduje się pewna Wenus, Wenus Kapitolińska. Nie umieścił jej tam Szatan, ale papież, a teraz znajduje się w muzeum, sama w jednej sali. Widziałem ją przed kilku laty. Naga. Patrzyłem na nią, na tę czystą nagość i składałem dzięki Bogu. Żadnej złej myśli, złego pragnienia.

Oni to wiedzą. Wiedzą, że muszą zaszargać swoje pędzle i ołówki,

*by splamić sztukę rzeczami
brutalnymi i obscenicznymi. Córko
moja, bądź artystką. Artystką
duszy i artystką barw! I powiedz
im serdecznie, żeby nie byli
gruboskórni. Żeby, mogąc być
Bożymi stworzeniami, nie robili z
siebie bestii. I że słyszałaś, jak
pewien ksiądz, który bardzo kocha
Najświętszą Maryję Pannę, Matkę
Najczystsza i Niepokalaną
Dziewicę, mówił, że podziwiał –
dzięki składając Panu Bogu -
Wenus Kapitołińską (AGP, P05 1974,
I, s. 551; AGP, P04 1974, I, s. 679).*

[118] *Diario de la visita de nuestro
Padre a la Argentina, 7-28 czerwca
1974, s. 158,23 VI 1974 (AGP Sec. N, 3
leg. 1057-1).*

[119] AGP, P04 1974, I, s. 695; AGP,
P05 1074, I, s. 608.

[120] *Ibidem.*

[121] *Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina*, 7-28 czerwca 1974, s. 184: 26 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1). Argentyna przeżywała wówczas okres niepokojów ulicznych i porwań. Ojciec więc jeździł w towarzystwie agentów, którzy mieli zapewnić mu ochronę w wielkich zgromadzeniach ludzi, którzy napierali przy wejściu i wyjściu, chcąc go zobaczyć i dotknąć. Ich właśnie określał mianem swoich „Aniołów Stróżów”.

[122] AGP, P05 1974, I, s. 632-635.

[123] Por. *Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina*, 7-28 czerwca 1974, s. 197, 27 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1). Kilka dni wcześniej, 19 czerwca 1974, w dzienniku na stronie 124 przytoczone zostaje podobne wyznanie don Josemaríi, który powiedział, że gdy był młody, ***myślał, że wie wszystko o sobie,***

nawet to, kiedy Pan zechce mnie wezwać do Siebie. Teraz nie wiem nic. Pan pozwala, bym nic nie wiedział.

[124] Ibidem, s. 204 (27 VI 1974);
także: AGP, P04 1974, I, s. 703.

* (łac.) zdaj mi sprawę z twego zarządu (por. Łk 16, 2: *redde rationem vilicationis tuae* –zdaj sprawę ze swego zarządu) - przyp. tłum.

[125] Ibidem, s. 705-706.

* (łac.) Szukam, o Panie, Twojego oblicza (Ps 27, 8) – przyp. tłum.

[126] Ibidem, s. 706-707 oraz *Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina*, 7-28 czerwca 1974, s. 208, 27 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1).

[127] Ibidem, s. 147. Aktualny tekst nowej Vulgaty brzmi: *Faciem tuam, Domine, exquiram* (Ps. 26(27), 8).

[128] Konsyliariuszami w Brazylii i w Argentynie byli wówczas ks. Xavier de Ayala Delgado oraz ks. Emilio Bonell Zapater; a w pozostałych krajach Ameryki Południowej, poza Chile, byli nimi: ks. Vicente Pazos González (w Peru), ks. Antonio Arregui Yarza (w Ekwadorze), ks. Ugo Puccini Banfi (Kolumbia), ks. Agustín Falceto Calvo (w Urugwaju), ks. Ramón Taboada del Río (w Paragwaju), ks. Roberto Salvat Romero (w Wenezueli), a w Ameryce Centralnej - ks. Antonio Rodríguez Pedrazuela.

[129] AGP, P04 1974, II, s. 18.

* 11 września 1973 roku władzę w Chile przejęła wojskowa junta, na czele z gen. Augusto Pinochetem Ugarte, która w wyniku zamachu stanu obaliła prezydenta Salvadora Allende, usiłującego wprowadzić w Chile komunizm – przyp. tłum..

[130] Ibidem, s. 56.

[131] Ibidem.

[132] Por. RHF, D-15111 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.* 1500; Javier Echevarría, *Sum.* 3140.

[133] List z Santiago de Chile, w: EF-740703-1. Jeszcze jeden list w tym samym stylu don Josemaría wysłał do prezydenta Ekwadoru, generała Guillermo Rodrígueza Lary, w trakcie swego pobytu w Quito, 13 sierpnia 1974 roku:

***Wielce Szanowny Panie
Prezydencie,***

Otrzymałem wczoraj Pański miły list, w którym życzy mi Pan Prezydent szczęśliwego pobytu w tym ukochanym kraju – Ekwadorze, i zobowiązany jestem podziękować W[aszej] E[kscelencji] za taką serdeczną troskę.

Przybyłem do Ameryki jako kapłan – co jest jedynym sensem mego życia – i przybyłem tu, by się uczyć: noszę w sercu wielki skarb pobożności i cnót, jaki tu podziwiałem.

Nie przestanę się modlić, z serdecznością i podziwem, za ten błogosławiony kraj, pewien, że Najświętsze Serce Jezusowe będzie z szczególną czułością osłaniać ten lud ekwadorski i jego dostojne władze (List z Quito, w: EF-740813-1).

Por. także list do prezydenta Gwatemali, napisany kilka miesięcy później, w którym don Josemaría podkreśla, że ***jak to zawsze było w jego zwyczaju***, jego katecheza w Gwatemali ma cele wyłącznie duszpasterskie: ***U stóp Pana, za wstawiennictwem Najświętszej Pani i świętego Józefa, składam moją pracę kapłańską w***

***tym kraju, ponieważ pragnę
wyłącznie być wiernym kapłanem***
(List do Kjella Eugenio Laugeruda
Garcíi, z Gwatemali, w: EF-750217-1).

[134] AGP, P04 1974, II, s. 106.

[135] Ibidem.

[136] Ibidem, s. 107.

[137] Ibidem, s. 110. Kilka dni później
Ojciec otrzymał list z
podziękowaniami za wizytę i naukę
od przełożonej: «Jesteśmy szczęśliwe
i bardzo wdzięczne Księdzu i całemu
Dziełu; zawsze będziecie obecni w
naszych modlitwach» (Ibidem); także
AGP, P05 1974, II, s. 95.

Kiedy za rok karmelitanki z
klasztoru San José w Santiago de
Chile dowiedziały się o śmierci Ojca,
odprawiły uroczystą mszę świętą w
jego intencji. Nie chciały jednak, by
była to msza za zmarłych, ponieważ
postanowiły odśpiewać *Gloria*, mając

pewność, że Ojciec znajduje się w Niebie. Por. Javier Echevarría, PR, s. 2066.

[138] AGP, P04 1974, II, s. 214.

[139] Ibidem, s. 252.

[140] Ibidem. Wielu z tych kapłanów pracowało w “Academii San José”, Wyższym Seminarium Prałatury w Cañete, gdy biskupem Yauyos był Luis Sánchez-Moreno Lira (Por. *Sum.* 6429).

[141] Ibidem, s. 252.

* (hiszp.) po kreolsku – przyp. tłum.

* (łac.) abyśmy my kroczyli w nowe życie (Rz 6, 4) – przyp. tłum.

** (łac.) Por. Rz 13, 14 – przyp. tłum.

[142] AGP, P04 1974, II, s. 320. Rano 14 lipca doktor Alejandro Cantero zbadał Ojca, który tej nocy nie spał, miał zapalenie krtani i ledwie

słyszalny głos. Doktor Cantero zasugerował, że należałoby odwołać spotkanie zapowiedziane na rano, ale gdy Ojciec się o tym dowiedział, chciał by spotkanie się odbyło (Por. Alejandro Cantero Fariña, *Sum.* 6648).

[143] Por. RHF, D-15111.

[144] *Diario de la estancia de nuestro Padre en Perú* [Dziennik pobytu naszego Ojca w Peru], 20 VII 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1056-4).

[145] AGP, P04 1974, II, s. 427.

[146] Por. Alejandro Cantero Fariña, *Sum.* 6595.

[147] *Diario de la estancia de nuestro Padre en Argentina*, s. 192, 26 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1056-4).

[148] RHF, D-15111.

* (łac.) cały czas igrając przed Nim,
igrając na okręgu ziemi (Prz 8, 30-31)
– przyp. tłum.

[149] AGP, P04 1974, II, s. 496.

[150] AGP, P05 1974, II, s. 563.

[151] AGP, P04 1974, II, s. 498.

[152] Ibidem, s. 527.

[153] Ibidem, s. 496.

[154] Ibidem, s. 527.

[155] Ibidem, s. 499.

[156] List do Carlosa Manuela Larrey Ribadeneiry, z Barcelony, w:
EF-740915-2. Przyjaźń założyciela z
don Carlosem Manuelem sięga lat
czterdziestych, gdy w Stolicy
Apostolskiej reprezentował on
Ekwador. W jakiś czas po wyjeździe z
Rzymu don Carlos Manuel poprosił o
przyjęcie do Opus Dei jako
supernumerariusz.

Na spotkaniu 12 sierpnia Ojciec mówił do swych córek o swoim pobycie w Quito: ***Muszę wyznać, że cierpienia, które przeszedłem, ofiarowuję za Ekwador z całej duszy, także to, że nie odprawiłem w tych dniach Mszy Świętej. Komunii udzielał mi don Álvaro; także dziś... I jak tylko czuję na języku tę maleńką cząstkę, wzruszam się*** (AGP, P05 1974, II, s. 479).

[157] Ibidem, s. 531.

[158] *Diario de Altoclaro, en los días en que el Padre, por primera vez, estuvo en Venezuela* [Dziennik z Altoclaro, z dni, w których Ojciec po raz pierwszy był w Wenezueli], od 15 VIII 1974 do 31 VIII 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

[159] Por. AGP, P05 1974, II, s. 551. Przyczynę tego zwyczaju Ojciec tłumaczył w następujący sposób: ***Już wiecie, że w naszych ośrodkach***

najważniejsze jest Tabernakulum, potem wasze siostry – które mieszkają o pięćset kilometrów stąd – a na ostatnim miejscu my (AGP, P01 1973, s. 578).

[160] *Diario de Altoclaro*, s. 18, 17 VIII 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

[161] AGP, P05 1974, II, s. 564. Obraz kaczkę, narysowanej bardzo schematycznie i zawsze z otwartym dziobem, jak gdyby domagała się więcej, był wyrazem nieustannych próśb jego córek oraz ich skłonności do gadatliwości.

* (łac.) drzewo krzyża [świętego] – przyp. tłum.

[162] Por. *Diario de Altoclaro*, s. 59: 27-VIII-1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

* (łac.) Szukam, o Panie, Twojego oblicza (Ps 27,8) – przyp. tłum.

[163] AGP, P04 1975, s. 213. To samo pragnienie duszy — szukam Twego oblicza, Panie — opisuje w jednym z punktów medytacji: ***Szukaj często bliskości Najświętszego Człowieczeństwa Jezusa... A Jezus umieści w twojej duszy nienasycony głód, niepowstrzymane pragnienie oglądania Jego Oblicza.***

W tym stanie tęsknoty – której nie sposób uśmierzyć na tej ziemi – znajdziesz nieraz pociechę dla siebie (*Droga Krzyżowa, VI Stacja*).

Por. także: *Diario de Altoclaro*, s. 51 (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28) oraz Ps 27, 8.

[164] «Wieczorem — opowiada kronikarz *Diario de Altoclaro* — poszliśmy z Ojcem na chwilę do saloniku. Przechodząc przez korytarz Ojciec zauważył starą skarbonę, która jako zwykła ozdoba znajdowała się tuż przy drzwiach

wejściowych. Zapytał nas: **Co za skarb tam trzymacie?** Don Roberto, który myślał, że jest pusta, otworzył ją zdecydowanym ruchem, aby pokazać Ojcu, że nic nie ma w tej starej zdezelowanej skrzynce. Ale — jakaż niespodzianka! — ukazał się nocnik. Był czysty, ale był to nocnik. Ktoś, być może po to, by nie zostawiać takich akcesoriów w pomocniczej łazience przy wejściu, ukrył właśnie w tej skrzynce wiadomy przedmiot, który czyściutki ukazał się ich oczom» (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

* Czyż garncarz nie ma mocy nad gliną i nie może z tej samej zaprawy zrobić jednego naczynia ozdobnego, drugiego zaś na użytek niezaszczytny? (Rz 9, 21) – przyp. tłum.

[165] AGP, P04 1974, II, pp. 613 y 617.

[166] Ibidem, s. 615.

[167] *Ibidem*, s. 648.

[168] C 5369, 28 VIII 1974.

[169] *Diario de Altoclaro*, 27 VI 1974
(AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

[170][170] Por. Javier Echevarría, *Sum.* 2619 i n.. Niezliczone są dowody nabożeństwa do świętego Józefa ze strony założyciela Opus Dei. Święty Józef jest wraz z Matką Bożą patronem całego Dzieła. Kiedy w akademiku przy Ferraz don Josemaría urządzał pierwszą kaplicę Dzieła i podejmował żmudne starania, aby uzyskać na to pozwolenie, powierzył całą sprawę świętemu patriarsze, którego nazywał ***Naszym Ojcem i Panem, świętym Józefem***. W podziękę polecił, by klucz od tabernakulum we wszystkich ośrodkach Dzieła miał łańcuszek z medalikiem ze świętym, a na nim miało być wygrawerowane: *Ite ad Joseph* [(łac.) idźcie do Józefa (Rdz 41, 55) – przyp. tłum.]. Jemu

polecał apostołstwo, zwłaszcza poprzez prostą modlitwę w przeddzień jego święta, obchodzone 19 marca. Ojciec radził przywoływać go jako patrona dobrej śmierci, w Dziele odprawiane jest nabożeństwo siedmiu niedziel świętego Józefa. Jako głowa rodziny, przez wiele lat założyciel Opus Dei wyobrażał sobie, że dom jego matki i rodzeństwa jest Nazaretem, co pomagało mu to zachowywać się wobec nich tak, jakby to robił święty Józef. A gdy w czasach Jana XXIII zdecydowano się włączyć świętego Józefa do kanonu mszy, było to dla niego wielką radością. Połączenie dwu pierwszych imion przez założyciela Opus Dei w jedno było także wyrazem miłości i wspólnego nabożeństwa do Jezusa, Józefa i Maryi.

19 stycznia 1973 roku jego brat, Santiago, podarował mu wizerunek świętego Józefa, który pochodził z domu ich dziadków ze strony matki.

Była to prosta gipsowa biała figurka, patynowana jedynie dla zaznaczenia cieni i szczegółów. Kiedyś znajdowała się także w domu cioci Carmen w Rzymie (Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1152).

Don José Luis Soria Saiz wspomina krótką i trafną definicję, jaką 18 marca 1974 roku, w przeddzień święta, założyciel Dzieła określił świętego patriarchę: ***Święty Józef jest cudowny! Jest świętym uległej pokory..., wiecznego uśmiechu i postusznego pokiwania głową*** (RHF, T-07920, Aneks II, s. 24). Don Josemaría chciał przez to podkreślić absolutną dyspozycyjność świętego patriarchy, dniem i nocą gotowego wypełniać wolę Bożą, szczerego i ufnego, aby przedzierać się przez przeciwności, dbałego o osoby, które Bóg powierzył jego pieczy.

[171] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 354.

[172] *Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina*, od 7 do 28 czerwca 1974, s. 199: 27 VI 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1).

[173] *Ibidem*.

[174] AGP, P04 1974, II, s. 73.

[175] *Ibidem*, s. 85.

[176] *Ibidem*, s. 245.

[177] *Diario de Altoclaro*, s. 22, 18 VIII 1974 (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

[178] *Ibidem*, s. 38, 18 VIII 1974.

* (łac.) wszystko wyjdzie na dobre – przyp. tłum.

[179] List z Caracas, w: EF-740828-1.

[180] AGP, P04 1974, II, s. 632.

[181] *Ibidem*, s. 640.

[182] List do kard. Mario Casariego Acevedo CRS, z Caracas, w:

EF-740828-1. Podczas swoich podróży apostołskich po Półwyspie Iberyjskim (1972) i po Ameryce Południowej (1974), założyciel Opus Dei mógł naocznie przekonać się o ogromnej pracy, jaką wykonywały jego dzieci na bardzo różnych polach: oświatowym, formacji doktrynalnej, pomocy społecznej oraz dobroczynności wobec ludzi ubogich. Było wiele takich inicjatyw i za ich pośrednictwem bardzo wiele dusz otrzymywało pomoc potrzebną, by zbliżyć się do Boga.

Wśród dzieł korporacyjnych Dzieła oraz innych prowadzonych przez osoby związane z Opus Dei znajdowały się np. szkoły średnie i Rodzinne Szkoły Rolnicze, przeznaczone do formacji religijnej, zawodowej i ludzkiej rolników. W Peru mógł rozmawiać z profesorami i studentami Uniwersytetu w mieście Piura, położonym na samej północy kraju. Uniwersytet ten utworzony od

podstaw zaczął swoją działalność w 1969 roku, w którym założyciel Opus Dei został mianowany jego Wielkim Kanclerzem. W 1974 roku osiągnął już stosunkowo wysoki poziom rozwoju i trwały prestiż w świecie uniwersyteckim. Z powodu swego stanu zdrowia założyciel Opus Dei nie mógł pojechać do Piury podczas swego pobytu w Limie.

[183] List, w: EF-720219-2.

[184] List do Carmen Ramos Garcí, w: EF-731205-1. W innym liście skierowanym do tej samej osoby, Ojciec wspominał słowa, którymi często się posługiwał, zalecając modlitwy, **by Pan zechciał skrócić czas próby, jaki przeżywa Kościół Święty**. List, w: EF-740502-1

[Sekretarka Centralna to członkini Asesorii Centralnej Opus Dei, organu kierującego pracą Opus Dei wśród kobiet – przyp. tłum.].

[185] List do bpa Giovanniego Benellego, z São Paulo, w: EF-740531-1.

[186] Słowa don Álvara liście założyciela do bpa Giovanniego Benellego, z Limy, w: EF-740727-1. Kolejne listy: z Quito, w: EF-740814-1; z Caracas, w: EF- 740830-1.

[187] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1505. W maju 1974 roku zbadał go doktor Alejandro Marín Lillo, który zauważył w prawym oku znaczne skupienie włókien na soczewce, i stwierdził, że zdolność widzenia jest ograniczona do jednej trzeciej. Por. RHF, D-15111.

[188] Por. RHF, D-15111. Uremia [mocznica, ciężkie zatrucie organizmu produktami przemiany materii, m.in. mocznikiem – przyp.tłum.] przekroczyła sześciokrotnie normalny poziom.

[189] Ibidem. Badania zostały przeprowadzone w kilinice San José w Barcelonie.

[190] List do jego córek w Kolumbii, z Madrytu, w: EF-740910-2.

[191] RHF, D-15111.

* (łac.) cała chwała Bogu – przyp. tłum.

[192] List z 25 I 1961, nr 4. Mówiąc o “Jego zamku” miał na myśli dziecięcą zabawę, w której celem jest zbudować z różnokolorowych, drewnianych klocków zamek lub inną budowlę.

[193] W *Diario de Altoclaro* pod datą 17 sierpnia 1974, sobota, czytamy: «Powiedział nam, że był zawsze po prostu Bożym skrybą, *scribanus*, Escrivá. Był Bożym skrybą » (AGP Sec. N, 3 leg. 413-28).

Nie jeden raz pytali go:

— Dlaczego ksiądz założył Opus Dei?

Czasmi odpowiadał, marginalizując swoje znaczenie:

Muszę powiedzieć, że to nie ja założyłem Opus Dei. Opus Dei powstało pomimo mnie. Była to Boża wola, która została zrealizowana pomimo mnie. Była to wola Boga, która została wypełniona i już istnieje. Ja jestem biednym człowiekiem, który nie robił nic innego, jak przeszkadzał. A więc nie nazywajcie mnie założycielem niczego (AGP, P04 1975, s. 90).

* (łac.) Kodeks Prawa Partykularnego – przyp. tłum.

[194] *Acta de aprobación del “Codex Iuris Particularis” del Opus Dei* [Akta aprobaty Kodeksu Prawa Partykularnego Opus Dei] (1 X 1974); w: Amadeo de Fuenmayor i in., op.

cit., Aneks Dokumentalny nr 58, s. 588-593. Por. także ibidem, s. 414 i n..

[195] Ibidem, s. 592. Założyciel polecił sporządzić ten akt, «aby potwierdzić aprobatę dla Kodeksu Prawa Partykularnego Opus Dei, dokumentację jego opracowania oraz obowiązkowe znaczenie, jakie przywiązywane jest do norm, jakie się nań składają». Sporządzone zostało krótkie sprawozdanie z sesji Nadzwyczajnego Kongresu Generalnego, jego propozycji i wniosków, oraz opisano, «dlaczego nie można było uniknąć włączenia do naszego prawa partykularnego niektórych wyrażeń i norm właściwych części ogólnej konstytucji apostolskiej *Provida Mater Ecclesia*, oraz przyjęcia kształtu prawnego, który nie odpowiadał naszemu duchowi».

Do tego aktu był załączony w aneksie dokładny odpis wniosków

końcowych Nadzwyczajnego Kongresu Specjalnego, przyjętych jednogłównie 14 września 1970 roku. Pierwszy z tych wniosków mówi o konieczności ubiegania się o rozwiązanie problemu instytucjonalnego Opus Dei poprzez uzyskanie «formuły prawnej odmiennej od Instytutu Świeckiego, która będzie zachowywać w zasadniczych zarysach nasze dotychczasowe prawo partykularne, ale pozwoli znieść w jego ramach elementy właściwe dla instytucji zakonnych, tzn. składanie ślubów trzech rad ewangelicznych ubóstwa, czystości i posłuszeństwa oraz nadawanie tym ślubom charakteru sakralnego » (w: Amadeo de Fuenmayor i in., op. cit., Aneks Dokumentalny nr 55, s. 584-585).

[196] Prosząc o nadanie nowej formuły prawnej Opus Dei — podkreśla się w zakończeniu aktu — «Stolica Święta zostanie poproszona

o zniesienie norm związanych z wyznawaniem rad ewangelicznych i o akceptację niezbędnych przepisów dostosowujących, które należy wprowadzić do Kodeksu Prawa Partykularnego, jakich wymaga nowa formuła prawna» (Ibidem, Aneks Dokumentalny nr 58, s. 593).

[197] I dalej: ***mówię to, ponieważ... ja, gdy byłem młody, myślałem nawet, że wiem kiedy przyjdzie mi umrzeć. Ale nie powtarzajcie o tym prostactwie, dobrze? Teraz zaś okazuje się, że ja o sobie nic nie myślę. Niech będzie pochwalony, Pan! Naprzód! Jak Bóg zechce, kiedy Bóg zechce, gdzie Bóg zechce*** (*Diario de la visita de nuestro Padre a la Argentina, 7 - 28 VI 1974, 17 VI 1974, s. 99; w: AGP Sec. N, 3 leg. 1057-1*).

W następnych dniach Ojciec dwukrotnie powracał do tematu daty swej śmierci. Por. ibidem, s. 124 i

197. Założyciel Opus Dei świadomie wielokrotnie mówił o tej sprawie.

[198] AGP, P01 1982, s. 1266. Cytat z jednego ze spotkań w Ośrodku Rady Generalnej, 10 XII 1974.

* (łac.) jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie [Mt 11,30] – przyp. tłum.

[199] List do jego córek i synów, w: EF-741200-2.

Założyciel odwołuje się tu do znanej ludowej opowieści, z której klasyczni autorzy ascetyczni wyprowadzali wnioski natury moralnej. Głęboką nocą, gdy wszyscy już śpią w zamku, gdy zgaszono już ogień i wszystkie światła, banda zbójców stara się dostać do środka. Bramy są zaryglowane, a okna zamknięte, z wyjątkiem jednego maleńkiego okienka. Tamtędy złodzieje wprowadzają do środka małego

chłopca, który, będąc już w środku, odsuwa rygle i otwiera bramy.

* (łac.) Panie, żebym przejrzał [Łk 18,41] – przyp. tłum.

** (łac.) Żebyśmy przejrżeli – przyp. tłum.

[200] AGP, P01 1975, s. 779.

*** (łac.) Żeby przejrżeli – przyp. tłum.

[201] Ibidem, s. 782.

[202] Ibidem.

[203] Jego prawe oko straciło w dwóch trzecich zdolność widzenia. A gdy 19 grudnia 1974 roku zbadano je w Rzymie, okulista zauważył centralne zmętnienie na soczewce lewego oka, wraz ze zmianami na siatkówce. Tę diagnozę potwierdził później w Madrycie doktor Alejandro Marín Lillo. Jednak dzięki odpowiedniej kuracji, pod koniec

stycznia 1975 roku wzrok się poprawił. Por. Alejandro Cantero Fariña, *Sum.* 6596 oraz RHF, D-15111.

* Por. *Założyciel Opus Dei*, tom I, s. 445 – przyp. tłum.

[204] AGP, P01 1975, s. 65.

[205] *Ibidem*, s. 784.

[206] Por. Javier Echevarría, *Sum.* 3142; także Alejandro Cantero Fariña, *Sum.* 6596. Poprzedni poważny atak serca – połączony z poważnym obrzękiem płuc – miał miejsce w nocy 10 listopada 1974 roku, gdy opiekowali się nim księża Álvaro del Portillo i Javier Echevarría oraz doktor José Luis Soria Saiz. W dwa dni później odleciał samolotem do Madrytu, gdzie zbadali go lekarze: Eduardo Ortiz de Landázuri, Diego Martínez Caro, José Manuel Martínez Lage i Alejandro Cantero Fariña. Por. RHF, D-15111.

[207] AGP, P01 1975, s. 149.

[208] List, w: EF-750113-1.

[209] Por. RHF, D-15111.

[210] Por. listy do Juana Bautisty Torelló Barenysa, w: EF-750114-2; do José Ramóna Madurgi Lacalle, w: EF-750121-1; do Richarda Riemana, w: EF-750122-1, etc.

* (łac.) za wszystkie jego dobrodziejstwa, także nieznanne – przyp. tłum.

* (łac.) obok Krzyża Jezusowego [J 19, 25] – przyp. tłum.

** (łac.) zespoleni w jedno [J 17,23] – przyp. tłum.

[211] List, w: EF-750128-2.

[212] AGP, P04 1975, s. 56.

[213] Ibidem, s. 21.

[214] *Diario de Altoclaro*, 11 II 1975
(AGP Sec. N, 3 leg. 1058-2).

[215] AGP, P05 1975, s. 148.

[216] *Ibidem*, s. 185.

[217] *Diario de Altoclaro*, 5 II 1975
(AGP Sec. N, 3 leg. 1058-2). Podczas
jednego ze spotkań, odpowiadając na
pytanie na temat wychowania dzieci,
Ojciec mówił: ***Ja bym poszedł z nimi
na spacer... po tych dzielnicach,
które znajdują się dookoła
Caracas. Zasłoniłbym ich oczy, a
potem bym cofnął rękę, aby
zobaczyli te szatały, zbudowane
jedne na drugich. I już im
odpowiedziałeś. Niech wiedzą, że
pieniądze muszą wykorzystywać
dobrze, muszą wiedzieć, jak nimi
zarządzać, aby wszyscy w jakiś
sposób uczestniczyli w dobrach tej
ziemi. Ponieważ bardzo łatwo jest
powiedzieć: jestem bardzo dobry,
jeśli niczego nie potrzebuję.***

Pewien przyjaciel, człowiek mający mnóstwo pieniędzy, powiedział mi raz: ja nie wiem, czy jestem dobry, ponieważ nigdy żona mi nie chorowała, nie byłem bezrobotny i bez grosza przy duszy. Moje dzieci nigdy nie słabły z głodu, nie znalazłem się na ulicy, nie mając nawet koca do przykrycia... Nie wiem, czy jestem człowiekiem szlachetnym: co bym bowiem zrobił, gdyby to mi się zdarzyło to wszystko?

Spójrzcie, powinniśmy starać się, by to się nie zarzało nikomu. Trzeba pomóc ludziom, aby poprzez swą pracę mogli zapewnić sobie minimalny dobrobyt, być spokojnym na starość oraz w chorobie, zadbać o wykształcenie dzieci i o tyle innych niezbędnych rzeczy. Nic, co dotyczy innych, nie może nas pozostawiać obojętnymi i – z naszego miejsca – powinniśmy starać się, by pogłębiały się

miłość i sprawiedliwość (AGP, P04 1975, s. 83-84).

[218] Javier Echevarría, *Sum.* 3144.

[219] AGP, P04 1975, s. 225.

[220] *Ibidem*, s. 240.

[221] *Ibidem*, s. 253.

[222] Błogosławieństwo zostało uwiecznione na tablicy, z której pochodzą cytowane słowa. Por. AGP, P04 1975, s. 272.

[223] *Ibidem*, s. 325.

[224] Na krótko przed wyjazdem na lotnisko Ojciec wszedł do kaplicy, by pożegnać się z Jezusem. Towarzyszyli mu kardynał Mario Casariego oraz kilku jego synów. Przed ołtarzem wypowiedział słowa błogosławieństwa na podróż. Wówczas stanowczo zastąpił mu drogę kardynał, ukląkł przed nim, zdjął biret i skazując na

tabernakulum i na obecnych,
zawołał: — Ojcze, w obecności Pana
Boga i tych twoich synów, nie ruszę
się stąd, jeśli nie da mi Ojciec swego
błogosławieństwa. Ojciec uczynił
znak krzyża nad klęczącym przed
nim kardynałem.

— **Mario, ksiądz uzyskał coś, co
jeszcze nikomu się nie udało** –
skomentował Ojciec po wyjściu.

— «Nie mogłem stracić okazji na
zyskanie błogosławieństwa od
świętego» - tłumaczył kardynał
(Álvaro del Portillo, PR, s. 2023 oraz
AGP, P04 1975, s. 337).

[225] List z Madrytu, w: EF-750226-1.

[226] List do kard. Mario Casariego
Acevedo CRS, w: EF-750328-1.

* (łac.) do Boga, który napełnia
radością moją młodość [por. Ps 42, 4]
– przyp. tłum..

[227] AGP, P01 1975, s. 800.

[228] Ibidem, s. 803.

[229] Ibidem.

** keczua (quechua) – język Indian Keczua, zamieszkujących pn.-zach. regiony Ameryki Południowej; język Inków, po odkryciu Ameryki stał się jednym z języków ewangelizacji. Posługuje się nim ok. 11 milionów osób zamieszkujących Andy od Argentyny po Kolumbię – przyp.tłum.

[230] Por. list do Demetria Molloya McDermotta, w: EF-750312-1.

* (łac.) Panie, żebyś przejrzał [Łk 18,41] – przyp. tłum.

[231] AGP, P01 1975, s. 809.

** (łac.) drugiego Chrystusa – przyp. tłum.

[232] Ibidem, s. 810.

[233] Ibidem, s. 809.

[234] List do swych córek i synów, w: EF-750128-2.

* (łac.) drzewo Krzyża
[Chrystusowego] – przyp. tłum..

[235] Álvaro del Portillo, *Sum.* 1629.

* (łac.) błogosławieństwo miejsca –
przyp. tłum..

[236] AGP, P01 1975, s. 814.

[237] List do Manuela Gómeza
Padrósa, w: EF-710328-1. Por. także
listy do Martína Sambeata Valóna, w:
EF-710330-1 oraz Manuela Gómeza
Padrósa, w: EF-750324-1; etc.

[238] Por. Álvaro del Portillo, *Sum.*
1448.

[239] Por. Javier Echevarría, *Sum.*
3252 i 3253; także AGP, P05 1975, s.
828 oraz Álvaro del Portillo, *Sum.*
390.

[240] Archiwum miejskie w Barbastro oraz RHF, D-11770. Na temat Złotego Medalu Barbastro, por. Manuel Garrido González, *Barbastro y el Beato Josemaría*, Barbastro 1995, s. 127-134.

Rada miejska w Barbastro, «na wniosek Komisji Specjalnej władz, opinii publicznej oraz różnych instytucji, na sesji, która miała miejsce dnia 6 sierpnia 1975 roku, uchwaliła jednogłośnie, by nadać tytuł Barbastrianina Roku pośmiertnie Prałatowi Escrivie de Balaguerowi» (Archiwum miejskie w Barbastro oraz RHF, D-11770). Tytuł został publicznie nadany 7 września 1975 r.. Por. także Manuel Garrido González, *Barbastro...*, s. 135 oraz 193-194

[241] List do Manuela Gómeza Padrósa, w: EF-741003-1.

* (łac.) na miejscu – przyp. tłum.

[242] Doktor Alejandro Cantero, który mieszkał przy Diego de León, opowiada, że «w nocy z 21 na 22 maja 1975 roku obudził mnie D. Javier Echevarría, mówiąc mi, żebym szybko zszedł do pokoju, w którym spał Ojciec w ośrodku przy Diego de León, w Madrycie. Gdy tam wszedłem zobaczyłem, że byli już tam Don Álvaro del Portillo i Don Javier, dotrzymując Ojcu towarzystwa. Ojciec uskarżał się na dotkliwy ból w klatce piersiowej. Brał trzydzieści trzy oddechy na minutę, a tętno wynosiło więcej niż 150 na minutę. Wykrztuszał zaróżowioną wydzielinę, a więc cierpiał na bardzo poważny, ostry obrzęk płuc. W tych okolicznościach zobaczyłem, że prosi Don Álvaro del Portillo, by udzielił mu rozgrzeszenia» (Alejandro Cantero Fariña, *Sum.* 6646).

[243] AGP, P01 1975, s. 819. Wkrótce po przyjeździe Ojciec — który sam

siebie nazwał “oglądaczem”— przyglądał się z okna jednego z wyższych pięter szczegółom pracy murarskiej. Cegły były ułożone z najwyższą precyzją zawodową: wszystkie brzegi znajdowały się na jednej wysokości, tak iż wyznaczały linie doskonale poziome. Ojciec powiedział do jednego ze swych synów: ***Tego ranka przyglądając się temu, w jaki sposób są umieszczone cegły w miejscach, które z trudem tylko można zobaczyć, ucieszyłem się, widząc, że nauczyliście dobrze pracować robotników, z twarzą zwróconą ku Bogu*** (César Ortiz-Echagüe Rubio, *Sum.* 6893). (Prawdopodobnie myślał o kamieniarzach budujących katedrę w Burgos, autorach gotyckich ornamentów na wysoko umieszczonych pinaklach, których nie można zobaczyć z dołu). Praca wykonana z twarzą zwróconą ku Bog, była *operatio Dei*: pracą ludzką wykonaną z Bożym oddaniem.

[244] AGP, P01 1975, s. 820.

[245] Ibidem, s. 824.

[246] Ibidem.

* (łac.) żadnego dnia bez krzyża –
przyp. tłum.

[247] Przemówienia wygłoszone w trakcie tej uroczystości zostały opublikowane w *Scritti editi sparsi*, Roma 1983, s. 89-90; także w: AGP, P01 1975, s. 829-835 oraz w *El Noticiero* z Saragossy, z 27 V 1975. W dwu pierwszych źródłach znajdują się też słowa spontanicznie wypowiedziane przez założyciela Opus Dei.

[248] «Gdy tylko przybył do Torreciudad — opowiada César Ortiz-Echagüe Rubio — zapytał nas, czy gotowe są konfesjonały, a gdy się dowiedział, że tak, powiedział: **A więc jutro przyjdzie mi się wyspowiadać, i będę miał tę**

***radość, że jako pierwszy
wypróbuję jeden z nich*** » (Sum.
6872). Por. także Jesús Álvarez
Gazapo, Sum. 4348.

[249] AGP, RHF, D-15111.

[250] Julián Herranz Casado, Sum.
3963 oraz Giuseppe Molteni, Sum.
3828. Notatka z 22 V 1975. Por.
Álvaro del Portillo, *Una vida para
Dios*, Madrid 1992, s. 89.

[251] Javier Echevarría, Sum. 2099.
Prosił lekarzy — mówił dalej don
Javier — «żeby nie traktowali go
ulgowo, ani nie myśleli, że mógłby
więcej odpoczywać, albo przestać
zajmować się zadaniami, które były
szczególnie ważne dla służby Bogu ».

Cierpienia nie miały dla niego
znaczenia, «ale je przyjmował i
nawet kochał, ponieważ dotrzymał w
nich *pieszczotę Pana*, jako środek
oczyszczenia osobistego.
Najważniejsze było prowadzić dalej

Dzieło» (Julián Herranz Casado, *Sum.* 4004). I dodał: «patrzyłem zawsze ze podziwem, jak prowadził normalne życie i bardzo intensywną pracę, mobilizując wszystkich do pracy, przekazując wszystkim swój spokój i nadprzyrodzoną radość ».

[252] AGP, P01 1975, s. 761.

«Miesiące, jakie nastąpiły między listopadem 1974 a czerwcem 1975 roku minęły jako okres duchowego przygotowania do ostatecznego zjednoczenia z Panem, w ciągłym *crescendo*» (Ernesto Juliá Díaz, *Sum.* 4250).

[253] *Droga*, nr 168.

[254] Sprawy śmierci don Josemaría zawsze traktował z punktu widzenia nadprzyrodzonej nadziei: ***Bóg jest Panem życia i śmierci. Dlatego o nas dba i powołuje nas do siebie w najważniejszej chwili, takiej, która jest dla nas najlepsza*** (Javier Echevarría, *Sum.* 2735).

Ojciec miał dobre doświadczenia, bowiem widział setki swoich córek i synów, którzy na wieść, że pozostało im niewiele dni życia, przygotowywali się do tego, by dobrze umrzeć, ofiarowując swe cierpienia z nadprzyrodzoną radością. Dlatego mówił, że dla tych, których Pan wzywa do Dzieła, Opus Dei jest ***najlepszym miejscem by żyć i najlepszym miejscem, by umrzeć*** (Javier Echevarría, *Sum.* 2732).

Odejście z tego świata, radosne spotkanie z Bogiem — Ojcem sprawiedliwości i miłosierdzia — zostało przedstawione jego zdaniem w tekście modnej włoskiej piosenki z lat pięćdziesiątych. Powiedział swoim dzieciom, że powinny mu ją zaśpiewać w godzinę śmierci: «*Aprite le finestre al nuovo sole, è primavera...*» [(wł.) Otwórzcie okna na nowe słońce, jest wiosna... – przyp. tłum.](Por. Ernesto Juliá Díaz,

Sum. 4256; María Begoña Álvarez Iráizoz, RHF, T-04861, s. 10).

Straszne obrazy pojawiały się w pismach założyciela Opus Dei wiele lat wcześniej (por. np. *Droga*), ale zawsze pełne są nadprzyrodzonej nadziei.

[255] Umberto Farri, PR, s. 139.

[256] Zdarzyło się to 5 kwietnia 1975 roku, podczas spotkania po obiedzie. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1632; Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4712.

* (łac.) miła Bogu wonność Chrystusa [por. 2 Kor2, 15] – przyp. tłum.

[257] Na ten temat mons. Joaquín Alonso Pacheco powiada: «Zawsze robiły na mnie wrażenie siła i energia, pełne miłości, z jakimi mówił o swoim pragnieniu spotkania się z Jezusem Chrystusem. Pozwolił nam rozmyślać nad wspaniałością tego spotkania, i sam siebie pytał, jak

mogła wyglądać twarz Jezusa i jego spojrzenie. Było to coś, co nosił głęboko w swej duszy [...]. Podczas projekcji filmów o życiu Chrystusa, w scenach, w których pojawiał się sam Pan, rzadko czekał do końca projekcji, ponieważ po kilku chwilach wychodził z Aula Magna (w *Villa Tevere*) gdzie wyświetlano filmy i wracał do pracy. Nie podobały mu się w ogóle te filmowe wizerunki Pana Jezusa, właśnie z powodu duchowego bogactwa, jaki miał jego wewnętrzny wizerunek Chrystusa» (*Sum.* 4811).

Z tym świadectwem jest zgodne inne, złożone przez mons. Juliána Herranza Casado, który opowiada, że od wieku szesnastu lat Josemaría rozmyślał, «wnikając w sceny ewangeliczne, obcując z najszlachetniejszym człowieczeństwem Naszego Pana». W filmach o życiu i męce Pana Jezusa, gdy tylko na ekranie pojawiała się

postać Jezusa, wstawał natychmiast i po cichu wychodził. «Nie wytrzymał tego, by jakiś aktor grał Chrystusa. Raniło to do głębi jego duszę [...]. Miał, jak gdyby wypalony ogniem (miłosnym ogniem duszy kontemplacyjnej) wizerunek doskonalszy, bogatszy, żywszy i bardziej własny owego najświętszego, najśłodszego i najbardziej umiłowanego Człowieczeństwa Chrystusa, Naszego Pana» (*Sum.* 3945).

[258] Wielokrotnie, jeszcze jako chłopiec, odmawiał ten wiersz psalmu (Ps 26, 8), i rozmyślał nad nim często. Por. Álvaro del Portillo, *Sum.* 1294; a także Javier Echevarría, *Sum.* 2725 i 3291; Javier de Ayala Delgado, *Sum.* 7631 itd..

[259] Na temat tych rozważań, dotyczących fizycznej żywotności Ojca w ostatnich jego dniach, por. Jesús Álvarez Gazapo, *Sum.* 4330.

[260] W ostatnim okresie swego życia don Josemaría zajmuje się także obroną wiary i doktryny poprzez swe katechezy i podróże apostołskie. Ekspansję Dzieła na nowe państwa w Azji i w Afryce, pozostawia z całym zaufaniem w rękach swych dzieci, wspierając je swymi modlitwami, radą i pracą. W tym okresie następuje rozwój apostołski w takich krajach, jak Australia (od 1963), Filipiny (od 1964), Nigeria (od 1965), Belgia (od 1965), Porto Rico (od 1969). Trzeba także wspomnieć o innym aspekcie jego życia: o jego książkach i pismach. Choć był świadomy, że ma zdolności pisarskie, zrezygnował od początku z obrania drogi kariery literackiej, aby cały swój czas i siły poświęcić powołaniu tworzenia Opus Dei. Jego pisma są obszerne i stanowią owoc duchowego bogactwa jego duszy, niezwykłego nauczania na temat powszechnego powołania do świętości oraz zapachu apostołskiego. Np. *Droga* ma bardzo

szczególną genezę. W gruncie rzeczy to samo można powiedzieć o *Bruździe* i o *Kuźni*: są to zbiory myśli. *Rozmowy z prałatem Escrivá* to zbiór wywiadów i wypowiedzi prasowych, a *Przyjaciele Boga* i *To Chrystus przechodzi*, to zbiory homilii wybranych spośród niezliczonych kazań wygłoszonych przez założyciela Opus Dei. (Por. rozdz. XXI, pkt. 6. *Charyzmat założycielski*).

[261] Por. AGP, P01 1975, s. 611.

[262] Ibidem, s. 846.

[263] Ibidem, s. 847.

[264] Ibidem, s. 857.

[265] Ibidem, s. 859.

[266] Ibidem, s. 861.

[267] List Sekretarza Generalnego Opus Dei, don Álvaro del Portillo, do wszystkich członków (29 VI 1975).

[268] Julián Herranz Casado, *Sum.* 3879.

[269] Por. Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4762. «Siedział w rogu salonu i mało mówił podczas tego rodzinnego spotkania. Patrzył raczej na Najświętszą Panienkę, jakby szukając schronienia pod Jej opieką».

[270] Javier Echevarría, *Sum.* 3287.

* (łac.) uwolnij nas od doczesnych utrapień i obdarz wieczną radością – przyp. tłum.

[271] Joaquín Alonso Pacheco, *Sum.* 4762; i Julián Herranz Casado, *Sum.* 4032.

* (wł.) salon – przyp. tłum.

[272] AGP, P01 1975, s. 673.

[273] Ibidem.

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/rozdzial-24-szukam-twego-oblicza-panie/> (26-11-2025)